

Ken McClure

Zaraza

Pestilence

Przełożył: Władysław Masiulaniś

Wydanie oryginalne: 1991

Wydanie polskie: 1995

TMN

*Have you built your ship of death, O have you?
O build your ship of death, for you will need it. **

D.H. Lawrence,
The Ship of Death

* Czyś już zbudował swój statek śmierci, o czyś zbudował? O zbuduj swój statek śmierci, będziesz go potrzebował.

1.

Z bochenkiem chleba w jednej ręce i kartonem mleka w drugiej, doktor James Saracen wspinał się po schodach. Znalazłszy się na trzecim piętrze wsadził chleb pod lewe ramię, uwolnioną prawą dłonią zaś sięgnął do kieszeni spodni w poszukiwaniu klucza. Kieszeń okazała się pusta.

– Jasna cho... – mruknął. – Zawsze musi być na odwrót!

Przełożył bochenek pod prawe ramię, wydobyl z lewej kieszeni klucz i otworzył drzwi, odgarniając nimi jak śnieżnym pługiem stertę zgromadzonej na podłodze korespondencji. Zatrzasnął drzwi nogą, odłożył chleb, mleko i zapalił światło w korytarzu. Zbierając listy przeglądał je pobieżnie: zawiadomienie o wizycie inkasenta z elektrowni, reklama proszku do prania, brązowa koperta z urzędu podatkowego, biała – rachunek za kartę kredytową... Zajmie się wszystkim jutro, teraz nic go nie zmusi do zmiany planów. Była sobota, godzina dwudziesta, a on zaplanował sobie na ten wieczór coś szczególnie atrakcyjnego: rozbierze się, wskoczy do łóżka i będzie spał, spał... aż się wyśpi.

Obudził się po dwóch godzinach, ale bynajmniej nie z własnej woli. Po prostu rozpiszczał się pager tkwiący w kieszeni jego marynarki.

– Niemożliwe... Ja chyba śnię... – zajęczał Saracen.

Mimo to wyplątał rękę z pościeli, żeby sięgnąć do stojącego na nocnej szafce telefonu. Przeniósł aparat na krawędź łóżka i wykręcił numer szpitala.

– Szpital Ogólny Skelmore – usłyszał głos telefonistki.

– Doktor Saracen. Wywołaliście mnie...

– Jedną chwileczkę.

Saracen machinalnie drapał się w głowę, z trudem zwalczając pokusę ponownego zagrzebania się w pościeli. Wreszcie połączono go z Oddziałem Przypadków Nagłych. Rozpoznał głos dyżurnego lekarza-stażysty.

– James? Wiem, że to twoja pierwsza wolna noc od Bóg wie kiedy, i że masz za sobą osiemnastogodzinny dyżur...

– Ale...? – przerwał mu Saracen.

– Jesteś nam potrzebny. Na obwodnicy za miastem był wypadek drogowy. Ktoś tam musi pojechać. Odebraliśmy zgłoszenie od straży pożarnej.

– To dlaczego nie jedziesz?

– Jestem sam.

– Co?! – zawołał Saracen. – A gdzie Garten? Przecież ma dzisiaj dyżur!

– Wiesz jak to z nim jest. W ostatniej chwili wezwały go obowiązki towarzyskie i nasz szefunio musiał, oczywiście... Powiedział: „Jestem absolutnie pewny, że sobie poradzisz”, i że ma do mnie „pełne zaufanie”. Takie różne duperele. Po czym ulotnił się prędko.

– Zaraz tam będę. Pojadę naszą erką.

Przed wejściem do izby przyjęć czekał na Saracena przygotowany do akcji ambulans-furgon marki Benford, biały, z odpowiednim oznakowaniem – ostatni nabytek szpitala w Skelmore. Można go było nazwać bez mała szpitalem na kołach. Wyposażenie pojazdu zaprojektowano z myślą o sytuacjach, w których szybka i skuteczna pomoc lekarska decyduje o życiu lub śmierci pacjenta. Ambulans ufundował jeden z miejscowych bogaczy, którego syn zmarł w wyniku wypadku drogowego.

Saracen zauważył, że ambulans ma już włączone wycieraczki, a kierowca siedzi na miejscu gotów do drogi. Doktor zatrzymał swój wóz obok karetki i nim wgramolił się do środka przez tylne drzwi, dał znak dozorczy przy bramie, żeby zaparkował jego samochód.

– Już się pan wyspał? – spytała Jill Rawlings, pielęgniarka, sprawdzająca właśnie wyposażenie karetki.

Pytanie zadane było tonem gorzkiej ironii i Saracen nie musiał na nie odpowiadać. Mocował się właśnie z białą kurtką, którą podała mu Jill. Ambulans ruszył. Torował sobie drogę wyciem syreny, zwyczajem zapożyczonym ze scenerii ulic San Francisco i niezbyt pasującym do małego miasta w środkowej Anglii. Saracen miał jeszcze ręce uwięzione z tyłu w rękawach marynarki, kiedy ambulans szarpnął w prawo, unikając zderzenia z wyjeżdżającym z bocznej uliczki samochodem. Doktor poleciał na ścianę furgonu, a jego głowa o centymetr minęła stalową butlę z tlenem. Kierowca zerknął do tyłu.

– Przepraszam – powiedział ze skruchą.

Saracen chrząknął i szybko skończył się ubierać.

– Teraz wiemy kto jest kim – zauważyła Jill Rawlings. Obsługa karetki miała obowiązek nosić w takich sytuacjach białe plastikowe kurtki oznaczone odblaskowym pasem z napisem: Lekarz, Pielęgniarka, Sanitariusz, zgodnie z funkcją tego, kto nosił kurtkę.

– Kiedy byłam mała – mówiła Jill – zawsze miałam wrażenie, że jestem częścią swojego ubrania.

– Ciekawa myśl – przyznał Saracen. – Są jakieś szczegóły o tym wypadku?

– Ciągnik siodłowy z naczepą i dwa osobowe.

Saracen skrzywił się.

– Zderzenie?

– Czołowe, a potem dobitka z tyłu.

Doktor gwizdnął cicho.

– Morfina?

– Jest.

– Narzędzia chirurgiczne?

– Gotowe.

Wyjechali z miasta. W otwartym terenie deszcz ze zdwojoną siłą atakował przednią szybę samochodu. Na obwodnicy ambulans przyspieszył. Ze swojego miejsca w tyle wozu Saracen nie widział mijanych pojazdów, tylko rozmyte plamy żółtego blasku. W oddali pojawiły się niebieskie, migające światła – znak, że zbliżali się do miejsca wypadku. Były już tam dwa wozy strażackie. Zainstalowane przez strażaków lampy łukowe oświetlały szosę. Nieco dalej stały w poprzek jezdni trzy samochody policyjne.

Lampy sygnałowe słały w nocne niebo błękitne rozbłyski. Saracen wysiadł z ambulansu. Musiał nisko pochylić głowę, żeby przeciwstawić się ulewie i gwałtownym podmuchom wiatru. Dowódca strażaków podprowadził go do jednego z wozów policyjnych i tam, za tą wątpliwą osłoną, zapoznał lekarza z sytuacją. Jego głos z trudem przebijał się przez warkot potężnych generatorów.

– Pierwszy samochód, ford escort, wbił się przodem pod ciągnik. Dwie osoby siedzące z przodu mają ucięte głowy. Na tylnym siedzeniu jest dziecko. Prawdopodobnie też martwe, ale tego nie jesteśmy pewni na sto procent.

– A drugi samochód?

– Kierowca zabity. Kierownica zgmiotła mu klatkę piersiową. Pasażerka, chyba żona, ma przygniecione stopy. Moi chłopcy próbują ją wydobyć.

– Jest przytomna?

– Nie.

– Zajmie się nią siostra Rawlings. Ja spróbuję dostać się do tego dziecka – wykrzyczał Saracen przez złożone w tubę dłonie.

Strażak energicznie skinął głową, dając do zrozumienia, że wszystko usłyszał. Ruchem ręki nakazał Saracenowi iść za sobą. Klucząc wśród kabli i węży strażackich podeszli do wysokiego przodu ciągnika, zdeformowanego teraz na podobieństwo potwornej paszczy z na wpół połkniętym fordem.

– Najłatwiej będzie się tam dostać od przodu, z lewej strony... – przekrzykiwał hałas strażak.

Saracen położył się na zimnym, mokrym asfalcie i wczołgał pod zderzak ciągnika. Wyciągnął rękę i wziął podaną mu przez któregoś ze strażaków latarkę dużej mocy.

Spróbował wcisnąć się dalej, szukając jakiejś szczeliny w boku forda, która umożliwiłaby dostanie się do wnętrza wozu. Po chwili stwierdził, że asfalt pod nim jest lepki. Jeszcze dalej krew ściekająca przez otwór w podłodze samochodu utworzyła kałużę. Z tyłu woda deszczowa znalazła drogę przez poskręcane blachy i lała się równym strumieniem na nogi lekarza.

Ostatecznie Saracenowi udało się wcisnąć rękę między lekko wygięte drzwi i środkowy słupek eskorta. Wsparł się plecami o wewnętrzną stronę koła ciągnika i wciskał rękę coraz głębiej, aż dotknął krawędzi tylnego siedzenia. Sunął dłonią po mokrej tkaninie tapicerki, dopóki nie trafił na coś miękkiego i chłodnego. Ręka. Szukał tętna, ale go nie znalazł.

Pociągnął ostrożnie za przegub i po chwili poczuł, że ciało dziecka pada na jego przedramię. Cofnął rękę i po omacku odszukał głowę. Dotknął kędzierzawych włosów, przesunął dłoń niżej, szukając tętna arterii szyjnej. Tętna nie było. Z trudem cofnął rękę, przy czym dziecko sturlało się aż do samej szczeliny utworzonej przez wygięte drzwi. Zaświecił latarką. Teraz widział, że to mała dziewczynka. Jej otwarte oczy były martwe.

Zaczął się wycofywać, pełzając jak przedtem, tyle że nogami do przodu. W tym momencie usłyszał przeraźliwy krzyk kobiecy. Obrócił głowę i zobaczył żółte buty ochronne nadbiegającego strażaka. Nad asfaltem ukazała się odwrócona twarz.

– Doktorze! Ta kobieta oprzytomniała. Musi mieć straszne bóle.

Nim lekarz zdążył odpowiedzieć, krzyk przycichł. Saracen domyślił się, że Jill Rawlings opanowała sytuację. Obowiązujący w szpitalu ścisły podział funkcji, nie zawsze mógł być stosowany w praktyce Pogotowia.

Saracen wygramolił się spod samochodu i wstał. Nie omieszkał przy tym zauważyć, jakie wrażenie jego widok zrobił na strażaku. Przód jego białej kurtki umazany był krwią. Któryś z policjantów rzucił lekarzowi zwój szmat. Ten zmoczył je pod wylotem węża strażackiego i usunął, ile się dało, lepka maź ze swego ubrania.

– Co z nią jest? – zwrócił się do Jill Rawlings.

– Nie mogą jej wydobyć. Chodź zobacz.

Jill cofnęła się, a Saracen klęknął, żeby zajrzeć od dołu do rozdartej wnęki podłogowej lewego fotela samochodu, który wbił się w tył forda eskorta. Zrozumiał na czym polega trudność. Noga kobiety została uwięziona między belką podtrzymującą silnik i wzmocnieniem przegrody czołowej, rozdartej w trakcie zderzenia. Stopa była jedną krwawą masą i sterczała pod kątem prostym do reszty nogi. Szczupłość przestrzeni uniemożliwiała posłużenie się hydraulicznym rozpieraczem lub choćby podnośnikiem.

Saracen odsunął się od samochodu.

– Będę musiał amputować – stwierdził krótko.

– Tak myślałam – powiedziała Jill. – Przygotowałam narzędzia.

– Co dałaś tej kobiecie?

Jill wymieniła nazwę leku, a on aprobująco skinął głową.

– Powiedz strażakom, żeby rozciągnęli tu jakąś osłonę przed tym cholernym deszczem.

Saracen zażądał lepszej latarki i jeszcze raz obejrzał miejsce, gdzie uwięziona była stopa kobiety. W tym czasie Jill rozmawiała z dowódcą strażaków. Zdecydowawszy co robić, doktor zastanowił się nad swoją pacjentką. Miała niewiele ponad trzydzieści lat. Dobrze ubrana i prawdopodobnie zdrowa – do chwili wypadku. Mogła być żoną jakiegoś cenionego fachowca, myślał Saracen. Wskazywała na to marka i model samochodu oraz jakość jej ubrania. Jeszcze wczoraj ta kobieta mogła uchodzić za szczęśliwą; a obudzi się jako wdowa bez lewej stopy.

Wstał i odszedł na bok, by pozwolić strażakom rozpiąć prowizoryczny daszek z brezentu. Stojącego w pobliżu starszego rangą policjanta spytał o zawartość torebki kobiety.

– Może jest tam coś, o czym powinienem wiedzieć? Jakies świadectwo lekarskie, plakietka?

Policjant pokręcił przecząco głową.

– Miała tylko kartę dawcy nerki.

– A jej mąż?

– Też. Oddałem ją w ambulansie, który zabrał ciało i zawiadomiłem szpital.

Saracen skinął głową. Ciekawe, kto o tym wszystkim powie tej kobiecie, pomyślał.

– Wszystko gotowe? – zwrócił się do Jill Rawlings.

– Gotowe.

Strażacy i policjanci wiedzieli co dzieje się pod brezentową osłoną, ale szczegółów mogła im dostarczyć tylko własna wyobraźnia. Kiedy jednak do ich uszu dotarło zgrzytanie piły chirurgicznej, jeden z posterunkowych nie wytrzymał i zwymiotował, opierając się o bok wozu strażackiego.

– Zaciski – rozległ się głos Saracena.

Jill Rawlings zareagowała błyskawicznie. Wiedziała, że doktor jest w tej chwili zajęty tamowaniem upływu krwi z kikuta operowanej nogi. Przewidywała każde żądanie Saracena, zanim zostało wypowiedziane. Waciki. Tampony uciskowe. Taśma. Mijały sekundy; wreszcie doktor odetchnął głęboko.

– W porządku. Wszystko będzie dobrze – powiedział.

Wstał i zaczął rozcierać obolałe kolana. Usunął się na bok, a sanitariusze delikatnie wydobyli kobietę spośród szczątek wozu i odnieśli do ambulansu.

– Co się stało z kierowcą ciągnika – spytał Saracen dowódcę patrolu policyjnego. Umył już ręce i teraz przyglądał się, jak Jill Rawlings zbiera ekwipunek przyniesiony z karetki.

– Odniósł tylko powierzchowne obrażenia. Pojechał pierwszym ambulansiem do szpitala na próbę trzeźwości.

– A więc nic tu po nas. Teraz to już wasza sprawa – powiedział Saracen, ruszając z Jill w stronę ambulansu.

– Będę chciał jeszcze się z panem zobaczyć – zawołał za nim policjant.

– Byle nie dzisiaj – odparł Saracen.

Siedząc już w karetce spojrzął na domy stojące w pobliżu drogi. Większość ludzi, którzy niedawno oglądali przez okna ekscytujące wydarzenie na szosie, wróciła do swoich telewizorów. Prawdziwe ludzkie dramaty szybko powszednieją. Saracen poczuł w ustach jakiś okruch, pewnie z jezdni; wypluł go na mokry asfalt.

Wciąż padało, kiedy ambulans zatrzymał się przed izbą przyjęć Skelmore General. Sanitariusze, brodząc po kostki w kałużach, toczyli wózek w stronę rampy. Saracen wszedł za nimi, towarzysząc uśpionej pacjentce aż do momentu przekazania jej lekarzowi dyżurnemu na oddziale chirurgicznym. Potem zamierzał udać się do domu. Mijając poczekalnię Pogotowia zatrzymał się, nie wierząc własnym oczom. To co widział, przypominało opisy społeczności żebraczej w osiemnastowiecznym Paryżu.

– Co tu się dzieje? – spytał Tremaine’a.

– Koniec świata! – lekarz stażysta Tremaine był wyraźnie wzburzony. – Po pierwsze, jest sobotni wieczór; po drugie, pogoda napędziła tu wszystkich okolicznych włóczęgów i bezdomnych, a po trzecie, odbyły się derby piłkarskie Skelmore City – Skelmore United. I stąd kłopoty.

Saracen rozejrzał się i zaklął w duchu. Gabinet zabiegowy – pełny, w poczekalni – gwarno jak w ulu. Pół tuzina policjantów przepytywało obecnych i robiło notatki. W kącie gabinetu zabiegowego siostra Lindeman uspokajała zapłakaną nastolatkę, łagodnie namawiając ją do przełknięcia rurki do sondowania żołądka.

– Przedawkowanie? – spytał Saracen.

– Sto aspiryn. Chłopak ją rzucił.

Saracen odwrócił się i spostrzegł siedzącą pod ścianą gabinetu pielęgniarkę. Widok był, w tej sytuacji, tak niezwykle, że musiało chodzić o coś poważnego. Zbliżył się i zauważył, że dziewczyna przyciska dłońią policzek.

– Co się stało? – spytał.

– To jeden z tych pijanych – odpowiedziała pielęgniarka. Opuściła rękę, odsłaniając świeży ślad stłuczenia na policzku.

– Powiedziałaś policji?

– Jack Lane już się nim zajął.

– A co z twoimi zębami?

Pielęgniarka uśmiechnęła się blado.

– Już wszystko w porządku. Naprawdę. Nic mi nie jest. Zaraz się pozbieram...

Saracen ścisnął ją za ramię i podjął przerwany obchód. Zajrzał do poczekalni i szybko pożałował tego kroku, kiedy potworny smród – zmieszana woń moczu, wymiocin i mokrych ubrań – uderzył go w nozdrza. Wszystkie krzesła były zajęte, ludzie siedzieli na podłodze. Między nimi przechadzała się jakaś kobieta o twarzy zalanej łzami. Saracen rozpoznał ją bez trudu. W deszczowe dni była stałym gościem Pogotowia. Personel szpitala znał ją jako Mary.

Takich jak ona, w felietonach na temat ludzkiej niedoli, pojawiających się od czasu do czasu w niedzielnych wydaniach gazet (między reklamami samochodów porsche i szwedzkich mebli) nazywano „ludźmi mroku”. Była sama na świecie, a poziomem inteligencji nie różniła się od dziecka, chociaż miała ponad trzydzieści lat. Całe swoje dorosłe życie spędziła albo na ulicy, albo w kolejnych schroniskach i przytułkach. Państwo Dobrobytu okazało się bezradne wobec jej nieszczęścia. Nie można jej było ulokować w normalnym szpitalu, bo fizycznie nic jej nie dolegało. Nie nadawała się na pacjentkę zakładu psychiatrycznego, bo chociaż opóźniona w rozwoju, nie była jednak chora umysłowo. I tak żyła na tym świecie nie mającym współczucia dla trzydziestoletniej kobiety o umyśle dziesięcioletniego dziecka.

Jeśli w czasie jej pobytu poza schroniskiem nastąpiła zła pogoda, zjawiała się w Pogotowiu, zalana łzami i cuchnąca uryną, licząc na nocleg i odrobinę przychylności. Niezbyt często jej się to udawało, a to z tego prostego powodu, że takich „Mary” było na ulicach więcej.

– Ty znów tutaj, Mary? – powiedział łagodnie Saraceni. – Przecież wiesz jakie są przepisy.

– Ale doktorze, ja jestem chora – łkała kobieta.

Do Saraceni podszedł dozorca.

– Dzwoniliśmy do kościoła – szepnął mu do ucha. – Mogą ją przyjąć na tę noc do kościelnego schroniska przy Freer Street.

Saraceni skinął głową, wdzięczny za wiadomość, dzięki której nie musiał wyprosić Mary na ulicę.

– Chodź, Mary – zwrócił się do niej. – Znaleźliśmy dla ciebie dobre, ciepłe łóżko.

Łkanie ucichło, a Mary podeszła do Saraceni z otwartymi ramionami. Doktor z wysiłkiem zmusił się do przyjęcia tego dziękczynnego uścisku. Wstrzymując oddech poklepał biedaczkę po plecach, mając nadzieję, że ta uwolni go, zanim załamie się jego wytrzymałość na odór amoniaku.

– Jestem pewny, że jeden z tych miłych policjantów odwiezie cię do schroniska.

Najbliższy konstabl z rozpaczą podniósł wzrok ku niebu.

– Oczywiście – zgodził się z kiepsko udawanym entuzjazmem. Kiedy dozorca wyprowadzał Mary, policjant szepnął do doktora:

– Ostatnim razem musieliśmy po niej przez trzy dni dezynfekować naszą pandę.

Saraceni odszukał Tremaine’a.

– Będziesz potrzebował pomocy. Zostanę z tobą – powiedział.

– Naprawdę nie miałem zamiaru o to prosić – usprawiedliwił się zmieszany stażysta.

Saraceni roześmiał się i zaczął wkładać fartuch.

Siostra Lindeman zakończyła już płukanie żołądka nastolatki. Zostawiła dziewczynę pod opieką innej pielęgniarki i wróciła do pokoju zabiegowego, aby zorientować się w sytuacji. Spostrzegłszy Saraceni uśmiechnęła się szeroko.

– Nie mógł pan pozostać aa uboczu, co, doktorze?

– Coś w tym rodzaju, siostró. Kto następny?

Personel Pogotowia przystąpił do usuwania skutków burzliwej soboty. Zmęczenie wykluczało jakiegokolwiek pogawędki. Saracen, zanim przystąpił do zabiegu, zadawał tylko niezbędne pytania. Bez śladu emocji wysłuchiwał odpowiedzi pacjentów. Przed ich paplaniną chroniła go obojętność wywołana zmęczeniem. Nie robiły na nim wrażenia opowieści o ich przygodach, o okolicznościach powstania opatrywanych ran i skaleczeń – zadanych butelką od piwa, kuflem, metalowym grzebieniem czy nożem do chleba...

Kończył opatrywanie czwartego z rzędu pacjenta, kiedy zawiadomiono go o przybyciu ambulansu z ofiarami kolejnego wypadku drogowego. Kilka minut później do izby przyjęć wjechał otoczony policjantami wózek. Zrozpaczona kobieta z krwawiącą raną na czole biegła obok noszy. Saracen domyślił się, że na wózku leży jej mąż.

– To przez ten deszcz, to deszcz... David zawsze jest taki ostrożny za kierownicą, ale teraz ten deszcz... Wóz wpadł w poślizg, nic nie mógł zrobić. To wszystko ten deszcz...

Stojący obok sanitariusz pokręcił głową i zwrócił się do jednej z pielęgniarek:

– Siostró, czy znalazłoby się jakieś krzesło dla pani...?

– Lorrimer – powiedziała nerwowo kobieta. – Przez dwa „r” – dodała.

Saracen uśmiechnął się do niej uspokajająco. Kiedy odprowadzono ją do poczekalni, podszedł do noszy.

– Myślę, że już po nim – odezwał się sanitariusz i zapoznał Saracena ze szczegółami wypadku. Tymczasem lekarz badał poszkodowanego.

Po chwili podniósł głowę znad noszy.

– Ma pan rację, on nie żyje. Prawdopodobnie żebra przebiły mu serce. Autopsja wykaże jak było naprawdę.

– Zechce pan powiadomić żonę? – spytał jeden z policjantów.

Saracen zgodził się i poszedł szukać kobiety. Pielęgniarka zabrała ją do jednego z bocznych pokoi. Widząc wchodzącego Saracena pani Lorrimer wstała i uśmiechnęła się niespokojnie. Następnie zaczęła szybko mówić, jakby w nadziei, że jej słowa będą w stanie odmienić rzeczywistość:

– Nic mu nie będzie, prawda? Po prostu lekki wstrząs. Tak właśnie myślałam. Ta pogoda jest niesamowita. Mówiłam Davidowi przed wypadkiem...

Umilkła, kiedy Saracen ujął jej dłonie i pokręcił głową.

– Bardzo żałuję – powiedział. – Pani mąż nie żyje, pani Lorrimer. Nie byliśmy w stanie nic zrobić.

Oczy kobiety rozszerzyły się i napęłniły łzami. Oto zrozumiała, że jej świat się zawalił. Wstrząsnęło nią łkanie, którego nie potrafiła opanować. Saracen objął ją jedną ręką, powstrzymując gestem zbliżającą się pielęgniarkę. Pozwolił kobiecie płakać. Kiedy po chwili nieco się uspokoiła, spytał z kim chciałaby się skontaktować. Krewni? Przyjaciele?

– Siostra pomoże pani doprowadzić się do porządku i przyniesie herbaty – wyjaśnił, oddając ją w ręce czekającej pielęgniarki.

Wrócił do pokoju zabiegowego. Chwilę później w drzwiach prowadzących do poczekalni stanął silnie zbudowany mężczyzna.

– Chcę widzieć się z lekarzem – zażądał bełkotliwie. Przeształ z nogi na nogę, chwiejąc się, i z wyraźnym trudem próbując skoncentrować wzrok na stojącej przed nim postaci.

– Musi pan poczekać na swoją kolej – powiedział Saracen. – Proszę wrócić do poczekalni.

– Chcę, kurwa, lekarza! I to już! – wrzasnął pijany. Chciał huknąć pięścią w stół, ale chybił i uderzył w krawędź stalowej tacy z narzędziami. Rozległ się ogłuszający, metaliczny grzechot i pijak cofnął się chwiejnie, wyraźnie zaskoczony efektem swego gestu.

– Musi pan czekać na swoją kolej. Tak jak inni. Proszę do poczekalni – Saracen starał się zachować spokój.

– Kto tak powiedział?

– Ja – beznamiętnym tonem odparł lekarz.

Pijak prychnął pogardliwie.

– Może mnie zmusisz, co? – zachrypiął.

– Ja nie. On – powiedział rzeczowo Saracen, ruchem głowy wskazując dozorcę, Jacka Lane'a, który wrócił właśnie z gabinetu rentgenowskiego. Ten popatrzył na pijanego z wysokości swoich dwóch metrów i zakomenderował spokojnie:

– Ruszaj, synu... no widzisz, grzeczny chłopczyk. – I wyprowadził pijanego przytrzymując go za kołnierz.

Tremaine wzruszył ramionami i skrzywił się z niesmakiem.

– Dwadzieścia minut temu było tu pełno policjantów. Teraz, kiedy przydałby się choć jeden...

Saracen zaszył kolejną ranę ciętą głowy i podszedł do umywalki, żeby umyć ręce. Nacisnął łokciem dźwignię i podstawiwszy dłonie pod strumień wody rozejrzał się dokoła. Zegar na ścianie wskazywał dwadzieścia po drugiej. Saracen czuł, że jego zmęczenie przybiera formę cynicznego otępienia. Jak ogromnie różniło się to wszystko od młodzieńczych wyobrażeń o pracy lekarza. Rodzina i przyjaciele tylko utwierdzali go w złudzeniu, że wkrótce stanie się wybrańcem Boga, a przynajmniej społeczeństwa. Uśmiechnął się słabo na wspomnienie obrazów przyszłości, pielęgnowanych przez lata studiów. Widział siebie wówczas na schodach jasnego, nowoczesnego szpitala, jak ubrany w gustowny szary garnitur macha dłonią na pożegnanie wdzięcznej rodzinie uleczonego.

– Jak moglibyśmy się panu odwdziaczyć, doktorze? – pytają.

– Ależ nie ma o czym mówić...

Strumień pacjentów skurczył się do strumyczka i w końcu ostatni z nich chwiejnym

krokiem wyszedł przez wahadłowe drzwi poczekalni. Było dwadzieścia po trzeciej. Saracen usiadł powoli na metalowym krześle, opierając głowę o ścianę. Dołączył do niego Alan Tremaine. Z notatnika, który trzymał w ręce odczytał na głos:

– Czterdziestu trzech pacjentów; czternastu przyjęto na oddział; czterech odesłano do Szpitala Okręgowego; jeden zmarł przed przybyciem; reszta zwolniona do domu.

– Herbaty? – spytała siostra Lindeman.

– Prosimy.

Tremaine odłożył notatnik i przeciągnął się, a potem założył ręce za głowę.

– Jeszcze tylko dwa miesiące Pogotowia – westchnął. – A ty, James, jak długo tu jesteś?

– Sześć lat.

Tremaine głośno westchnął.

– Słuchaj, nie masz pojęcia, jak wdzięczny ci jestem za dzisiejszą pomoc.

– Nie ma o czym mówić.

– Coś trzeba zrobić z Gartenem – ciągnął Tremaine. – Jak długo będzie mu to uchodziło na sucho? Mam cholerną chęć poskarżyć się władzom.

– Niczego takiego nie zrobisz – odpowiedział Saracen. Tremaine'a zaskoczyła jego stanowczość. – Trzymaj język za zębami. Skończ staż i odejź z dobrymi referencjami. Zrozumiałeś?

– Jeśli tak uważasz... Ale to nieuczciwe, niesprawiedliwe.

– Nie trać czasu na szukanie sprawiedliwości. Nie szukaj kłopotów i pilnuj swojej kariery. – Saracen wstał i ruszył w stronę wyjścia.

Siostra Lindeman wróciła z herbatą, rozejrzała się dokoła.

– Czy doktor Saracen już poszedł? – spytała.

Tremaine skinął głową. Przyjął kubek od siostry i zapytał roztargnionym tonem.

– Jak to się dzieje, że James jest ciągle tylko zwykłym lekarzem? Musi mieć... Ile? Ze trzydzieści pięć lat? Trzydzieści sześć? A tak naprawdę, dlaczego on wciąż pracuje w Pogotowiu?

– Zupełnie nie wiem o co panu chodzi, doktorze – odpowiedziała siostra Lindeman. Chłodny ton jej głosu upewnił Tremaine'a, że nie należy kontynuować rozmowy na ten temat.

W zamyśleniu popijał herbatę.

– A co do Gartena...

– Niech pan pije herbatę, doktorze.

Dął silny wiatr. Saracen postawił kołnierz i pomaszerował w stronę bramy, szukać dozorczy. Ten, widząc zbliżającego się lekarza, wyszedł ze swej budki.

– Gdzie pan zostawił mój wóz? – spytał Saracen.

– Z tyłu, obok śmietnika – dozorca wrzucił do wyciągniętej dłoni doktora kluczyki i życzył dobrej nocy. Saracen odwrócił się i ruszył z powrotem, w dół pochyłości. Stapał

ostrożnie, by nie pośliznąć się na mokrych kamieniach. Deszcz ustał, ale po spadzistym terenie wciąż jeszcze spływały cieniutkie strumyki. Pochodzący z początku wieku bruk pełen był szpar i zagłębień.

Przed wejściem do szpitala, ciemność rozjaśniały świetlne znaki informacyjne, tu, na tyłach, panował głęboki półmrok. Nie było żadnych pomieszczeń dostępnych dla pacjentów, z wyjątkiem małej kaplicy sąsiadującej z kostnicą. Tu i ówdzie świeciły mizerne latarnie, zastępujące dawne, umocowane na ścianach, lampy gazowe.

Saracen zauważył, że do wysokich drzwi kostnicy przypięta była jakaś kartka. Podeszedł bliżej i z wielkim trudem odczytał:

KOSTNICA ZAMKNIĘTA

Z POWODU

AWARII AGREGATU

CHŁODNICZEGO

Bliższe informacje: tel. wew. 2711

Zaspokoiwszy ciekawość, ruszył dalej, wzdłuż szeregu wielkich pojemników na odpady szpitalne. Każdy z nich zaopatrzony był w kółka i przyspawany masywny pierścień, które umożliwiały opróżnianie ich za pomocą chwytaczy hydraulicznych. Odbywało się to co drugi dzień.

Saracen wzdrygnął się gwałtownie, kiedy z pojemnika tuż przed nim wyskoczył kot i błyskawicznie szurnął w ciemność.

Odnalazł swój wóz wciśnięty między rząd śmietników i ścianę. Nie zdziwił się, bo problem parkowania na terenie szpitala był stałą bolączką. Musiał się przeciskać między wozem i mokrą, kamienną ścianą budynku, by dotrzeć do drzwi po stronie kierowcy. Próbując trafić do zamka upuścił klucze i zaklął cicho stwierdziwszy, że z powodu ciasnoty nie może się schylić.

Obmacywał właśnie bruk pod nogami, kiedy posłyszał słaby, syczący dźwięk. W pierwszej chwili pomyślał, że to syczy powietrze uchodzące z koła samochodu. Dźwięk nasilał się – dochodził wyraźnie z większej odległości. Zaintrygowany podniósł się i przez lukę między dwoma pojemnikami spojrzął na podwórze szpitalne.

Źródło dźwięku przybliżyło się i wkrótce Saracen domyślił się, że to odgłos toczących się po mokrym asfalcie kół samochodu. Jakiś pojazd staczał się bez pomocy silnika z pochyłości od strony bramy. Saracen czekał, aż zapalą się światła samochodu, ale nic takiego nie nastąpiło. Zobaczył natomiast, że ciemna sylwetka wozu skręciła za róg i zatrzymała się obok kostnicy.

Światło żarówki umieszczonej nad wejściem do kostnicy pozwoliło Saracenowi dość wyraźnie zobaczyć trzech mężczyzn, którzy wysiedli z furgonu. Z rosnącym zaciekawieniem

przyglądał się, jak wkładają na siebie coś w rodzaju ubrań ochronnych. Mało prawdopodobną ewentualność, że są to specjaliści od instalacji chłodniczych, musiał Saracen odrzucić, ponieważ przybysze wdziali jeszcze kaptury, szczelne okulary ochronne i rękawice. Wyglądali teraz jak astronauta przygotowany do wejścia na pokład pojazdu kosmicznego.

Podeszli do drzwi kostnicy. Przystanęli na chwilę w karnym szeregu, potem drzwi uchyliły się i cała trójka zniknęła we wnętrzu.

Saracen zastanawiał się czy nie ma halucynacji. Może to przywidzenia spowodowane zmęczeniem? Popatrzył nawet przez chwilę w bok, ale zaraz stwierdził, że furgon stoi tam gdzie stał.

Kilka minut później dwaj dziwni przybysze pojawili się w drzwiach. Dźwigali długą skrzynię zawiniętą w plastikową folię. Załadowali ją do furgonu i znów zatrzymali się w wejściu. Prawdopodobnie czekali na trzeciego. Przez półotwarte drzwi Saracen widział niesamowity blask wypełniający wnętrze kostnicy; jak światło świec. Trzeci osobnik wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Saracen wyszedł zza pojemników i zbliżył się do furgonu.

– Co tu się dzieje? – spytał.

Trzy głowy w ciemnych okularach obróciły się w jego stronę bez słowa.

– Pytałem co tutaj robicie – powtórzył lekarz i zatrzymał się w pół drogi.

W dalszym ciągu nie było żadnej odpowiedzi. Saracen nagle poczuł się nieswojo. Brak reakcji na jego pytanie oraz fakt, że nie widział twarzy tych trzech nasunęły mu myśl, że nie było rozsądne podchodzić bliżej.

– Zostańcie tutaj – rozkazał i odwrócił się na pięcie ruszając ku budce dozorczy. Doszedł jednak tylko do początku wzniesienia, kiedy poczuł uderzenie w tył głowy i ogarnęła go czarna mgła nieświadomości.

2.

Był biały dzień, kiedy Saracen odzyskał przytomność i otworzył oczy. Spróbował poruszyć głową lecz szybko zrezygnował z tego zamiaru, sparaliżowany przenikliwym, wywołującym mdłości bólem w głębi czaszki. Przez chwilę leżał bez ruchu, chcąc uporządkować myśli. Przypomniawszy sobie zajście przed drzwiami kostnicy, uderzenie w głowę... Ale gdzie jest teraz?

Cisza i chłodne, szare światło sugerowały, że to świt albo wczesny ranek. Przy takiej jednak pogodzie jak wczoraj równie dobrze mogło być południe czy nawet wieczór. Rozstrzygnięcie tej wątpliwości było o tyle trudne, że nie leżał na wolnym powietrzu, ale w zamkniętym pomieszczeniu. Nad sobą widział sufit, a powietrze, choć nie ogrzane, wydawało się absolutnie nieruchome.

– Siostrze! – zaskrzeczał w nadziei, że a nuż spoczywa na szpitalnym łóżku. Jednak podświadomie wyczuwał, iż coś było nie tak, jak powinno.

Ciągle pamiętał o bólu, jaki wywołała pierwsza próba podniesienia głowy. Nie ponawiał więc jej, ale zaczął macać dokoła dłońmi i stwierdził, że leży na czymś twardym. Co więcej, wyczuł zimny gładki metal. Czyżby stal nierdzewna?

Kilkakrotnie jego palce natrafiły na wąskie, równoległe biegnące szczeliny. Coś mu to przypominało. Ale co? Miał trudności z koncentracją, chociaż starał się jak mógł. Czy powodem była rana głowy czy może coś innego? Niepokoił go wiszący w powietrzu zapach: ciężki, nieprzyjemnie słodki. Zapach, który odbierał nie tyle powonieniem, zbyt długo wystawionym na jego działanie, lecz jakimiś innymi zmysłami.

Może potraktowano go chloroformem? Nie, zdecydował. To nie chloroform. Ani eter. Coś innego, jakiś środek chemiczny, na pewno dobrze mu znany, ale nie mógł sobie przypomnieć nazwy – umysł nie funkcjonował jasno.

Brak postępów na drodze rozumowania dedukcyjnego skłonił Saracena do ponowienia próby uniesienia głowy. Wpierw jednak postanowił przesunąć ją nieco w prawo. Okazało się, że będzie to trudne. Nawet nie ze względu na ból, ale dlatego, że zdawała się spoczywać w

jakimś wgłębieniu; jak w foremce. Foremka nie była metalowa, bo czuł przez włosy, że jest ciepła i nieco mniej twarda. Tak! To jest drewno!

Nagle zrozumiał, gdzie się znajduje i jak rażony prądem poderwał się i usiadł sztywno. Szalony ból uświadomił mu, że popełnił błąd. W oczach mu pociemniało, w żołądku wezbrała fala mdłości. Strach i ból zmagaly się w jego mózgu dopóki nie otworzył oczu i nie spojrzął przez szpary między palcami dłoni, którymi podtrzymywał obolałą głowę. Długi rząd wiszących na ścianie noży z kościanymi rękojeściami potwierdził jego najgorsze obawy. Leżał na metalowym stole do sekcji zwłok.

Minęła cała minuta, zanim Saracen zmusił się do spuszczenia nóg ze stołu. Zaczął od lewej nogi. Przesunął ją ostrożnie poza krawędź stalowej powierzchni i pozwolił jej zwisnąć swobodnie, po czym dołączył do niej prawą. Teraz, wstrzymując oddech, spróbował stanąć. To była kompletna porażka. Niemal katastrofa. Nogi ugięły się pod nim, i runął na posadzkę. Na domiar złego palce lewej ręki uwięzły mu w jednym z otworów do odprowadzania krwi i płynów ustrojowych. Wylądował więc na podłodze z boleśnie nadwierzonym przegubem.

Obolały, bezbronny i sfrustrowany zaklął i jął podnosić się, aż oparł się na kolanach i dłoniach. Zatrzymał się w tej pozycji i zwiesił głowę, a ból napływał falami, jak przyplływ morza. Zrobiło mu się niedobrze i zwymiotował na podłogę. Gwałtowne skurcze żołądka dodatkowo go wyczerpały; czuł, że za chwilę zemdleje. Resztką odpływającej świadomości odchylił się w bok, żeby nie upaść we własne wymiociny.

Po raz drugi odzyskiwał przytomność z uczuciem nieznośnego, lodowatego zimna. Trząsał się cały w niekontrolowanym ataku dreszczy, ale myślał już nieco jaśniej. Musi dostać się do telefonu. W pomieszczeniu był aparat i Saracen wiedział w którym miejscu. Tylko jak sięgnąć do słuchawki? Nie próbował po raz drugi stawać na nogi. Poczłogał się po podłodze, trzymając głowę nisko, aby ułatwić dopływ krwi do mózgu. Miał przy tym okazję z wdzięcznością pomyśleć o gładkiej, łatwo zmywalnej podłodze, nie stwarzającej trudności przy raczkowaniu. Dotarł wreszcie do ściany i zaryzykował uniesienie ciała do pozycji siedzącej. Widział teraz aparat telefoniczny stojący na półeczce nad nim. Ten widok dodał mu sił. Wyciągnął rękę i złapał słuchawkę.

– Tu Saracen... jestem w prosektorium... przyślijcie kogoś...

Początkowo słyszał tylko dudniące echo, dobiegające jakby z głębi tunelu. Potem echo ucichło i zaczął rozróżniać pojedyncze słowa.

– Witamy w świecie żywych!

Sens tego okrzyku dotarł do świadomości Saracena, ale nie był w stanie odpowiedzieć.

– Zechcesz nam, stary, wyjaśnić co się stało?

Saracen otworzył oczy i poznał Martina Saithe'a, lekarza naczelnego Skelmore General. Nie przepadał za tym człowiekiem, ale na szczęście rzadko miewał z nim do czynienia, przez co osobiste sympatie czy antypatie nie stwarzały problemów. Obok Saithe'a stał Alan

Tremaine oraz policjant w mundurze. Pojawiła się też twarz siostry Very Ellis i Saracen dowiedział się, że znajduje się na oddziale czwartym, bezpośrednio nad pomieszczeniami Pogotowia.

Odzyskawszy zdolność mówienia Saracen opowiedział zebrany o incydencie przy kostnicy i o tym jak został ogłuszony ciosem w tył głowy. Zdziwił się nieco, że nikt z obecnych nie wygląda na szczególnie zaskoczonego. Saithe pokiwał głową i rzekł:

– Tak, tyle się domyślaliśmy. Miał pan nieszczęście zaskoczyć naszych nieproszonych gości.

– Nieproszonych gości? – spytał Saracen.

– Złodziei – wyjaśnił Saithe z wyrazem niesmaku na twarzy. – Doktor Garten zawiadomił mnie, że skradziono nowy kompresor, który miał być podłączony do instalacji chłodzącej w kostnicy. Małe, nędzne złodziejzki.

Saithe nieco zmrużył oczy i przybrał pełen cierpienia wyraz twarzy, mający oznaczać niezwykłą wrażliwość na wszystko co wulgarne i niskie. Ponadto zdradzał pewne zaniepokojenie i wydawało się, że ma ochotę odejść.

– Cóż – powiedział spoglądając na zegarek. – Myślę, że sprawa jest zupełnie jasna. Otrzymał pan paskudny cios w głowę, ale obyło się bez poważnych skutków. Doktor Garten przez kilka dni jakoś poradzi sobie bez pana. Ale wkrótce będzie pan zdrow jak ryba.

Na myśl o tym, że Garten „radzi sobie sam” Tremaine spojrzął na Saracena i uniósł brwi. Na szczęście Saracen w obecnym stanie nie był skłonny do śmiechu.

– Może spróbowałby pan – Saithe zwrócił się jeszcze raz do Saracena – powiedzieć obecnemu tu funkcjonariuszowi coś, co pana zdaniem mogłoby ułatwić dochodzenie. – Uśmiechnął się z przymusem, podziękował siostrze i odszedł.

– Jeśli mógłby mi pan udzielić jakichkolwiek informacji... – zaczął policjant.

– Tak; zaraz zacznę wymiotować – oświadczył Saracen.

Siostra Ellis w porę wezwała młodszą pielęgniarkę, która przybiegła z odpowiednim naczyniem. Pościel i podłoga pozostały więc lśniąco czyste.

Po ustaniu skurczów żołądka Saracen leżał na wznak czekając, aż ucichnie bolesne pulsowanie w głowie. Wreszcie poczuł się nieco lepiej i zwrócił się do młodego policjanta.

– Było ich trzech – zaczął.

Ucieszony policjant skwapliwie sięgnął po notes.

– Czy przyjrzał się pan któremuś z nich? – spytał.

Saracen opowiedział o kombinezonach, kapturach i okularach ochronnych.

Policjant pokiwał głową w zamyśleniu.

– To może być bardzo ważne – stwierdził. – Z tego co pan powiedział wygląda, że oni mieli na sobie coś takiego jak przy zdzieraniu azbestu ze starych budynków. Taak, to może być bardzo cenna wskazówka – powtórzył.

– Cieszę się – mruknął Saracen bez entuzjazmu, bo ciągle jeszcze nękały go mdłości.

– Pozwolę panu teraz pospać – oświadczył policjant wstając. Schował notatnik i oburącz, zgodnie z wymaganiami musztry, nasadził kask na głowę. Skinął jeszcze w stronę Saracena i Tremaine’a i „na razie” się pożegnał.

– Wyglądasz okropnie – powiedział Tremaine, kiedy zostali sami.

– Bo i czuję się okropnie – przyznał Saracen.

– Wiesz – zaczął ostrożnie Tremaine – to uderzenie w głowę nie było takie straszne. Na zdjęciu rentgenowskim widać, że wszystko w porządku. Jestem zaskoczony twoim samopoczuciem.

W pierwszej chwili Saracen miał chęć uderzyć Tremaine’a, ale nie potrafił zmusić się do jakiegokolwiek wysiłku.

– To nie było tylko uderzenie – stwierdził.

– A co?

Saracen skrzywił się, bo na to pytanie, nie miał odpowiedzi.

– Nie wiem dokładnie, ale myślę, że mogli mnie podtruc. Kiedy odzyskałem przytomność, płuca wypełniało mi coś, co nie pozwalało jasno myśleć.

– Mówisz poważnie?

– Gdy doszedłem do siebie miałem uczucie, że nawdychałem się jakiegoś gazu. Musiałem wchłonąć go tyle, że nie byłem w stanie nawet rozpoznać co to takiego. Czy to ty przyszedłeś po mnie, kiedy zadzwoniłem?

– Owszem, ja.

– Nie zauważyłeś jakiegoś silnego zapachu?

– Tak, formaldehyd. Ale w tamtym pomieszczeniu to rzecz naturalna.

– Formaldehyd – powtórzył wolno Saracen. – Może właśnie tak. Ale musiałyby go być bardzo dużo. Nie natknąłeś się na stłuczoną butelkę?

– Nie, ale też nie szukałem niczego takiego. Wszyscy byliśmy zaaferowani i myśleliśmy tylko o tobie. Jeśli chcesz, mogę tam pójść i sprawdzić.

– Byłbym wdzięczny. Powiedz jeszcze, czy wchodziłeś do samej kostnicy?

– Drzwi między kostnicą a prosektorium były zamknięte na klucz.

– Na ogół się ich nie zamyka – zauważył Saracen.

– Może chodziło o to, żeby tych magików od chłodzenia nie wpuszczać do prosektorium. Kostnica to nie miejsce dla ciekawskich; prosektorium tym bardziej.

– Chyba masz rację.

Tremaine wstał.

– Wiesz, co teraz zrobię? – spytał.

– No?

– Zadzwonię do Gartena i powiem mu, że przez kilka dni nie przyjdiesz na dyżur. Koniec z wieczornym łykaniem środków przeczyszczających. Rano zamiast do ubikacji, będzie musiał biec do pracy.

– Kto ze stażystów jest dziś w Pogotowiu?

– Doktor Prahash Singh i pani doktor Chenhui Tang.

Saracen przymknął oczy i zagryzł wargi.

– Ano, właśnie – powiedział Tremaine. – Żadne z nich nie mówi zbyt dobrze po angielsku.

– A jak twoja chińszczyzna i urdu? – spytał Saracen.

– Nie dość dobre, żebym mógł praktykować w Pakistanie albo w Chinach – zareplikował Tremaine.

– Widzę, że dowcip ci się wyostrzył. Ale teraz już idź. Cholernie źle się czuję.

Tremaine uśmiechnął się i wzruszył ramionami. Dochodząc do drzwi odwrócił się na pięcie.

– Jeśli czegoś będziesz potrzebował, krzycz.

Saracen kiwnął głową.

Późnym popołudniem Saracen czuł się o niebo lepiej. Do tego stopnia, że wpół do piątej wypisał się z oddziału, zapewniając siostrę Ellis, że jego stan jest zadowalający. Szybki powrót do zdrowia zaskoczył go i utwierdził w przekonaniu, że zaaplikowano mu jakąś łagodnie działającą truciznę. Po wydaleniu całej dawki z organizmu natychmiast poczuł się lepiej, podobnie jak to bywa z nadużyciem alkoholu i kacem. Jedyne, co mu jeszcze dolegało, to powierzchowny ból głowy. Tremaine miał rację mówiąc, że uderzenie nie było zbyt silne.

Po wyjściu ze szpitala musiał pójść na tyły budynku, żeby zabrać swój wóz. Próbował przypomnieć sobie co zrobił z kluczykami, podchodząc do drzwi kostnicy. Zatrzymał się przy śmietniku i z ulgą stwierdził, że wszystko znów wygląda normalnie. Żadnych obcych furgonów, żadnych zakapturzonych ludzi w ciemnych okularach, a drzwi od kostnicy porządnie zamknięte. Obejrzał kłódkę i właśnie zamierzał sprawdzić zamek w drzwiach, gdy nagle zaleciała go woń amoniaku tak silna, że cofnął się odruchowo.

– Co u licha?! – krzyknął.

Zapach amoniaku rozwiął się tak szybko, że Saracen nie był pewien, czy go w ogóle czuł. Nie zostało po nim nawet najmniejszego śladu. Z drugiej jednak strony, po ustaniu deszczu zerwał się wiatr; dość silny, by poradzić sobie z każdym zapachem. Podeszedł jeszcze raz do drzwi i powąchał. Nic. Może to wyobraźnia, pobudzona przejściami minionej nocy, tak oddziaływała na jego zmysł powonienia?

Wzruszył ramionami. Teraz sobie przypominał, że kluczyki upuścił przy samochodzie. Tam też, korzystając z dziennego światła, znalazł je bez trudu. Po piętnastu minutach był już w domu i nalewał sobie whisky do szklanki.

Po pierwszym łyku wstał, umieścił w odtwarzaczu płytę z utworami Vivaldiego, wyregulował natężenie dźwięku i usiadł w fotelu z lokalną gazetą w ręce. Najważniejsze wiadomości dotyczyły – jak co dzień od trzech tygodni – przewidywań wielkiego awansu

ekonomicznego Skelmore, dzięki zainteresowaniu miastem potężnej firmy japońskiej Otsuji Electronics. Wprawdzie ostateczne porozumienie nie zostało jeszcze podpisane i faktem było, że kilka innych miast, głównie Szkocji i północno-wschodniego okręgu przemysłowego, ubiegało się o partnerstwo w tym kontrakcie i budowę fabryki na ich obszarze, ale wszystko wskazuje na to, że faworytem jest Skelmore. Prawdę mówiąc, w artykule nie pojawiło się nic nowego, ale Saracen nie miał tego za złe redaktorom gazety. W końcu chodziło o wydarzenie przełomowe w życiu miasta.

W czasie swojej bytności w Skelmore, Saracen przyglądał się, jak miastu wydzierano jego serce. Tym sercem był przemysł. Pierwsza została zamknięta stalownia Lever Hanah. Potem to samo spotkało odlewnię żelaza, a w końcu – po długim i burzliwym strajku – zaprzestano eksploatacji kopalni węgla, gdyż uznano to za nieopłacalne.

Depresja ekonomiczna rzuciła cień na cały region. Widoczne to było na ulicach, gdzie jak chwasty na nie uprawianej glebie mnożyły się zabite deskami okna sklepów i warsztatów oraz tabliczki „Na sprzedaż”. Równie wymowne zdawały się mroczne twarze ludzi, których nadzieje zostały zniweczone. Obojętność i bierne poddanie się uciskowi trudnych czasów zastąpiły radosny optymizm, jaki kiedyś cechował mieszkańców miasta. Wzrosła przestępczość, przede wszystkim jej cięższe, gwałtowniejsze formy, a wśród nich kradzieże. Zdawało się, że ludzie doprowadzeni są do granicy wytrzymałości. Pozbawieni perspektyw grzęźli w bezsensownych swarach.

I wtedy nadeszła wiadomość o Otsuji i o możliwości powstania prawie pięciuset miejsc pracy w nowej fabryce. Jej otwarcie oznaczało także uruchomienie dziesiątków mniejszych firm, pracujących na potrzeby kolosa. Zaczęły wyrastać nowe domy, rozkwitł handel nieruchomościami, jak zwykle w przewidywaniu prosperity, do miasta jał napływać kapitał.

Nowy powiew optymizmu nie ograniczał się do sektora prywatnego. Przy Radzie Miejskiej, niemal z dnia na dzień, tworzono nowe wydziały o dostojnie brzmiących nazwach, które miały porządkować wzbierającą falę potrzeb związanych z handlem i rzemiosłem. Pojawiły się masy jaskrawo barwnych broszur i folderów, zachwalających zalety Skelmore i okolic, uznanych za teren przyszłego boomu.

Rozpoczęto nawet rozmowy na temat programu modernizacji szpitali, odkładanego od pięciu lat, a teraz zdjętego z półek i odkurzonego. Wydawało się, że Szpital Ogólny zanim zacznie się rozpadać, zostanie gruntownie wyremontowany.

Skelmore General był ciemną plamą na honorze miasta. Jeśli nie w oczach wszystkich, to w każdym razie tych, którym leżał na sercu poziom opieki medycznej. Oczywiście dla kogoś, kto mieszkał w Anglii przez ostatnie pięć lub dziesięć lat Szpital Ogólny w Skelmore nie różnił się od innych placówek tego rodzaju. Nie mogło być inaczej w sytuacji, gdy polityka rządu nie uwzględniała interesów służby zdrowia. Brak etatów, niskie płace, nieprzejednany (bo bezsilny) związek zawodowy – wszystko to sprzysięgło się, żeby sprowadzić morale środowiska medycznego do niebezpiecznie niskiego poziomu.

Nawet prasa zdawała się to rozumieć i zaniechała wałkowania ogranych tematów. Przestały się ukazywać opowiadki o ciekących sufitach i karaluchach w szpitalnych kuchniach opatrzone alarmującymi nagłówkami. Byłaby to zwykła strata czasu, skoro działo się tak nie z powodu czyjejś niekompetencji czy niedbalstwa. Brytyjska służba zdrowia rozpadała się, gdyż brakowało pieniędzy.

Skelmore General szczególnie dotkliwie odczuł surowe warunki ekonomiczne. Po pierwsze: dlatego, że mieścił się w bezładnym skupisku starych, wiktoriańskich budynków. Wszystkie instalacje: elektryczna, wodociągowa, kanalizacyjna były przestarzałe, a pomieszczenia, wysokie, nieraz jeszcze ze sklepieniami sufitami, utrudniały utrzymanie czystości i wymagały ogromnych wydatków na ogrzewanie.

Epidemie chorób przewodu pokarmowego występowały z zastanawiającą regularnością, a ich przyczyną, prawie pewną, choć nie ujawnioną publicznie, był niski standard higieniczny posiłków przygotowywanych dla chorych. Jak na ironię, zjawisko to przyniosło szpitalowi pewne korzyści. Wystarczyło podejrzenie, że epidemia biegunki ma podłoże zakaźne, by pozbyć się dotkniętych nią chorych przez odesłanie ich na oddział chorób zakaźnych Szpitala Okręgowego, który zresztą zdawał sobie sprawę z powodu tych przenosin.

W czasie ostatniego takiego transferu kolega Saracena i jego odpowiednik w Okręgowym, David Moss, zarzucił mu żartobliwie, że każdy, kto głośniej pierdnie w Ogólnym natychmiast ląduje w ambulansie. Saracen ripostował twierdząc, że Moss umyślnie zepchnął ze schodów dwóch starszych pacjentów, żeby móc ich potem odesłać na Oddział Ortopedyczny Szpitala Ogólnego.

Saracen zastanawiał się leniwie, jak wykorzystać dwudniowy urlop, kiedy zaterkotał telefon; dzwonił Nigel Garten.

– Cześć, James. Przed chwilą byłem na oddziale. Chciałem cię odwiedzić, ale okazało się, że wyfrunąłeś z klatki. Jak się czujesz? Już w porządku?

– Dziękuję. Czuję się dużo lepiej.

– Świetnie. Paskudna sprawa. Ale nic złego się nie stało, skoro wypisałeś się na własną prośbę, co? – Garten zaśmiał się głośno, choć z wyraźnym przymusem. Usiłował rozmawiać tak, jakby byli kumplami.

Saracen zaczął się domyślać, o co tu chodzi. I nie pomylił się.

– Niedługo z powrotem do zaprzęgu, co? – ciągnął Garten, nie rezygnując z przyjacielskiego tonu.

– Nie powinno to potrwać zbyt długo – zgodził się beznamiętnie Saracen.

– Jak sądzisz...? Kiedy mniej więcej...? – Garten powoli przechodził do konkretów.

Saracen uśmiechnął się na myśl, że dobrze odgadł zamiary szefa.

– Parę dni – powiedział.

– Oczywiście, nie wolno ci wracać do pracy dopóki nie poczujesz się całkiem zdrowy. Jestem pewny, że da się załatwić zwolnienie na parę dni.

– Słuchaj Nigel. Wcale nie potrzebuję zwolnienia lekarskiego. Należy mi się kilka dni wolnego. – Saracen nie dodał: „co najmniej”.

– Ach, naturalnie, stary, nie ma problemu. Tylko... wiesz jak to jest w Pogotowiu. Dopóki nie wrócisz my wszyscy będziemy dodatkowo obciążeni.

– Parę dni.

– W porządku. No cóż, uważaj na siebie i oczywiście jeśli byś rano poczuł się lepiej...

Saracen odłożył słuchawkę, zaklął i wrócił do swojej gazety. Przeleciał ogłoszenia zajmujące osiemdziesiąt procent tekstu i znalazł cotygodniowy artykuł, który zawsze go interesował, bo dotyczył historii Skelmore i okolic. Tytuł felietonu brzmiał szczególnie zachęcająco: „Klątwa Skelmore”. Autor streszczał w nim legendę o Kielichu ze Skelmoris, uważanym swego czasu za Świętego Graala – kielich, z którego korzystał Chrystus w czasie Ostatniej Wieczerzy.

Legenda mówi, że w miejscu dzisiejszego Skelmore znajdowało się Opactwo Skelmoris, założone przez dominikanów. W czternastym wieku wspomniany kielich z nie wyjaśnionych powodów został przeniesiony z Londynu do Skelmoris i powierzony opiece Hugona Letanta, ówczesnego opata.

Władze kościelne nie wiedziały, że Letant i braciszkanie ze Skelmoris byli najgorszymi z możliwych kandydatów na strażników relikwi. Okazali się złymi ludźmi. Trudnili się grabieniem podróźnych, którzy w swojej naiwności szukali w opactwie strawy i dachu nad głową. Legenda mówi, że Bóg, widząc iż Kielich znalazł się w rękach nیکczemników rozgniewał się i poraził ich śmiercią. W następnych latach podobny los spotykał każdego, kto trafił do opactwa w poszukiwaniu Kielicha. Na koniec całe opactwo zostało zniszczone przez pożar. Kielich zniknął wraz z klasztorem, lecz legenda przetrwała.

Przy okazji artykułu gazeta donosiła, że ostatnio zainteresowanie nie istniejącym już opactwem jakby odżyło. Do Skelmore przybyła nawet grupa archeologów z Uniwersytetu w Oksfordzie z zamiarem podjęcia prac wykopaliskowych. Saracen uśmiechnął się i odłożył gazetę, bo znów zadzwonił telefon. Tym razem odezwał się Alan Tremaine.

– Obejrzałem pomieszczenia prosektorium. Niestety, nie znalazłem śladów stłuczonej butelki po formaldehydzie.

– Trudno. Tak czy inaczej warto było spróbować.

– Może to śmieszne – ciągnął Tremaine – ale odniosłem wrażenie, że tam pachnie amoniakiem, nie formaldehydem.

Saracen poczuł nieznaczny przyływ emocji. A więc jednak. To nie były żadne halucynacje.

– Rzeczywiście? – spytał obojętnym tonem.

– Diabli wiedzą, co oni tam robią z amoniakiem – dziwił się Tremaine.

Saracen przytaknął, ale jednocześnie w jakimś zakątku jego mózgu zaczęło się rodzić niejasne przekonanie, że wszystko to ma pewien sens. Istniał związek między formaldehydem

i amoniakiem, ale w tej chwili nie mógł sobie przypomnieć – jaki.

- Był tu Garten. Szukał ciebie.
- Wiem. Dzwonił do mnie.
- Żeby spytać, czy jutro przyjdiesz do pracy? – zaśmiał się Tremaine.
- Coś w tym rodzaju.
- Mam nadzieję, że powiedziałaś mu co może zrobić.
- Powiedziałem, że biorę dwa dni wolnego.
- Ten facet jest niesamowity. Jak myślisz, czy on w ogóle pracował kiedyś samodzielnie?
- Mam teraz wolne i nie chcę o nim myśleć.
- Słusznie. No to korzystaj z odpoczynku. Zasłużyłeś na to. – I Tremaine się rozłączył.

Saracen odłożył słuchawkę i przez chwilę w zamyśleniu spoglądał przez okno. Było coś dziwnego w całej tej aferze z kostnicą. Coś, czego historyjka o nocnych złodziejaskach absolutnie nie wyjaśniała. Nawet, jeśli się pominie niewytłumaczalny zapach chemikaliów, istniał tu jeszcze jeden intrygujący szczegół. Człowiek, który otworzył drzwi kostnicy, nie mógł tak szybko sforsować zamka; musiał mieć klucz. A z tego wynika, że we włamaniu brał udział ktoś z personelu szpitala, albo z firmy zajmującej się instalacją chłodniczą.

Saracen przyrządził sobie jeszcze jednego drinka i popijał wolno, rozkoszując się świadomością, że dzisiejszej nocy nie musi nigdzie wychodzić. Nie musi martwić się o żadnych pacjentów. Gdyby chciał, mógłby się nawet upić. Nie miał wprawdzie takiego zamiaru, ale świadomość, że ma prawo wolnego wyboru sprawiała mu przyjemność. Dolał do whisky nieco wody i usiadł ze szklanką ukrytą w złożonych dłoniach. Dobra whisky była jednym z niewielu luksusów na jakie sobie pozwalał. Kupował tylko naprawdę wyborową, wytrawną whisky. Właśnie taką popijał teraz z kryształowej szklanki, jednej z sześciu, jakie otrzymał w nagrodę za zwycięstwo w konkursie na najlepszy esej. Jeszcze w czasach szkolnych.

Obracał szklankę w palcach, podziwiał szlifowane wzory i przypominał sobie jak inny był wówczas świat. Zdawało się, że to już sto lat minęło od czasu, kiedy jako jasnooki chłopak o bujnej czuprynie gotów był przeciwstawić się całemu światu. W rzeczywistości musiał stawić czoło medycznemu establishmentowi i w starciu tym poniósł klęskę.

Ukończywszy Akademię Medyczną z pierwszą lokatą, Saracen otrzymał propozycję pracy w zespole światowej klasy specjalisty, profesora sir Johna MacBryde. Miał szczerzy zamiar zasłużyć na uznanie szefa, wykazać się zapałem do dalszej nauki i ciężkiej, trudnej pracy. Niestety, realizując ten zamiar, nazbyt wiele uwagi poświęcił grupie pacjentów MacBryde'a, których choroby miały ilustrować doniosłą hipotezę tego wielkiego człowieka.

Kiedy MacBryde opublikował wyniki swoich badań w *The Lancet*, Saracen odkrył, że autor sfalszował niektóre dane, dzięki czemu zgłoszony „efekt MacBryde'a” zyskiwał na wiarygodności. To „naciągnięcie” wyników nikomu niczym nie groziło, ale Saracen, z prostoduszną, młodzieńczą nadgorliwością ujawnił swoje odkrycie publicznie. Reputacja

MacBryde'a legła w gruzach, a on sam, zupełnie załamany, odszedł na emeryturę.

Oficjalnie chwalono Saracena za czujność, odwagę i pryncypialność; jednak w rzeczywistości środowisko lekarskie nigdy mu nie wybaczyło obnażenia słabości charakteru Johna MacBryde'a. Nic nie zostało nigdy powiedziane przeciwko młodemu doktorowi – sam się musiał tego domyślić, kiedy jedna po drugiej zamykały się przed nim drogi dalszej kariery. Wszystkie jego podania o przyznanie funduszy na prace badawcze czy stypendia naukowe były grzecznie odrzucane. Okazało się, że daleko mu do zdolności króla Midasa.

Kiedy w końcu zrozumiał, co się dzieje, ogarnęła go bezsilna złość. Bezsilna, bo niby co mógł zrobić? Nikt mu nigdy w oczy nie powiedział, dlaczego nie dostaje takiego czy innego stanowiska. Był po prostu napiętnowany przez członków pewnego klubu, który nawet nie przyznawał się do swego istnienia. Incydent z MacBryde'em rozbił też jego małżeństwo. W życiowych planach Marion nie mieściła się rola żony „nieudacznika”.

Saracen zakochał się w Marion niemal od pierwszego wejrzenia. Była piękna, pełna uroku i życia. W jej obecności inne kobiety bladły, wręcz przestawały istnieć. Jej śmiałość i pewność siebie wywodziły się z faktu, że jest córką zawodowego dyplomaty. W cudowny sposób umiała zawsze stworzyć taką atmosferę, że Saracen czuł się tak, jakby należał do tej samej grupy społecznej. Nic dziwnego że on, jedyny syn skromnego urzędnika ubezpieczeniowego cenił te zdolności Marion równie wysoko jak jej urodę.

Był „w siódmym niebie”, kiedy Marion, wbrew wszelkim domysłom i przypuszczeniom, zgodziła się wyjść za niego. Bo trzeba wiedzieć, że podbiła serca wszystkich mężczyzn, którzy mieli okazję ją poznać. Z tych samych powodów powszechnie nienawidziły jej inne kobiety. Wzięli ślub w uniwersyteckiej kaplicy nazajutrz po uzyskaniu przez Saracena dyplomu; dyplomu najlepszego studenta roku. Czuł wówczas, że nie ma na świecie rzeczy dla niego niewykonalnych, nie ma celów nieosiągalnych. Z Marion u boku gotów był ścigać się z wiatrem, sięgać do gwiazd, spierać się z aniołami...

Niewątpliwie, pewnej uwagi wymagała sprawa pieniędzy, zwłaszcza gdy się okazało, że suma, jaką ojciec Marion wydawał na jej stroje, blisko dwukrotnie przewyższa jego zarobki lekarza-stażysty. Trzeba przyznać, że ojciec Marion, chociaż nigdy nie popierał jej małżeństwa z Saraceniem, gotów był zaspokajać kaprysy córki do chwili, gdy Saracen osiągnie pozycję znanego i cenionego specjalisty. Te sympatyczne skądinąd stosunki zaczęły się zmieniać, kiedy Saracen zrozumiał, że musi brać taką pracę, jaką mu oferowano. A były to bez wyjątku mało płatne, poślednie stanowiska w drugorzędnych szpitalach.

Nigdy nie doszło między nimi do poważnych scen. Zaczęło się od tego, że Marion coraz częściej przebywała ze swoimi dawnymi przyjaciółmi. Chętnie przyjmowała zaproszenia byłych wielbicieli na wystawne obiady, podczas gdy jej mąż pracował po kilkanaście godzin na dobę. Marion pozostawała w takich sytuacjach zupełnie szczerą, uważając swoje postępowanie za całkiem naturalne. Saracen znosił to z niemałą przykrością, ale – rzecz

dziwna – nigdy nie odczuwał gniewu, nigdy się nie złościł. Chciał zatrzymać pięknego motyla w klatce, a to okazało się niezgodne z prawami natury.

Cały gniew i gorycz zrodzone przez tę sytuację doszły do głosu w kontaktach Saracena z teściem. Saracen uparcie odrzucał wszystkie propozycje pomocy finansowej umożliwiającej otwarcie prywatnej praktyki lekarskiej. Postanowił zrehabilitować się, poświęcając się „prawdziwej” medycynie, a nie dogadzając kaprysom i fobiom bogaczy. Ojciec Marion w żaden sposób nie chciał zaakceptować postawy zięcia, a Saracen nie potrafił w pełni uzasadnić swoich poglądów. W rezultacie resztki wymuszonej przychylności w ich wzajemnych stosunkach rozwiały się raz na zawsze. Ojciec Marion postanowił zerwać to małżeństwo i uwolnić córkę od następstw błędnego wyboru.

Teść Saracena był nie tylko typowym snobem. Cechowała go jeszcze przebiegłość połączona ze sporą dozą inteligencji, czego zresztą wymagał jego zawód. Te swoje cechy potrafił wykorzystać w innych niż dyplomatyczne celach, a mianowicie aby wytworzyć dystans między Marion i Saracenem. Stosowane w tej grze sposoby były pozornie niewinne, ale okazały się skuteczne. Dwa lata wcześniej zmarła matka Marion, a ojciec potrzebował w domu kobiety pełniącej rolę pani domu na jego dyplomatycznych przyjęciach. Potrafił przekonać córkę, by towarzyszyła mu w jego podróżach zagranicznych i w końcu Marion po prostu przestała bywać w swoim domu.

W tym okresie Saracen trzykrotnie zmieniał mieszkanie, przenosząc się z małego i nędznego, do następnego, bliźniaczo podobnego. Wszystko zgodnie z tym, co przepowiadał jego teść. Praca w Pogotowiu szybko stawała się „jego specjalnością”, w znacznej mierze dlatego, że nie cieszyła się wzięciem wśród kolegów po fachu, a w szczególności rówieśników. Godziny pracy były wyjątkowo niewygodne, zaś jego czynności częściej miały charakter działalności społecznej, niż pomocy lekarskiej; perspektywy awansu praktycznie żadne. O zrobieniu specjalizacji lekarz z Pogotowia nie miał co marzyć.

Saracen gorzko żałował swego wyskoku z ujawnieniem potknięcia Johna MacBryde’a. Żał ów był zupełnie niezależny od następstw tego wydarzenia dla niego samego. Nie miał już żadnych wątpliwości, że kara, jaką poniósł MacBryde była niewspółmiernie surowa w porównaniu do jego winy. Wszystko czego dokonał zostało przekreślone i zapomniane, a on sam pozostał w pamięci ludzkiej jako oszust. Ten człowiek został zniszczony i on, James Saracen, nie uwolni się nigdy od świadomości, że wziął w tym udział.

Po dwóch latach niewidzenia się z Marion, Saracen pogodził się z faktem, że jego małżeństwo należy do przeszłości. Nie znaczy to, że nie odczuwał z tego powodu bólu. Ale cierpienie pozwoliło mu trzeźwiej spojrzeć na osobowość eks-żony i dostrzec wady, na które miłość czyniła go ślepy. W jego pamięci Marion pozostawała uosobieniem zjawiskowego piękna, istotą pozbawioną normalnej, materialnej trwałości. Była słaba, krucha, ulotna. I przeminęła.

Utrata Marion i głęboki samokrytycyzm rozbudzony przebiegiem sprawy MacBryde'a miały ten skutek, że Saracen stał się poniekąd znawcą człowieczej natury. W związku z tym zmieniła się też jego osobowość. Wybrał rolę samotnika, raczej obserwatora niż uczestnika ludzkich spraw. Nie skrepowany ambicjami zawodowymi, mógł uprawiać medycynę dla niej samej. O dziwo, stwierdził, że przynosi mu to nadspodziewaną satysfakcję.

Wkrótce okazało się, że jego wewnętrzna przemiana nie uszła uwagi kolegów i pacjentów. Zaczęto go powszechnie uważać za człowieka godnego szacunku, szczerego i prawdomównego. Albo mówił, to co myślał, albo nie mówił nic; żadnego sztucznego współczucia, łatwych uśmiezków skażonych nieszczerością, asekuranctwa w czynach i wypowiedziach. Samotność wyrobiła w nim postawę pewnego dystansu, zabarwionego niechęcią czy nawet wrogością wobec otoczenia. Ilekroć ktoś próbował zbliżyć się zanadto, Saracen otaczał się szczelną zasłoną. Unikał jednak zbytniej ostentacji. Jeśli ktoś próbował wtargnąć w jego życie prywatne, robił po prostu grzeczny unik, chroniąc się za mur konwenansów. Jego spokojna inteligencja wzbudzała zaufanie, a naturalna delikatność spotykała się z najwyższym uznaniem pielęgniarek.

Personel Pogotowia Ratunkowego przy Skelmore General doskonale wiedział, że Saracen jest o wiele lepszym lekarzem niż Nigel Garten, kierownik placówki. Opinie te, wypowiedziane przez współpracowników, docierały wielokrotnie do Saracena. Puszczal je mimo uszu. Nigdy nie słyszano od niego choćby słowa potępienia skierowanego przeciwko Gartenowi, co jeszcze bardziej umacniało jego pozycję wśród personelu.

Niejedna pielęgniarka chciała obdarzyć go nie tylko szacunkiem, ponieważ kobiety uważały Saracena za bardzo atrakcyjnego mężczyznę. Nie znaczy to, że był przystojny w sensie klasycznej urody, ale jego delikatność i takt, wyraziste oczy i swoista aura samotnika sprawiały, że nie miałby trudności ze zdobyciem żeńskiego towarzystwa, gdyby go potrzebował. Czasami istotnie potrzebował, ale na krótko. I stawiał sprawę jasno od samego początku. Przyjaźń i przyjemność – do tego sprowadzały się te związki. Z przyczyn zasadniczych unikał przygód z młodymi, początkującymi pielęgniarkami, które mogłyby uznać seks za wartość przetargową w rywalizacji o pozycję zawodową. Związki ze starszymi kobietami pozwalały na więcej swobody i dawały więcej zadowolenia.

Saracen spojrział w okno i z pewnym zaskoczeniem stwierdził, że zastanawia się co zrobić z wolnym czasem. W pierwszej chwili pomyślał, że warto by pójść z rana do szpitala, rozejrzeć się po kostnicy w poszukiwaniu odpowiedzi na parę niepokojących pytań. Doszedł jednak do wniosku, że najchętniej zapomniałby o całej tej aferze. Kolejna whisky pomogła mu utwierdzić się w tym przekonaniu. Głupio byłoby spędzić cenny dzień odpoczynku w szpitalu. Dlaczego nie zdobyć się na coś niekonwencjonalnego? Myślał przez chwilę, aż wreszcie znalazł. Morskie powietrze! Oto czego potrzebował. Szybki spacer brzegiem morza usunie pozostałości trucizny z płuc. Samochodem do Gerham-on-Sea i już jest na plaży. To tylko piętnaście kilometrów; lunch może zjeść w Ship Inn.

3.

Zdaniem Saracena jedną z nielicznych zalet pracy w Skelmore była bliskość Gerham-on-Sea. Czuł szczególną słabość do tej nadmorskiej miejscowości. Przypuszczał, że miało to coś wspólnego ze wspomnieniami dzieciństwa – radosnych wakacji, spędzanych z łopatką i wiaderkiem na piaskach angielskich plaż. Tak czy inaczej, lubił Gerham; uważał, że niczym nie ustępuje najslawniejszym brytyjskim kurortom w rodzaju Brighton czy Weymouth. Jak przystało na miejscowość wypoczynkową znajdowało się tu i długie moło z oszklonym pawilonem na końcu, i przystań łodzi ratunkowych, i szereg pensjonatów o tradycyjnych nazwach.

Teraz, w początku kwietnia, Gerham-on-Sea było niemal zupełnie puste; miasteczko nie przebudziło się jeszcze z zimowego snu. Dopiero za jakieś dwa miesiące z okien pensjonatów znikną okiennice, nad witrynami sklepów pojawią się barwne markizy, a na chodnikach staną kosze z zabawkami plażowymi; ruch i zgiełk zapanuje na ulicach. W namiocie przy głównej promenadzie co dzień o trzeciej po południu będzie można obejrzeć Puncha i Judy. Pojawią się też sprzedawcy lodów. Na tablicach u wejścia do każdej kawiarni zostaną wywieszone aktualne menu, a u szczytu schodów prowadzących na plażę da się wypożyczyć składane krzesła. I wreszcie całe miasteczko wstrzyma oddech w nadziei, że kurs funta szterlinga w stosunku do hiszpańskiej pesety nie spadnie, a kapryśna angielska pogoda nie odstraszy wczasowiczów. Od tego zależy bowiem, jak przeżyją do następnego lata.

Niektóre kawiarnie i sklepy już przegrywały konkurencyjną walkę z ośrodkami na Majorce i na wybrzeżu Morza Śródziemnego. Saracen nie tracił mimo wszystko nadziei, że Gerham i jemu podobne miejscowości potrafią wygrać wojnę, i że w oknach pensjonatów znów pojawią się dumne wywieszki: „Brak miejsc”.

Skrećając z wąskiej, gęsto zabudowanej uliczki w promenadę wiodącą ku plaży, Saracen musiał postawić kołnierz kurtki. Zimny, słony wiatr, nasycony zapachem morskiej roślinności chłostał zbocze klifu. Przy tym niebo było jasne, a przytłumione lekką mgiełką słoneczne światło kładło się barwnymi refleksami na grzbietach fal wbiegających z szumem na plażę. Saracen przeciął pas wydm i pomaszzerował po twardym, wyglądzonym przez odpływ piasku.

Cieszył się, że trafił na ten właśnie moment, bo lubił uczucie swobody, jakim przejmował go widok plaży poszerzonej przez ustępujące morze. Szedł wzdłuż linii wody, spoglądając na górujące nad wysokim brzegiem domy Gerham.

Od czasu do czasu podnosił wygładzony przez wodę obły kamyk i ciskał nim w morze. Starał się rzucać jak najdalej.

Opuścił plażę, znalazłszy się naprzeciw Jacob's Ladder – Drabiny Jakubowej – krętej dróżki wiodącej zakosami na krawędź klifu, który w tym miejscu wznosił się nad plażę na blisko sześćdziesiąt metrów.

Wspinając się stromą ścieżką, w połowie zbocza przystanął i wsparty na poręczy spoglądał na morze czekając, aż wyrówna się przyspieszony wysiłkiem oddech. Ciemna chmura przesłoniła słońce i woda przybrała zimną, szarą barwę.

Na górze wiatr był o wiele silniejszy, ale tym Saracen nie martwił się zbytnio, wiedząc, że teraz będzie go miał z tyłu; przynajmniej do gospody Ship Inn. W górze krzyczały mewy. Przyjrzał się wrzaskliwym ptakom i zauważył, że wyglądają na dobrze odżywione – te fruujące zabijaki, złodzieje i ścierwojady. Zastanawiał się, czy byłyby traktowane z taką sympatią, gdyby proces ewolucji uczynił je czarnymi zamiast śnieżnobiałymi.

Nagle uświadomił sobie, że nie jest sam. Kilka kroków przed nim, u rozwidlenia ścieżek, w małej budce, jakie jeszcze za królowej Wiktorii stawiano w punktach widokowych, siedział mężczyzna. Przechodząc obok budki Saracen pozdrowił go uprzejmym „dzień dobry”.

Mężczyzna, siedzący sztywno z dłońmi złożonymi na kolanach, poruszył wargami, ale nie wydał z siebie żadnego głosu.

Krótkie, przelotne spojrzenie pozwoliło Saracenowi zorientować się, że nieznajomy jest człowiekiem zamożnym. Miał starannie przystrzyżone włosy, ubrany był w doskonale skrojony garnitur, a opalenizna na twarzy wskazywała że niedawno wrócił z zagranicy. Saracen dostrzegł jednak w tej twarzy coś, co wywarło na nim duże wrażenie: wyraz oczu, wzrok człowieka owładniętego rozpaczą. Saracen zwolnił kroku, przez chwilę mocując się z myślami. Czy powinien wtrącać się w prywatne sprawy tego człowieka? Zdecydował fakt, że nieznajomy siedział blisko krawędzi klifu. Saracen zawrócił. Idąc w stronę budki zdjął ukradkiem zegarek i schował go do kieszeni.

– Przepraszam, czy mógłby mi pan powiedzieć, która jest godzina? – spytał.

Mężczyzna spojrział na zegarek.

– Wpół do pierwszej – odparł.

– Dziękuję panu – Saracen rozpaczliwie szukał w myślach sposobu nawiązania rozmowy.

– Założę się, że nie opalił się pan tak w naszym kraju – uśmiechnął się nieśmiało.

Nieznajomy podniósł wzrok i zanim odpowiedział zastanawiał się dłuższą chwilę.

– Przez ostatnie dwadzieścia lat mieszkałem w Afryce – odparł w końcu.

– Rzeczywiście? To bardzo interesujące. – Saracen uznał, że odpowiedź obcego upoważnia go do zatrzymania się na dłużej. – Domyślam się, że przyjechał pan na urlop?

– Moja żona i ja wróciliśmy tutaj po przejściu na emeryturę.

– A tak, to bardzo sympatyczna okolica – zauważył Saracen.

Nieznajomy nie odpowiedział.

Saracen postanowił zagrać w otwarte karty.

– Czy coś panu dolega? Wiem, że to nie moja sprawa, ale jestem lekarzem, jeśli to ma jakieś znaczenie. Czy mógłbym panu w czymś pomóc?

Na dźwięk słowa „lekarz” nieznajomy poruszył się gwałtownie i parsknął z pogardą.

– Lekarz? Niech diabli wezmą wszystkich lekarzy!

Mimo wrogości jego słów Saracen był z siebie zadowolony. Udało mu się wykrzesać trochę ognia z tego człowieka.

– Przykro mi – powiedział. – Musiał pan mieć jakieś złe doświadczenia z lekarzami?

– Złe doświadczenia?! Na litość boską, moja żona nie żyje! – mężczyzna załamał się nagle. Szlochał, kryjąc twarz w dłoniach.

Saracen położył rękę na ramieniu nieznajomego. Milczał; nie próbował go pocieszać. Mężczyzna uspokoił się po chwili, wydmuchał nos i rzekł:

– Przepraszam, nie powinienem był... Proszę mi wybaczyć. Dużą chustką otarł pośpiesznie oczy.

– Nie ma za co przepraszać – powiedział Saracen. – Idę na lunch do Ship Inn. Przyłączy się pan?

Obcy zawahał się, ale zaraz skinął głową. Wstał i wyciągnął dłoń do Saracena.

– Nazywam się Timothy Archer.

– James Saracen.

Poszli z boczem w kierunku miasteczka. Gospoda znajdowała się na jego wschodnim krańcu, u podnóża klifu. Nad wejściem wisiał model trójmasztowego szkunera. Same drzwi były tak niskie, że wchodząc należało głęboko pochylić głowę. W ciepłe panującym wewnątrz baru natychmiast poczuli skutki ostrego, morskiego wiatru: skóra twarzy piekła jak po długotrwałym pobycie na słońcu.

– Co panowie każą? – spytał gospodarz.

Saracen zamówił whisky i spojrzał na swego towarzysza.

– Oraz... – zaczął, i wyczekująco zawiesił głos.

Archer sunął wzrokiem po półkach.

– Czy ma pan jacka danielsa?

– Powinien być. – Gospodarz przejechał w powietrzu palcem wzdłuż baterii butelek. – Jest!

Przesunął nogą mały stół, wspiał się nań ze stęknieniem i zdjął mocno zakurzoną flaszkę.

Zabrali szklanki oraz jadłospis i usiedli przy stole koło okna, z widokiem na morze. Po kilku minutach zjawiała się wezwana przez gospodarza dziewczyna i ogryzkiem ołówka

zapisła ich zamówienie.

Saracen czekał cierpliwie, aż Archer opróżni szklanę, i dopiero wtedy napomknął o jego kłopotach.

– Szczerze mówiąc, nie wiem od czego zacząć.

– Nigdzie się nie śpieszę – uspokoił go Saracen. – A pan?

Archer dopił swoją porcję burbona i spojrzął na gospodarza. Podniósł dwa palce, a potem bez słowa wskazał puste szklanki na stole. Saracen zauważył ten gest i zrozumiał. Tak, Archer musiał długo przebywać w Afryce. Gospodarz przyniósł tymczasem drinki i Archer zaczął mówić.

– Dwadzieścia lat temu moja żona Myra i ja, sprzedaliśmy wszystko i wyjechaliśmy do Rodezji, dzisiejszego Zimbabwe.

W głosie Archera Saracen wyczuwał pewne podniecenie albo zdenerwowanie.

– Był to bardzo poważny krok. Zналиśmy się od dziecka i żadne z nas nigdy nie wyjeżdżało za granicę, nawet na wakacje. Oboje wyrosliśmy tutaj, w Skelmore, ale chcieliśmy od życia czegoś więcej niż czterdziestu lat pracy, codziennego dreptania tam i z powrotem tą samą ulicą.

Przeprowadzka do Afryki była wielkim i ryzykownym przedsięwzięciem, ale szczęście nam sprzyjało. Krótko mówiąc, odnieśliśmy sukces i zdobyliśmy wszystko, czego pragnęliśmy. Nie mieliśmy dzieci, ale pogodziliśmy się z tym, bo mieliśmy siebie nawzajem i to było najistotniejsze i wystarczało nam. Jednak pewnej nocy zeszłego roku zwierzyłem się Myrze, że ciągle tęsknię za Starym Krajem. Uwierzy pan? Naprawdę tęskniłem za Skelmore. I wie pan? Myra powiedziała wtedy, że czuje dokładnie to samo!

Archer uśmiechnął się na wspomnienie tamtej chwili, pociągnął łyk ze szklanki i mówił dalej.

– Cóż, śmialiśmy się i śmiali, aż wreszcie Myra zaproponowała, byśmy wrócili. Mieliśmy już swoje lata. Mogliśmy sprzedać farmę i żyć z emerytury, kupić jakiś domek w Skelmore albo tu w Gerham. Moglibyśmy odwiedzać stare kąty i udawać, że znów jesteśmy dziećmi.

Z początku wahałem się, bo pozbycie się farmy nie było takie proste. W warunkach jakie się tam ostatnio wytworzyły, musiałbym ją sprzedać poniżej rzeczywistej wartości. Ale Myra przekonywała, że wystarczy abyśmy dostali tyle, ile trzeba na kupno mieszkania; no i żeby zostało na życie. I tak zrobiliśmy. Napisaliśmy do agenta handlu nieruchomościami w Skelmore z zapytaniem o domy w tej okolicy i ku naszemu zdziwieniu dostaliśmy odpowiedź, że nowe domy i bloki wyrastają tu jak grzyby po deszczu; coś tam jeszcze pisał o japońskiej firmie otwierającej fabrykę w Skelmore.

Saracen przytaknął ruchem głowy.

– Przysłał nam kilka ofert, a my zdecydowaliśmy się na jedno z tych nowych mieszkań w osiedlu Palmer's Green. Myra przyjechała tu dwa tygodnie przede mną, żeby wszystko przygotować. Przez ten czas ja do końca uporządkowałem nasze sprawy tam, w Rodezji. –

Archer przerwał, jakby zbierał siły przed przejściem do ostatniego rozdziału swojej opowieści. – Kiedy przyjechałem tu w miniony wtorek sąsiad powiedział mi, że Myrę zabrano do szpitala.

– Do którego? – spytał Saracen.

– Sąsiad twierdził, że do Ogólnego, ale kiedy tam pojechałem, już jej nie było. Dowiedziałem się, że przewieziono ją do Szpitala Okręgowego. W Okręgowym powiedziano mi, że tam jej nie ma. Byłem na granicy szaleństwa, nie wiedziałem co robić.

– Wyobrażam sobie. I co pan zrobił?

– Wróciłem do Ogólnego i przekazałem im to, co usłyszałem w Okręgowym. W końcu zaczęli przeproszać za bałagan, jak to określili, i przyznali, że Myra została przywieziona do Ogólnego. Zmarła wkrótce po przybyciu. – Archer splótł kurczowo dłonie i wbił wzrok w stół przed sobą.

– Na co zmarła pańska żona, panie Archer? – spytał łagodnie Saracen.

– Powiedzieli, że na zawał serca. Nie rozumiem tego. Przecież Myra była silna jak koń. Nigdy nie chorowała.

– Takie rzeczy się zdarzają – zauważył Saracen.

– Ale skąd u nich ta bezduszość, oschłość? Potraktowali Myrę tak, jak jakiegoś martwego włóczkę znalezionej na parkingu. Nawet nie pozwolono mi jej zobaczyć.

Saracen był zaskoczony, ale jednocześnie w pełni świadomy, że Archer znów jest bliski załamania.

– Czy powiedzieli panu dlaczego? – spytał ostrożnie.

– Stwierdzili, że została już przeprowadzona autopsja i pokazywanie mi ciała nie byłoby rzeczą „właściwą”. Tłumaczyli się jeszcze, że nie wiedzieli czy ona ma kogoś bliskiego i przygotowali ciało do kremacji. – Głos Archera zniżył się do szeptu. – Ale udało mi się ich powstrzymać. Jednym z powodów naszego powrotu do Skelmore, było to, że oboje chcieliśmy, aby pochowano nas na cmentarzu przy kościele St Clement's. Tam, jako dzieci chodziliśmy do szkoły niedzielnej, tam wzięliśmy ślub. Wczoraj udało mi się wszystko załatwić w kościele.

Saracen kiwał głową ze zrozumieniem, ale nie mógł uwolnić się od uczucia zdziwienia i zaskoczenia. Jeśli ta kobieta zmarła na zawał serca, sekcja zwłok powinna ograniczyć się do otwarcia klatki piersiowej. Nietrudno zasłonić ślad pojedynczego cięcia; potem można wystawić ciało w kaplicy przyszpitalnej. Dlaczego Archer został tak haniebnie potraktowany? Czy rzeczywiście ktoś uznał za zbyt kłopotliwe pokazanie mu ciała żony?

– Z kim pan rozmawiał w Ogólnym?

– Z jakimś lekarzem. Przedstawił się jako doktor Garden.

– Garten – poprawił Saracen.

– Tak. Właśnie tak. A więc pan go zna?

– Pracuję na oddziale doktora Gartena – odparł Saracen.

– Rozumiem – powiedział cicho Archer.

Saracen milczał. Czekał, aż Archer oswoi się z tym, co usłyszał.

Archerowi przyszło nagle na myśl, że Saracen mógł widzieć w szpitalu jego żonę. Odpowiedź lekarza rozczarowała go.

– Obawiam się, że nie – mówił Saracen, zdając sobie sprawę z zawodu, jaki sprawia Archerowi. – To musiało się zdarzyć na innej zmianie.

– Przywieziono ją w poniedziałek, dwunastego.

Saracen potwierdził, że noc z poniedziałku na wtorek miał wolną. Z twarzy Archera zniknął ślad podniecenia.

– Wiem, że to zabrzmia głupio, ale chciałbym pomówić z kimś, kto mógł się z nią widzieć już po jej przybyciu do Skelmore. Dwadzieścia trzy lata małżeństwa zakończyły się tym, że stałem w jakiejś bezdusznej instytucji trzymając w ręce plastikową torbę z kilkoma drobiazgami, które należały do mojej żony. Musiałem nawet pokwitować odbiór... – Archer zakrył twarz dłońmi przyciskając palcami przymknięte powieki.

Saracen zdawał sobie sprawę z zainteresowania gospodarza rozgrywającą się przed nim sceną. Aby go uspokoić, podniósł w milczeniu dłoń, dając do zrozumienia, że wszystko jest w porządku. W tej chwili nie mógł zrobić nic, poza profesjonalną oceną sytuacji. Uznał, że Archer nie należy do ludzi, którym mogą pomóc banały typu „czas wszystko uleczy”. Przeszedł więc od razu do konkretów.

– Panie Archer, pan potrzebuje pomocy – zaczął.

– Ma pan na myśli pigułki, co? – odparł Archer z cieniem pogardliwego sarkazmu.

– Tak jest, pigułki – potwierdził Saracen spokojnie. – Nie widzę nic wzniosłego w pograżaniu się w rozpacz. Pańska żona nie żyje i zachowując się w ten sposób niczego pan nie zmieni. Musi pan odpocząć, a potem podjąć wysiłek przystosowania się do nowej rzeczywistości. A w tym leki mogą być istotną pomocą.

Saracen zaryzykował mocne zagranie. Czekał teraz na reakcję Archera wcale nie spodziewając się pozytywnego wyniku. Archer nie stawiał oporu.

– Myślę, że ma pan rację – przyznał.

– Dobrze. Czy po przyjeździe zarejestrował się pan u miejscowego lekarza?

Archer odparł, że jeszcze nie i Saracen wyjaśnił mu jak ma to zrobić. Zapisał na tekturowej podstawce numer swojego telefonu domowego i telefon Pogotowia.

– Jeśli będzie pan miał jakieś kłopoty, albo jeśli po prostu zechce pan z kimś porozmawiać, proszę zadzwonić – powiedział.

Archer schował tekturkę do kieszeni.

– Dobrze. Nie wiem jak mam panu dziękować. Tam, na krawędzi klifu, zupełnie poważnie myślałem...

– Chyba wiem, o czym pan myślał – przerwał mu Saracen.

– Niech mi pan pozwoli przynajmniej zapłacić za lunch – prosił Archer.

Saracen protestował, ale w końcu się zgodził.

Wyprawa do Gerham zakończyła się długim, spokojnym spacerem wokół przystani. Dostrzegłszy w pobliżu falochronu, wygodny, gładki kamień, Saracen przysiadł na chwilę, aby odpocząć. Nadal myślał o sprawie Archera. Trudno mu było uwierzyć, że Nigel Garten mógł potraktować męża zmarłej pacjentki w tak lekceważący sposób. Garten, jak to się często zdarza u ludzi o dość płytkiej umysłowości, odznaczał się szczególną uprzejmością w stosunku do nieznamych. Możliwe, że relacja Archera została zdeformowana przez żal i urazę. Najprawdopodobniej jednak, prawda mieściła się gdzieś pośrodku.

Lekarzowi trudno niekiedy, mimo najlepszych chęci, zdobyć się na właściwy poziom delikatności i współczucia w przypadku śmierci kogoś prawie nie znanego (a tym bardziej „martwego w chwili przybycia” – więc całkowicie nie znanego). Ludzie często zbyt wiele oczekują od lekarza. Ale Saracen uważał, że mają do tego prawo.

Po powrocie do domu Saracen postanowił, że wróci do pracy następnego dnia rano. Zadzwoił do Nigela Gartena i przekazał mu swoją decyzję. Garten przyjął tę wiadomość entuzjastycznie i przy okazji spytał, czy Saracen nie mógłby go zastąpić na dyżurze, razem z doktor Chenhui Tang, jako że on „został wezwany na całodzienne posiedzenie Komitetu Rozwoju Skelmore”. Saracen zagryzł wargi, ale się zgodził. Udział w pracach Komitetu Rozwoju stał się ostatnio sztandarową wymówką służącą Gartenowi do uchylania się od pracy. W tym miesiącu było to już trzecie całodzienne posiedzenie.

Saracen wyczuwał budzące się w Gartenie ambicje polityczne i uważał, że ma on do tego odpowiednie kwalifikacje: umiejętność zachowania pozorów. Wiek i pozycja społeczna także mogły mu pomóc w karierze politycznej. Niezbędne w tego rodzaju działalności zaplecze finansowe zapewniał Gartenowi teść, Matthew Glendale, bogaty i ustosunkowany przedsiębiorca budowlany. Ten atut kosztował Gartena dość drogo bo – zdaniem Saracena – jego żona była kobietą nadzwyczaj niesympatyczną. Tremaine po pierwszej wizycie u Gartenów podsumował jej walory bardzo zwięźle: wrażliwość zdechłej świni, a maniery żywej. Saracen gotów był spierać się co do strony etycznej takiej oceny, ale nie jej trafności. Niekiedy zastanawiał się, czy Garten nie zachowywałby się nieco inaczej, gdyby nie poślubił takiej jędzy jak Mildred. Doszedł jednak do wniosku, że pasożytniczy leń musi mieć jakieś wrodzone defekty, nie nabyte.

Na widok Saracena, wchodzącego do Pogotowia przez szerokie wahadłowe drzwi, Chenhui Tang uśmiechnęła się promiennie. Dotknęła ręką swojej głowy i spytała z bardzo wyraźnym obcym akcentem:

– Pana głowa, ona jest już w porządku?

– Jak najbardziej – uśmiechnął się Saracen. Rozmowa z Chenhui nie mogła się obyć bez mnóstwa uśmiechów. Służyły one, między innymi, do wypełnienia luk w jej słownictwie. –

Czy mamy dziś dużo pracy?

– Tak, tak, dużo praca. – Chenhui uzupełniła odpowiedź serią uśmiechów i kiwnięciem głową.

Saraceni lubił młodą Chinkę i uważał, że powinna zostać dobrym lekarzem. Szanował ją i chciałby bliżej poznać, ale bariera językowa była zbyt wielką przeszkodą. Odwiedził ją kiedyś w hotelu dla stypendystów. Widział w jej pokoju pełno podręczników do nauki angielskiego. Zajmowały całą półkę w okazałym regale i niestety stanowiły świadectwo nieskuteczności metod nauczania opartych na dobrych chęciach.

Alan Tremaine zakończył nocną zmianę, podpisał oficjalne przekazanie dyżuru Saraceniowi i opowiedział krótko o wydarzeniach nocy. W miejscowym browarze miał miejsce wypadek; kilku pracowników uległo poważnym oparzeniom gorącą parą. W wypadku motocyklowym zginął pasażer jadący na tylnym siodełku. Policja poszukuje krewnych ofiary; rankiem prawdopodobnie zjawi się ktoś z posterunku.

Saraceni kiwał głową i notował szczegóły dotyczące stanu poparzonych. Przewidywał zapytania telefoniczne w tej sprawie.

– Czy coś jeszcze powinienem wiedzieć? – spytał.

– Policja dostarczyła o trzeciej nad ranem faceta, który „zemdlął” im w areszcie i uderzył się w głowę.

– I co stwierdziliście?

– Żadnych innych śladów.

Saraceni kiwnął głową.

– Zrobiliśmy mu rentgen; wszystko w porządku. Po prostu stracił przytomność przy tym upadku.

– Dobra. Możesz uciekać.

Ledwie zamknęły się drzwi za Tremaine’em, zjawiała się wyraźnie zaniepokojona Chenhui.

– Pan przyjsć, proszę! – rzekła.

– Już idę – uśmiechnął się Saraceni i ruszył za nią do gabinetu zabiegowego. Zaczynał się kolejny dzień pracy.

Jedną z porannych pacjentek była gospodyni domowa, która zażyła zbyt dużą dawkę valium. Przypomniało to Saraceniowi Timothy’ego Archera. Postanowił nie pytać Gartena o przypadek Myry Archer, żeby nie narażać się na posadzenie o próbę zamachu na autorytet przełożonego. Uznał jednak, że należy – jeśli nadarzy się okazja – zapoznać się ze szczegółami tej sprawy. Najłatwiej było zacząć od rejestru przyjęć.

Okazja trafiła się zaraz po południu, w czasie chwilowej przerwy w przyjmowaniu pacjentów. Pielęgniarki plotkowały, czyszcząc tace pod instrumenty zabiegowe lub porządkując szafy. Chenhui siedziała z jednym ze swoich podręczników angielskiego,

patrzyła w książkę i bezgłośnie poruszała wargami. Saracen przerzucił kilka kart rejestru i na stronie z datą „dwunasty kwietnia” zauważył nazwisko Archer. Pełny zapis brzmiał: „Wezwanie karetki: Myra Archer, mieszkanie nr 2, Palmer’s Green Court, D.O.A. – martwa w chwili przybycia^{*}. Brak krewnych lub bliskich. Lekarz dyżurny – podpis – Chenhui Tang”. I to wszystko. Żadnej wzmianki o wynikach sekcji zwłok. Saracen zamknął rejestr i odłożył go na półkę. Podeszedł do Chenhui i usiadł obok niej. Oderwała wzrok od książki, spojrzała na niego i uśmiechnęła się uprzejmie. Zerknął na tekst, którego studiowaniem była zajęta. Nosił tytuł: „Nad morzem”. Jaka dziś pogoda? Jest pięknie. Jakiego koloru jest niebo? Niebo jest błękitne.

– Chenhui, czy pamiętasz kobietę o nazwisku Myra Archer? – spytał wprost.

Był pewny że, jak zwykle, ujrzy na jej twarzy uśmiech, a potem usłyszy jak Chenhui powoli powtarza nazwisko i się zastanawia.

Stało się inaczej. Twarz Chinki spoważniała, w oczach pojawiło się jakby przerażenie; była tak poruszona i zdenerwowana, że upuściła trzymaną w rękach książkę. Saracen podniósł ją i podał lekarce.

– Nie, nie. Żadna Myra Archer – wykrztusiła Chenhui. W tej chwili wyglądała jak spłoszona mysz.

– Ale przecież... – zaczął Saracen. I przerwał. – Mniejsza z tym – uśmiechnął się. – To jakaś pomyłka. Zapomnij o tym, to nie jest takie ważne.

Chenhui wstała i przeprosiwszy Saracena ruszyła w stronę wyjścia. Doktor w zamyśleniu odprowadził ją wzrokiem, aż zniknęła za drzwiami.

– Co, u licha, ma to wszystko znaczyć – powiedział cicho.

Relacja Archera nabrała nagle cech prawdziwości. Rzeczywiście, w sposobie traktowania przypadku jego żony było coś nienormalnego. Ale co? Według Timothy Archera, przyjęciu chorej do szpitala towarzyszyło dziwne zamieszanie. Czy nie było ono zawinione przez Chenhui? A może nastąpiło jakieś przekłamanie w procesie przepływu informacji i to spowodowało opóźnienie przyjęcia Myry Archer do szpitala? A jeśli tak, to jak dużo się spóźnili? Czy to mogło zadecydować o losie pacjentki?

Przyjmując, że tak właśnie się stało, wszystko co działo się później, służyło zatajeniu prawdy.

Niewątpliwie uczestniczył w tym Nigel Garten, bo przecież on rozmawiał z Timothy Archerem. Saracen poczuł jak w żołądku tworzy mu się zimna pustka. Oto znów znalazł się w sytuacji, z jaką nie chciał mieć do czynienia.

Odtworzywszy sobie możliwy przebieg wydarzeń, Saracen skłonny był zachować całkowitą bierność. Nie wtrącać się, nie podejmować żadnych działań. Próbował uzasadnić tę postawę mówiąc sobie, że cokolwiek by zrobił, nie przywróci to życia zmarłej. Wszelkie dociekania z pewnością wywołają zamieszanie. Niektórzy udział w tej aferze mogą przypłacić

^{*} DOA - Dead on Arrival - martwy w chwili przybycia (do szpitala).

utrata pracy. Chenhui wyleci pierwsza, to samo spotka prawdopodobnie Nigela Gartena. W przypadku tego ostatniego prawie pewne byłoby głośne dochodzenie z udziałem Izby Lekarskiej. Cóż za gratka dla prasy! On, Saracen, utrwaliby bez wątpienia swoją reputację podstępnej żmii, co oznaczałoby koniec kariery lekarskiej. Zastanawiał się, czy wszystkie te argumenty stanowią wystarczające uzasadnienie jego bierności. Jeśli ktoś umarł z winy Chenhui, może się to przecież powtórzyć. Czy wówczas nie będzie to w równej mierze wina jej jak i – z racji przemilczenia – jego?

Rozmawiając później z Chenhui, Saracen starał się, aby lekarka odniosła wrażenie, że nic ważnego się nie wydarzyło. Ciągłe nie był zdecydowany jak się zachować. Wszystkie rozwiązania wydawały się jednakowo nieprzyjemne. Do krótkiej przerwy na herbatę zdążył jednak przemyśleć trzecią możliwość: przeprowadzi własne dochodzenie w sprawie śmierci Myry Archer. Jeśli wykryje, że przyczyniła się do niej czyjaś niedbałość lub zła wola, będzie mówił. Jeśli jednak okaże się, że Myra tak czy inaczej musiała umrzeć, zostawi sprawę własnemu biegowi.

Do rozwiązania pozostawał problem zdobycia odpowiednich informacji. Należało działać dyskretnie, nie nawiązując bezpośrednio do istoty sprawy. Doszedł do wniosku, że nie uniknie zbadania szpitalnej dokumentacji; zakładając oczywiście, że ona istnieje. Z księgi przyjęć niczego więcej, poza tym co już znalazł, wydobyć nie można. Myra Archer, przyjęta jako DOA, nie miała wystawionej karty leczenia. Tym samym protokół sekcji zwłok, zawierający ściśle określenie przyczyny śmierci, może – choć nie musi – okazać się niezwykle cennym dokumentem. Sporo da się także wyczytać z karty drogowej ambulansu, szczególnie na temat ewentualnego opóźnienia akcji ratowniczej i transportu chorego, lub powodów zamieszania, jakie tej akcji towarzyszyło.

Nigel Garten zjawił się w Pogotowiu o wpół do siódmej wieczorem, uskarżając się – jak zwykle – na niesamowicie wyczerpujący dzień. „Wpadł” właśnie, żeby się upewnić czy wszystko gra. Saracen zapewnił go sucho, że owszem, gra, i uśmiechnął się pod nosem kiedy Garten oznajmił, że musi znów uciekać.

– Obiad z teściami, chłopie. Wiesz jak to jest.

Przed wyjściem Garten przrzucił pocztę leżącą na jego biurku. Saracen kątem oka obserwował Chenhui, żeby przekonać się czy nie skontaktuje się z Gartenem. Z ulgą stwierdził, że nic takiego nie nastąpiło, chociaż nie był pewny czy to z powodu pośpiechu Gartena czy też dlatego, że udało mu się przekonać Chinę o braku zainteresowania Myry Archer. Przy odrobinie szczęścia, pomyślał Saracen, słaba znajomość angielskiego mogła ją skłonić do przyjęcia tej drugiej interpretacji.

Wkrótce po odejściu Gartena zjawili się Tremaine i Prahash Singh, żeby przejąć dyżur. Załatwiając rutynowe formalności związane z przekazaniem obowiązków, Saracen starał się być wesoły i rozluźniony. Robił to ze względu na Chenhui, bo wyczuł, że lekarka obserwuje

go ukradkiem; mogło to dowodzić nieczystego sumienia, co Saracen uświadomił sobie raczej z obawą niż satysfakcją. Wychodząc uśmiechnął się do niej szeroko i życzył dobrej nocy. Potem odczekał za rogiem budynku aż Chinka opuści szpital i ruszył po pochyłości dziedzińca w kierunku garażu ambulansów. Chciał znaleźć kogoś z załogi karetki, która przewoziła Myrę Archer. W pokoju wypoczynkowym nie zastał nikogo. Jedynym znakiem życia był stojący na środku stołu niedomknięty termos i kawałek zapuszczonego papieru śniadaniowego. Saracen wyjrzał przez okno i zobaczył pomocnika kierowcy myjącego przednią szybę jednego z wozów.

– Gdzie są wszyscy? – spytał.

– Pan zajrzy do pokoju służbowego.

Saracen ruszył wolno korytarzem. Minał pomieszczenie, z którego dochodził jednostajny szum; przez nie domknięte drzwi widać było pochylonego nad mikrofonem radiooperatora. Drzwi z napisem: „Pokój służbowy” znajdowały się w końcu korytarza. Dobiegały zza nich odgłosy ożywionej dyskusji. Tematem była piłka nożna. Saracen zapukał i wszedł. Rozmowa natychmiast się urwała.

– Czym mogę służyć? – spytał niski, łysy mężczyzna bez marynarki.

Saracen rozejrzał się, szukając znajomej twarzy i dostrzegł Leonarda Wrighta, jednego z kierowców nowego ambulansu.

– Mogę prosić na słówko? – zwrócił się do niego.

Wright wstał i wyszedł za Saracensem na podwórze.

– Słucham, o co chodzi? – spytał.

– Chciałbym zajrzeć do książki wozu. Oczywiście, jeśli to możliwe.

Saracenowi zdawało się, że przez twarz Wrighta przeleciał uśmiech. Uznał to jednak za przywidzenie.

– A o co chodzi? – spytał kierowca.

– Nic ważnego. Po prostu potrzebuję paru informacji dotyczących wyjazdu do tej kraksy na obwodnicy. Zapomniałem porobić notatki.

Wright milczał przez moment.

– Zaraz ją panu przyniosę – powiedział w końcu.

Saracen czuł, że puls zaczyna mu gwałtownie przyspieszać. Kłamstwo to ciężkie zadanie, jeśli się nie jest do niego przyzwyczajonym. W dodatku poczucie winy, pochodzące ze świadomości że się kłamie, zmienia sposób patrzenia na wszystko.

Wright wrócił z książką. Saracen uśmiechnął się, mając nadzieję, że zrobił to w sposób naturalny. Kierowca otworzył książkę na stronie zawierającej notatkę z wyjazdu do wypadku na obwodnicy. Utrudniło to zadanie Saraceniowi, pozbawiając pretekstu do przekartkowania całej książki. Puls przyspieszył mu jeszcze bardziej.

– Zrobię tylko parę notatek z tego co tu... – zaczął grzebać po kieszeniach w poszukiwaniu czegoś do pisania. W tym momencie spłynęło na niego natchnienie. Długopis,

który znalazł w kieszeni zostawił w spokoju na miejscu... – Ale ze mnie...! Chyba nie mam nic do pisania. Może pan...

Wright znów przybrał dziwny wyraz twarzy, a Saracen odczytał w jego spojrzeniu oskarżenie. Albo zdawało mu się, że odczytał. Zaraz jednak Wright powiedział, że przyniesie co trzeba i wszedł do budynku.

Saracen przerzucił w pośpiechu kilka kartek i znalazł pozycję, której szukał: „Wezwanie do Palmer’s Green Court, mieszkanie nr 2. Pacjent: Myra Archer, ostra sinica, podejrzenie zatrzymania akcji serca. Lekarz w ambulansie: doktor Tang. Wezwanie przekazała pani M. LeGrice. Godzina wezwania: 21.34. Przybycie do Palmer’s Green: 21.47. Przybycie do Szpitala Ogólnego Skelmore: 22.04”.

Poczuł dziwną mieszaninę rozczarowania i ulgi. Okazało się, że w książce ambulansu nie ma absolutnie żadnych nieprawidłowości, żadnych sugestii na temat opóźnienia, żadnych wątpliwości. Dlaczego więc Chenhui Tang zachowała się tak dziwnie, kiedy usłyszała nazwisko: Myra Archer?

Zdażył zauważyć, że kierowcą w nocy dwunastego kwietnia był Leonard Wright; a Wright właśnie wracał z długopisem. Puścił przytrzymywane kartki i w tym momencie stwierdził, że jedna z nich, ta którą przed chwilą czytał, jest luźna. Przez głowę Saracena przeleciała błyskawiczna myśl, że sensowne wytłumaczenie tego dziwnego faktu jest tylko jedno. To nie była oryginalna kartka, ale nie dość starannie wklejona kartka zastępcza!

Wziął podany przez Wrighta długopis i zanotował kilka drobiazgów dotyczących wypadku na obwodnicy.

– W porządku, zrobione – powiedział zamykając książkę i oddając ją wraz z długopisem Wrightowi. – Bardzo dziękuję.

– Drobiazg – odparł Wright.

Saracen opuścił parking ambulansów maszerując ze sztuczną swobodą, świadomy każdego swego kroku. Był przekonany, że Wright obserwuje go przez całą drogę ku bramie, ale zmusił się do tego, by nie odwracać głowy.

Po powrocie do domu pierwsze swe kroki skierował do barku i prosto z butelki pociągnął solidny łyk whisky. „W co ja się, do diabła, pakuję”, pomyślał. Jak grudka śniegu staczająca się po stromym zboczu, ta dość zwykła, choć delikatna sprawa rozrastała się w zastraszającym tempie. W tej chwili chodziło już nie tylko o zatajenie prawdy, ale i o fałszerstwo, będące z natury rzeczy działaniem celowym. Ciągłe powracało pytanie: co robić? Rozsądek i instynkt samozachowawczy podpowiadały mu, że powinien trzymać się od tej afery jak najdalej, ale zaraz przyszła refleksja prowadząca do wniosku, że takiego wyjścia już nie ma. Gdyby tak postąpił, nie wyjaśnione zagadki prześladowałyby go bez końca, i wcześniej czy później musiałby wrócić do punktu wyjścia, do sytuacji w jakiej znajduje się teraz.

Przypomniawszy sobie, że w ekipie ambulansu udającej się na wezwanie do Myry Archer

musiała być pielęgniarka. Może uda mu się namówić Jill Rawlings do przeprowadzenia dyskretnego wywiadu i wydobywania czegoś z koleżanek. Podniósł słuchawkę i wykręcił numer Domu Pielęgniarki. Zajęty. I nic dziwnego, zawsze był zajęty. Próbował jeszcze dwa razy, aż w końcu dostał połączenie i poprosił Jill. Nastąpiła długa pauza urozmaicona odległymi odgłosami korytarza.

– Halo – zabrzmiał w słuchawce głos siostry Rawlings.

– Cześć Jill. Tu James Saracen. Masz wolny wieczór?

Jill Rawlings zgodziła się na spotkanie o ósmej, w pubie „Pod Błękitnym Aniołem”. Po prostu umówili się na drinka.

Pub był prawie pełny. Obsłużyła ich młoda dziewczyna, co chwila pociągająca nosem, jakby się bardzo przeziębila. Mówiła bardzo powoli i z namysłem. Pytanie czy Jill życzy sobie lodu i cytryny wyglądało na dogłębny wywiad czy wręcz przesłuchanie.

– Zdaje się, że nikt tutaj nie zdąży się upić – zaśmiała się Jill po odejściu dociekliwej dziewczyny.

– Chcę cię o coś prosić, Jill.

– Ależ doktorze, nie na pierwszej randce!

Kiedy wreszcie Saracenowi udało się wyjaśnić Jill czego chce i o jakie informacje chodzi, pielęgniarka spoważniała.

– Czy coś jest nie w porządku? – spytała.

– To właśnie chcę ustalić – odpowiedział Saracen. – Bardzo dyskretnie.

– Zobaczę, co będę mogła zrobić.

– A teraz zafunduję ci kolację.

Poszli do włoskiej restauracji, jednej z dwóch w Skelmore, a potem Saracen odwiózł Jill do Domu Pielęgniarki. Podziękowała mu za kolację i obiecała się czegoś dowiedzieć.

4.

Dopiero po czterech dniach, to znaczy w piątek rano, Saracen i Jill spotkali się ponownie. Na widok pielęgniarki wchodzącej do przepelnionego gabinetu zabiegowego, Saracen podniósł pytająco brwi, na co Jill skinęła krótko głową. Doktor samym ruchem warg przekazał bezgłośnie słowo „lunch”, a Jill odpowiedziała ponownym skinieniem głowy.

Jedli w stołówce szpitalnej, ogromnej, dziwnie rozczłonkowanej sali, która przypominała Saracenowi szkolną aulę. Niesamowicie akustyczne wnętrze wypełniał dochodzący z kuchni brzęk sztućców i klekot talerzy. Pokryte kafelkami ściany były czyste do wysokości ramienia. Wyżej prawdopodobnie nie sięgały uzgodnienia między dyrekcją szpitala i związkami zawodowymi. Im wyżej, tym warstwa brudu wydawała się grubsza, aż po sklepiony sufit, wiszący co najmniej sześć metrów nad pokrytą linoleum podłogą. Oczyszczenie całości ścian i sufitu wymagałoby ustawienia rusztowań, a tym samym nie wchodziło w rachubę. Na szczęście liche oświetlenie dyskretnie skrywało nędzę pomieszczenia.

– Rozmawiałaś z pielęgniarką? – spytał Saracen.

Jill kiwnęła głową.

– Była z nimi Mary Travers, moja przyjaciółka. Opowiedziała, że kiedy przyjechali pod podany adres, pacjentka miała ostrą sinicę. Była niemal granatowa. W ambulansie, już w drodze do Ogólnego, podano jej tlen, ale potem zaczęła się dyskusja, czy nie należy odwieźć jej do Szpitala Okręgowego.

– Dlaczego?

– Mary nie wie. Doktor Tang kazała wszystkim zostać w wozie, a sama poszła pomówić z doktorem Gartenem. Po powrocie oznajmiła, że pacjentka zostanie przewieziona do Okręgowego pod jej osobistą opieką i w związku z tym Mary jest wolna. Było późno, Mary już dawno powinna skończyć pracę, toteż ucieszyła się i wróciła do Pogotowia, żeby podpisać zejście z dyżuru.

– Czyli z tego, co widziała Mary Travers wynika, że pacjentka pojechała do Szpitala Okręgowego?

- Tak.
- I żyła, kiedy pielęgniarka opuściła ambulans?
- Tak.
- Czy pytałaś ją, jak to wszystko przebiegało w czasie?
- Mary nie pamięta. Sugerowała, żeby sprawdzić w dokumentach ambulansu.
- Już to zrobiłem.
- No i...?

Saracen zawahał się. Nie chciał zbytnio angażować Jill w tę sprawę. Dla jej własnego dobra. Stopniowo okazywało się to coraz trudniejsze, a prócz tego chciał z kimś przedyskutować te zagadki. Uznał, że może jej zaufać.

– Według zapisu w książce wozu, Myra Archer była martwa w chwili przybycia do Skelmore General. Nie ma wzmianki o Szpitalu Okręgowym.

- Ale dlaczego? – zawołała zdziwiona Jill.
- No właśnie – odpowiedział wolno Saracen.

Jill była ciekawa, co wzbudziło jego podejrzania i Saracen opowiedział jej o spotkaniu z Timothy Archerem.

- Biedny człowiek – westchnęła Jill, kiedy skończył.

Saracen przyznał się, że początkowo potraktował wyznania Archera dość sceptycznie i uznał je za następstwo przemęczenia, fizycznego i psychicznego. Teraz jednak pojawiły się podstawy do podejrzeń, że istotnie w przypadku jego żony miały miejsce jakieś błędne decyzje lub niedopatrzienia, a potem próby ich zatuszowania.

– Dlaczego jednak Garten miałby się w to angażować? – spytała Jill. – Przecież wina spadłaby na doktor Tang?

– To również mnie zastanawia – zgodził się Saracen. – Szczerze mówiąc, nie wyobrażam sobie, żeby Garten ryzykował karierę dla ratowania jakiegoś stażysty.

- Ani kogokolwiek innego, skoro już o tym mowa – dodała Jill.
- Co znaczy, że musi być jakoś zamieszany w tę sprawę.
- Dziwne to wszystko – stwierdziła Jill. – I co zamierza pan teraz zrobić?

Saracen wzruszył ramionami.

- Próbował pan pytać doktor Tang?
- Próbowałem, ale na dźwięk nazwiska Archer przestraszyła się i zwyczajnie uciekła.
- Mogła powiedzieć Gartenowi.

– Też się tego obawiam – przyznał Saracen – ale starałem się nadać tej rozmowie charakter nieobowiązującej pogawędki. Mam nadzieję, że mi się udało.

- A co się działo, kiedy ambulans przybył do Szpitala Okręgowego? – pytała dalej Jill.

– Moim zdaniem w ogóle tam nie dotarł. Timothy Archer mówił mi, że kiedy starał się zlokalizować miejsce pobytu żony, odesłano go do Okręgowego, ale tam nikt o niej nie słyszał; odesłano go do nas, to znaczy do Ogólnego. Wtedy to Garten przyznał, że Myra

Archer istotnie została przyjęta na Oddział Przypadków Nagłych i oświadczył, że zmarła na zawał serca.

– Ale my wiemy, że ambulans odjechał do Okręgowego. Musiał więc zawrócić z trasy.

– Albo może Myra Archer zmarła w drodze? – myślał Saracen na głos.

– Jeśli tak, to nie rozumiem, po co te kombinacje. A pan? – spytała Jill i nie czekając na odpowiedź mówiła dalej. – Przypuszczalnie decyzja o odstawieniu pacjentki do Okręgowego została podjęta w dobrej wierze. Jeśli chora była w takim stanie, że zmarła w drodze, to prawdopodobnie zmarłaby tak czy inaczej.

Saracen z irytacją klepnął się w czoło.

– W takim razie po co to całe zacieranie śladów? W końcu chodzi o głupie pięć minut przebywania pacjentki w ambulansie!

– Tak, to trochę dziwne – przyznała Jill.

Saracen przestał wysilać mózg i uśmiechnął się do Jill.

– Jestem ci bardzo wdzięczny za to, co zrobiłaś.

– Nie ma o czym mówić. Drobiazg.

– Jest jeszcze jedna rzecz.

– Słucham?

– Alan Tremaine zaprosił mnie na obiad. Jutro wieczorem u niego w domu. Do Alana przyjechała siostra; to na jej cześć wydaje to przyjęcie. Sugerował, żebym przyszedł w towarzystwie. Nie wybrałabyś się tam ze mną?

– Z przyjemnością.

Spotkania towarzyskie personelu Pogotowia były rzadkością, chociaż zdarzało się, że dwaj koledzy na drodze koleżeńskości porozumienia jednemu z nich załatwiali zastępstwo i mieli dzięki temu wolne w tym samym dniu. Wtedy tylko dobre chęci i inicjatywa warunkowały spotkanie się na prywatnym gruncie; na proszonym obiedzie czy kolacji. Tak właśnie postąpił Tremaine, zapraszając Saracena w imieniu swojej siostry Claire na małe przyjęcie.

Prawdę mówiąc, te ograniczenia życia towarzyskiego, narzucone przez sam charakter pracy w Pogotowiu, bardzo odpowiadały Saracenowi. Po nieudanym małżeństwie z Marion pozostała w nim głęboka niechęć do przyjęć. Całe ich życie rodzinne wydawało mu się nieprzerwanym łańcuchem przyjęć, których dominującą cechą była powierzchowność. Nie mógł pojąć, dlaczego tak wielu ludzi, ewidentnie nie znoszących siebie nawzajem, uparcie poszukuje swojego towarzystwa. Marion wszystko to wydawało się podniecającą grą, rywalizacją, do której przygotowywała się jak sztabowiec do walnej bitwy, z góry ustalając, z kim ma rozmawiać, kogo unikać, co na siebie włożyć, co i kiedy powiedzieć. Wynikiem tego planowania było bezbłędne przedstawienie. Marion wkraczała do salonu niczym gwiazda filmowa, olśniewająca i piękna, przebywała tam dokładnie tak długo, żeby podbić serca wszystkich obecnych mężczyzn, i zniknęła, nim temperatura przyjęcia zaczęła opadać.

– Czas wracać – zauważyła Jill.

Saracen otrząsnął się z zamyślenia, zebrał talerze i sztucce, które zgodnie z regulaminem stołówki należało po posiłku odnieść do kuchni.

– Jutro o wpół do ósmej wieczorem wpadnę po ciebie, dobrze?

– Świetnie.

Padał rześisty deszcz, kiedy Saracen skręcił w wąską uliczkę, wiodącą do Domu Pielęgniarki. Zawrócenie w skąpej przestrzeni zaułka, ograniczonej jeszcze przez zaparkowane tam – wbrew przepisom – samochody, zajęło mu trochę czasu. Kończąc manewr zobaczył Jill stojącą pod długim daszkiem osłaniającym wejście do budynku. Pochylił się i otworzył drzwi.

– Zobaczyłam przez okno jak podejżdżasz – powiedziała, zręcznym ruchem wciągając nogi do wnętrza samochodu. Nie omieszkała przy tym zaprezentować swoich eleganckich pończoch.

Saracen gwizdnął z uznaniem. Jill uśmiechnęła się.

– Pomyślałam, że warto popracować trochę nad swoim wyglądem; nie wiadomo, jak prezentuje się przeciwnik.

– Nigdy jej dotąd nie widziałem – przyznał się Saracen. – Może to stukilowa klucha?

– Przy moim szczęściu? Już prędzej jedna z modelek od Diora – westchnęła Jill.

– Wyglądasz wspaniale – powiedział Saracen.

I rzeczywiście tak myślał.

Przewidywania Jill okazały się trafniejsze, bo Claire Tremaine nie była kluchą. Przeciwnie, okazała się szczupłą, pewną siebie, elegancką kobietą w wieku około dwudziestu pięciu lat, równie inteligentną jak pociągającą. Już na wstępie oświadczyła, że nie wyobraża sobie, jak można żyć w takiej dziurze jak Skelmore. I choć Saracen gotów był zgodzić się z tym poglądem, poczuł się jednak z lekka poirytowany jej bezceremonialnością.

Niemniej dawno już przestał zwracać uwagę na tego typu drobiazgi. Przez cały wieczór uśmiechał się uprzejmie, śmiał z cudzych dowcipów i nie wdawał w poważne dyskusje. Już prędzej Jill skłonna była wystąpić w obronie rodzinnego miasta, ale ona z kolei nie mogła się opędzić od Alana Tremaine'a, który – poddawszy się zbyt ochoczo wpływowi côtes-du-rhône – powtarzał w kółko, że „nie spodziewał się, iż takie wspaniałości mogą kryć się pod szaroniebieskim kitlem pielęgniarki”. Jill doskonale radziła sobie z tymi zalotami. Miała prawie dwadzieścia siedem lat i widziała już niejednego ognistego stażystę.

– Dlaczego więc przyjechałaś do Skelmore, Claire? – spytał Saracen.

– To moja pierwsza praca – wyjaśniła Claire. – Robię w Oksfordzie doktorat z archeologii, a mój profesor poszukuje miejsca, gdzie stało kiedyś Opactwo Skelmoris. Zabrał mnie ze sobą, mimo że nie skończyłam jeszcze pracy doktorskiej.

– Skąd to nagle zainteresowanie Opactwem Skelmoris? Jeszcze do niedawna nikt nawet nie próbował go szukać.

– Do niedawna – zgodziła się Claire. – A to dlatego, że nikt w zasadzie nie miał pojęcia, gdzie go szukać.

– A teraz?

– Przed paroma miesiącami pewien bibliotekarz z Oksfordu przerzucając kartki starej książki, подарowanej uniwersytetowi, natknął się na pożółkłą ze starości mapę.

– To podniecające – wtrąciła Jill.

– Zupełnie jak w *Wyspie Skarbów* – dodał Tremaine.

– Owa mapa zawierała plan Opactwa Skelmoris oraz informacje dotyczące okolicy. W ciągu sześciuset lat wiele się zmieniło, to oczywiste, ale wydaje nam się, że mamy realne szansę odnalezienia resztek klasztoru.

– Było coś na ten temat w tutejszej gazecie – zauważył Saracen. – Przypuszcza się, że opactwo zniszczył pożar, prawda?

– Fakt pożaru jest bardzo dobrze udokumentowany – potwierdziła Claire.

– A legenda? – uśmiechnął się Saracen.

– Legendy to zawsze legendy – odpowiedziała, również z uśmiechem, Claire.

– A więc nie przejmujesz się klątwą?

– Jaką klątwą? – spytała Jill.

– Zgodnie z legendą – zaczęła Claire – opactwu przekazano pod opiekę święty kielich. Nazwano go później „Kielichem ze Skelmoris”. Każdego, kto odważyłby się zabrać kielich z klasztoru, miał osiągnąć gniew boży i śmierć w męczarniach. Legenda głosi, że spotkało to bardzo wielu ludzi.

– Okropne – stwierdziła Jill.

– W artykule o Skelmoris, który zamieściła miejscowa gazeta – mówiła dalej Claire – nie ma wzmianki o tym, że pożar był wynikiem celowego podpalenia. Po śmierci pierwszego opata i braci zakonnych, władze kościelne próbowały kilkakrotnie powołać opactwo do życia. I chociaż posyłano tam samych bogobojnych braciszków, nie mających zamiaru zakłócać spokoju Kielicha, wszystkich dotykała klątwa. W końcu władze kościelne zrezygnowały i kazały spalić całe opactwo.

– Ponura historia – wzdrygnęła się Jill. – Gdyby to ode mnie zależało, zostawiłabym to miejsce w spokoju.

Claire uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Według planu profesora mam kopać w ciągu dnia, a wieczorami kończyć pisanie pracy doktorskiej.

– Brzmi to tak, jakbyś zamierzała temu poświęcić całe życie – zauważył Saracen.

– Mój kochany profesor wyszedł chyba z założenia, że tu, na tym pustkowiu, nie będzie zbyt wielu pokus, które odrywałyby mnie od pracy. I tak zjawiłam się tutaj jako nieproszony

gość mojego braciszka.

– Uważaj się za zaproszoną – powiedział Tremaine, pochylając się i całując siostrę w policzek.

– Chciałabym mieć takiego brata – zauważyła Jill. – Keith i ja, ilekroć się spotykamy, żremy się jak pies z kotem.

Tremaine usiłował dość nieporadnie pocałować w policzek również Jill.

– Będę twoim bratem – śmiał się.

Jill również się śmiała, zrećnie unikając umizgów Tremaine'a. Gdyby chodziło o kogoś innego, takie zachowanie uznałaby za obraźliwe, ale wygłupy Alana przyjmowała z humorem. Inaczej jego siostra. Saracen zauważył kilka nie dość starannie zamaskowanych spojrzeń w stronę brata, zdradzających wyraźne zniecierpliwienie.

Przyjęcie skończyło się około północy, bo zarówno Saracen jak i Jill mieli od rana dyżur. Przed wyjściem Jill zaproponowała Claire, żeby zadzwoniła do niej, jeśli znudzi ją pisanie pracy. Mogłyby spotkać się gdzieś na mieście i poplotkować odrobinę.

W drodze powrotnej Saracen zwolnił przed swoim domem.

– Po jednym do poduszki? – zapytał.

Jill przystała chętnie.

– Brrr. Przytulnie tu jak w kostnicy – mruknął Saracen, szukając po omacku kontaktu.

Zapalił gaz, zaciągnął zasłony i nastawił jakąś muzykę. Dopiero wtedy wziął się do przyrządzania drinków.

– Podobało ci się u Alana? – spytał.

– Owszem, bardzo miły wieczór – odpowiedziała.

– Co sędzisz o Claire?

– Nie znoszę jej! – wypaliła Jill z tak rozbijającą prostotą, że Saracen aż się zakrztusił.

– Dlaczego?

– Jest przystojna, wykształcona, inteligentna, pewna siebie i, jak to się mówi: na luzie.

Czy to nie wystarczy?

Saracen roześmiał się, szczerze ubawiony.

– Nie masz powodów do zmartwienia. W niczym jej nie ustępowałeś.

– Jest pan nazbyt uprzejmy, sir – odparła Jill. – Ale ja czułam się obok Claire Tremaine jak wiejska dziewczucha. Prawie słyszałam, jak mi słoma chrzęści w butach.

– Nonsens – upierał się Saracen. – Nawiasem mówiąc, doskonale sobie radziłaś z Tremaine'em.

– Ci smarkacze są zawsze tacy sami – uśmiechnęła się Jill i wróciła myślą do Claire. – Boże, jak ja bym chciała mieć tyle pewności siebie – westchnęła.

– Skąd wiesz, że ona się nie zgrywa?

– Myślisz?

– Często tak bywa. Nawet najwięksi, z pozoru, ekstrawertycy twierdzą, że w głębi duszy

są nieśmiali.

– I zwykle się mylą – upierała się Jill. – Oni po prostu egoizm biorą za wrażliwość. Wierzą, że są „w zasadzie bojaźliwi”, bo kiedyś zdarzyło im się coś pomyśleć bez rozgłaszania tego na cały świat.

– Jesteś bystrą dziewczyną – zauważył spokojnie Saracen. – Kilka lat temu doszedłem do identycznych konkluzji.

– To może znaczyć, że oboje znamy się na ludziach.

– Możliwe – zgodził się Saracen.

Skończyli swoje koktajle.

– Muszę już wracać – powiedziała Jill, spoglądając na zegarek.

– Tak. Odwiozę cię.

Już przed drzwiami swojego domu, Jill obróciła się do Saracena.

– Dziękuję ci, James.

– Za co?

– Za to, że nie próbowałeś mi wsadzić ręki pod spódnicę.

Saracen się uśmiechnął.

– Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie miałem chęci.

– To dobrze. Czułabym się dotknięta, gdyby było inaczej. A swoją drogą, dlaczego się nie zdecydowałaś?

– Za mało się jeszcze znamy.

Jill wydawała się zadowolona z odpowiedzi Saracena.

Saracen rzucił okiem na zielone cyferki budzika – było trzynaście minut po czwartej. To już trzeci raz tego ranka spoglądał na zegarek. Trzy godziny snu to niezbyt mocna podstawa do długiego, wyczerpującego dyżuru, ale ta myśl tylko pogarszała sytuację. Nie ma mowy, żeby znów udało mu się zasnąć, a wszystko z powodu Myry Archer. No i własnych wyrzutów sumienia.

Wy tłumaczenie, że jedynym uchybieniem w przypadku Myry Archer była krótka zwłoka w podjęciu decyzji, do którego szpitala należy ją przewieźć, kuśilo bezpieczną oczywistością, trywializowało cały incydent i zwalniało go z dalszego w nim udziału. Tylko że to tłumaczenie jest nieprawdziwe, myślał Saracen leżąc w ciemności. Nie miał wątpliwości, że chodziło o coś innego, coś, co uzasadniałoby takie zatajanie faktów i fałszowanie dokumentów.

Uświadomił sobie, że po raz drugi w ostatnich dniach nie śpi nad ranem, dręczony niepokojem spowodowanym wydarzeniami w szpitalu. Najpierw po aferze z kostnicą, kiedy podsunęto mu wyjaśnienie, które również wydawało mu się zbyt wygodne, tak jak teraz. Pamięć o tamtej aferze zaczynała już blednąć, ale znów wydostała się na powierzchnię

świadomości i dokuczała od nowa. Rezygnując z prób zaśnięcia, sięgnął do wyłącznika lampy. Jego niechęć do opuszczenia łóżka w znacznej mierze wynikała ze strachu przed zimnem. Mieszkanie nie miało centralnego ogrzewania i o wpół do piątej nad ranem panował w nim arktyczny chłód.

Saracen zapalił gaz w kominku i kucnął przed paleniskiem, starając się ogrzać jak największą powierzchnię ciała. Następnie podniósł się i podreptał do kuchni, żeby włączyć czajnik.

Po kilkunastu minutach siedział z powrotem przed ogniem, grzejąc dłonie trzymanym oburącz kubkiem z kawą. W pewnej chwili wzrok jego padł na półkę z książkami fachowymi i podręcznikami. Najbliższa grupa dotyczyła technik stosowanych w anatomopatologii. Tytuły książek przypominały mu horror, jaki przeżył budząc się na stole do sekcji zwłok. Zastanawiał się, jak się tam znalazł. Wyobraził sobie, jak włoką go nieprzytomnego przez podwórze, a jego dłonie suną po nierównym bruku; potem chłód, cisza, mdły, słodkawy zapach i... jeszcze coś, zapomniany fakt, który ciągle wymykał się jego pamięci, a dotyczył związku między formaldehydem i amoniakiem. Zdjął z półki gruby tom histologii i odszukał w indeksie pozycję „formaldehyd”.

Znalazł w tekście tylko to, co już wiedział. Formaldehyd, czyli aldehyd mrówkowy, to gaz, rozpuszczalny w wodzie do stężenia czterdziestu procent. Roztwór dziesięcioprocentowy, nazywany formaliną, jest powszechnie stosowanym środkiem konserwacji martwych tkanek. Dalej następowały przykłady i uzasadnienie przewagi formaliny nad innymi tego typu środkami. Saracen zamknął książkę i odstawił ją na półkę. Położył się na wznak na dywanie i przenosił powoli wzrok z jednego grzbietu książki na drugi. Zatrzymał się przy „Mikrobiologii medycznej” Cruikshanka i usiadł nagle. To jest to! Formaldehyd ma jeszcze inne zastosowanie. W dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto używany jest jako konserwant tkanki, ale może być również użyty do zabijania bakterii. Przecież to jest silny środek odkażający!

Szybko przerzucał kartki w poszukiwaniu rozdziału o sterylizacji i metodach dezynfekcji. Znalazł to, czego szukał. Tabletki paraformaldehydu umieszczone w ewaporatorze z lampą spirytusową wydzielają gazowy formaldehyd, będący w stanie zdezynfekować nawet dużą halę. Po zakończeniu dezynfekcji trujący gazowy formaldehyd można zobojętnić amoniakiem, po prostu wrzucając do odkażonego pomieszczenia szmatę nasyoną stężoną wodą amoniakalną! Znalazł więc związek i to bardzo sensowny. Leżał wtedy nieprzytomny przez wiele godzin w pokoju, sąsiadującym z kostnicą, którą dezynfekowano gazowym formaldehydem.

Na jedno pytanie miał już odpowiedź, ale oto wylaniało się drugie, jeszcze trudniejsze. Dlaczego ktoś uznał za konieczne przeprowadzenie dezynfekcji kostnicy i po co te łgarstwa o nocnych złodziejach? Czy to możliwe, że tamta afera i zatajenie szczegółów śmierci Myry Archer są ze sobą jakoś powiązane? Saracen puścił wodze wyobraźni i zadał sobie pytanie:

dlaczego i jak zmarła Myra Archer?

Szpital Ogólny nie miał własnego anatomopatologa na pełnym etacie. Sekcje zwłok przeprowadzał jeden z dwóch patologów zatrudnionych w Szpitalu Okręgowym, byli oni jednocześnie biegłymi sądowymi. Saracen zadzwonił do Dave'a Mossa, swego przyjaciela w Okręgowym, żeby dowiedzieć się, który z nich ma dziś dyżur. Chciał to wiedzieć wcześniej, gdyż jeden z nich był zaawansowanym alkoholikiem i ostatnio w szybkim tempie tracił zarówno wiedzę fachową jak i możliwości manualne. Trudno było przypuszczać, że zechce odpowiadać na pytania Saracena, a więc kogoś zajmującego w hierarchii szpitalnej niższe stanowisko. A poza tym prawie na pewno zawiadomiłby o tej sprawie Gartena.

– Dave? Tu James Saracen.

– Saracen! Jeśli zamierzasz powiedzieć, że właśnie przysyłasz do mnie tuzin pacjentów upapranych po kolana w gównie, odłożę słuchawkę i będę twierdził, że wcale do mnie nie dzwoniłeś.

– Nic z tych rzeczy. To tylko trzy zakonnice z biegunką.

Po tej wymianie dowcipów, Saracen spytał który z patologów ma właśnie dyżur.

– Zaczekaj chwileczkę, zaraz sprawdzę. – Moss odłożył słuchawkę. Po kilku minutach wrócił. – Peter Clyde. A o co chodzi?

– Nie ma problemu. Chciałem tylko coś sprawdzić.

– Aha – mruknął domyślnie Moss. – Rozumiem. Ukrywamy pomyłki. Nie musisz nic więcej mówić.

Saracen spróbował się zaśmiać.

– Czy on jest w tej chwili u siebie? – zapytał po chwili.

– Myślę, że tak. Widziałem go nie dalej niż pół godziny temu. Jego wewnętrzny to czterysta trzydzieści jeden. Zapewne masz go w swojej książce telefonicznej.

Saracen zrozumiał przytyk Mossa.

– Nie gniewaj się. Chciałem się tylko upewnić, że to nie Wylie ma dzisiaj dyżur. Pytanie, jakie mam do patologa jest dość delikatnej natury.

– Rozumiem – odpowiedział Moss. – My też nie możemy się doczekać, aż Wylie pójdzie na emeryturę. Wszystkim obrzydło użeranie się z tym ochlapusem.

– Szczęście, że ma do czynienia z martwymi pacjentami.

– Otóż to. Widziałem go przy ostatniej sekcji. Małpa by to lepiej zrobiła.

Jak zwykle zakończyli rozmowę ustaleniem, że muszą się gdzieś spotkać na drinka i Saracen odłożył słuchawkę. Za chwilę ją podniósł i wykręcił numer czterysta trzydzieści jeden. Odebrał Peter Clyde. Po zwykłej wymianie grzeczności Saracen przystąpił do rzeczy i zapytał o wynik sekcji Myry Archer.

– Nazwisko nic mi nie mówi – stwierdził Clyde. – Proszę chwilę poczekać.

Saracen usłyszał szelest przewracanych kartek i ponownie głos Clyde'a.

– Niestety to nie moja autopsja. W ciągu ostatnich czterech tygodni robiłem tylko jedną dla Szpitala Ogólnego, a był to niejaki Robert Nolan, lat sześćdziesiąt dziewięć. Data: ósmy marca.

– A niech to... – szepnął Saracen i głośniejszym głosem dodał – to chyba znaczy, że tamtą robił Cyril Wylie.

– Będzie tu jutro. Może pan do niego zadzwonić.

Saracen mruknął coś niewyraźnie, ale Gyde domyślił się o co chodzi.

– Czy są jakieś trudności? – spytał nieco ciszej.

– Trochę niezręczna sytuacja – odrzekł Saracen. – Nie uśmiecha mi się rozmowa z doktorem Wylie.

– Rozumiem – Clyde przypuszczał, że Saracen ma opory związane z pijaństwem Wylie’ego, a Saracen nie widział powodu, żeby go wyprowadzać z błędu. – Chwileczkę – powiedział po namyśle Clyde – proszę jeszcze poczekać.

Po raz drugi Saracen czekał ze słuchawką przy uchu i nadzieją w sercu, że Clyde poszedł przejrzeć notatki Wylie’ego. Po minucie Clyde wrócił.

– Niestety, złe wieści. Miałem nadzieję, że Wylie zostawił swoje biurko nie zamknięte, ale nie ma pan szczęścia. Będzie pan musiał porozmawiać z nim samym.

– Trudno. W każdym razie bardzo dziękuję.

Saracen odłożył słuchawkę i potarł czoło nasadą kciuka.

– Jakież kłopoty? – spytała przechodząca pielęgniarka.

– Można to tak nazwać – odpowiedział z niewesołym uśmiechem.

Sprawa Myry Archer zeszła na drugi plan, kiedy dostarczono do Pogotowia trzynastoletnią dziewczynkę ciężko ranną w wypadku ulicznym. Podczas jazdy rowerem została uderzona przez samochód. W wyniku fatalnych uszkodzeń obu nóg straciła dużo krwi.

– Czy chirurgia zawiadomiona? – spytał Saracen pielęgniarkę.

– Tak.

– Sala operacyjna?

– Gotowa.

– Zgoda na operację?

– Są trudności, doktorze.

– Nie ma kontaktu z rodzicami, tak?

– Nie, nie to. Rodzice są tutaj, ale nie chcą zgodzić się na transfuzję krwi z powodów religijnych. To Świadkowie Jehowy.

Saracen pochylił głowę i palcami lewej dłoni zaczął masować skroń. Był to jego sposób liczenia do dziesięciu.

– Gdzie oni są? – spytał.

– W małej poczekalni.

– Proszę wprowadzić ich do mojego pokoju. Porozmawiam z nimi.

Zrobił kilka głębokich wdechów i wszedł do gabinetu. Zastał tam parę małżeńską w średnim wieku. Siedzieli obok siebie, trzymając się za ręce. Kobieta szlochała cicho przysłaniając chusteczką nos i usta. Saracen przedstawił się i od razu przystąpił do rzeczy.

– Będę z państwem zupełnie szczery – powiedział. – Państwa córka umrze, jeśli nie przeprowadzimy transfuzji krwi. I to zaraz. Innego wyjścia nie ma. Czy zostałem zrozumiany?

Mężczyzna w milczeniu skinął głową, kobieta w dalszym ciągu szlochała.

– Czy będą państwo uprzejmi wyrazić zgodę?

Kobieta załkała głośno. Mąż objął ją jedną ręką za ramiona.

– Niestety – powiedział. – Nasza religia zakazuje takich rzeczy, doktorze. Nie możemy się zgodzić.

Saracen poczuł wzbierający gniew; przez chwilę milczał. Wreszcie się opanował. Już miał powiedzieć coś ostrzejszego, kiedy małżonkowie spojrzeli na niego, a jego gniew ustąpił miejsca wpieryw zmieszaniu, a potem głębokiemu współczuciu. Zamiast beztrioskiej czy nawet butnej pewności siebie zobaczył w ich oczach ból i rozterkę. Oboje cierpieli podwójnie: oto ich córka jest ciężko ranna, a oni zmuszeni są odrzucić możliwość jej uratowania.

– Wystąpię z wnioskiem o przekazanie córki państwa pod opiekę sądu na okres leczenia. Czy mają państwo jakieś pytania?

Milczeli, ale kiedy Saracen podszedł do drzwi kobieta spytała:

– Jak długo to potrwa, doktorze?

– Godzinę, może dwie.

– Czy ona będzie... – słowa zamarły jej na ustach, kiedy zrozumiała, że tego pytania nie powinna zadawać.

Saracen wyszedł z pokoju. Miał wrażenie, że małżonkowie byli zadowoleni z takiego obrotu sprawy. Po prostu zdjęto z nich ciężar odpowiedzialności. A swoją drogą prawdopodobnie nigdy by się do tego nie przyznali, nawet we własnym sumieniu. Tak rozmyślając Saracen doszedł do pokoju zabiegowego. Chciał sprawdzić, w jakim stanie znajduje się ranna dziewczynka. Potem udał się do pokoju Nigela Gartena, gdzie odszukał skoroszyt z instrukcjami formalności związanych z wystąpieniem o nadzór lub opiekę sądu. Zaczął od ustalenia numeru telefonu, pod którym mógł załatwić tę sprawę.

Numer był zajęty; Saracen zaklął w duchu. Kiedy po trzeciej próbie znowu usłyszał sygnał „zajęty”, ze złością uderzył pięścią w biurko, aż z małego, srebrnego kałamarza wypłynęła na pokryty skórą blat odrobina atramentu. Zaczął szukać bibuły. Na wierzchu jej nie było; wyciągnął więc jedną, potem drugą szufladę, aż wreszcie znalazł: biały arkusz, a pod nim otwarty list. Wzrok Saracena uchwycił u góry stronicy podkreślone dwa słowa: Myra Archer.

Po uzyskaniu połączenia i nadaniu biegu sprawie opieki sądowej dla rannej dziewczynki,

Saracen wrócił do szuflady i znalezionego listu. Przełamał poczucie winy i zaczął czytać. List był od British Airways i dotyczył żądania Nigela Gartena, żeby wszyscy pasażerowie oraz załoga samolotu, którym przyleciała Myra Archer, przeszli cykl prewencyjnego leczenia z podawaniem antybiotyku, ponieważ istnieje prawdopodobieństwo, że źródłem zakażenia stały się potrawy serwowane w czasie rejsu.

– Zatrucie pokarmowe? – zdziwił się na głos Saracen. – Myra Archer cierpiała na zatrucie pokarmowe?

Pokręcił głową z niedowierzaniem, ale dalsze rozważania przerwało mu nadejście Chenhui.

– Doktorze Saracen – oznajmiła bardzo zaniepokojona – potrzebuję pana pomoc. Pan przyjdź, proszę.

Saracen poszedł za nią do sali, gdzie leżała ranna nastolatka.

– Ja nie być szczęśliwa – poskarżyła się Chenhui.

Saracen obejrzał dziewczynkę i sprawdził monitory. Zgodził się z Chenhui.

– Nie możemy dłużej czekać – zdecydował. – Musimy podać krew już teraz. Czy dostarczono ją z banku krwi?

Siostra Lindeman odparła, że tak.

– Próba krzyżowa?

– Wykonana. A formalności?

– Nie możemy czekać.

– Skoro pan tak mówi. – Siostra Lindeman powiedziała to bardzo wyraźnie i Saracen zrozumiał, że zaprasza go do publicznego wyrażenia swojej decyzji.

– Tak właśnie mówię – rzekł z ledwo zauważalnym uśmiechem.

Ustawił transfuzję i był w trakcie mycia rąk, kiedy podeszła Chenhui.

– Ja zdziwiona – powiedziała. – Czemu rodzice mówić krew nie?

– To są religijne opory względem transfuzji – wyjaśnił Saracen i łokciem pchnął dźwigienkę kurka.

– Ja nie rozumiem.

– Szczerze mówiąc, Chenhui, ja też nie rozumiem – odrzekł Saracen, rezygnując z dalszej próby wyjaśnienia czegoś, czego nie popierał i nie uznawał. – To jedna z pułapek zastawionych na ludzi przez Boga.

Po tym wyjaśnieniu Chenhui wyglądała na jeszcze bardziej zbitą z tropu.

– Chodźmy lepiej na filiżankę herbaty – zaproponował Saracen.

W drodze do pokoju służbowego natknęli się na wózek z noszami. Leżał na nich zapłakany chłopiec, podtrzymując ostrożnie lewe ramię.

– Spadł z huštawki – wyjaśnił pielęgniarz.

– Ja się nim zajmę – powiedziała Chenhui, a Saracen skinął głową z aprobatą.

W pokoju służbowym zastał Jill Rawlings. Siedziała na rogu biurka trzymając filiżankę i

talerzyk.

– Słyszałam, że kazałeś podać krew pacjentce, która jest Świadkiem Jehowy.

– Nie było wyboru.

– Władze mogą nie wyrazić zgody.

– Mam ich gdzieś.

– Mój ty bohaterze – uśmiechnęła się Jill.

Saracen zignorował tę uwagę.

– Czy Mary Travers – spytał – mówiła coś o tym, że Myra Archer była zakażona salmonellą?

– Tak, teraz sobie przypominam, że istotnie. Parę dni po śmierci Myry Archer, Mary i cała załoga ambulansu przeszła zapobiegawczą terapię antybiotykami. Nie sądziłam, że to może mieć związek z tym, o co prosiłeś.

– Przypuszczam, że nie ma – odpowiedział wolno Saracen i zamyślił się głęboko.

– Nie porzuciłeś tej sprawy?

Saracen skrzywił się.

– Tyle różnych pytań mnie gnębi... Na przykład, skąd mogli wiedzieć, że kobieta była zakażona salmonellą, jeśli wezwano ich do ataku serca?

– Prawdopodobnie salmonellę wykryli później, podczas sekcji zwłok – zauważyła Jill.

– Wątpliwe, by w przypadku tej kobiety patolog szukał śladów zakażenia salmonellą.

– Do czego zmierzasz?

Saracen wzruszył ramionami i westchnął.

– Jeśli mam być szczery, sam nie bardzo wiem.

Jill uśmiechnęła się i dotknęła jego ramienia; Saracen nawet tego nie zauważył.

– Chcę cię prosić o jeszcze jedną przysługę – powiedział.

– Mów śmiało.

– Mogłabyś spytać Mary Travers, w jakim dniu dostała antybiotyki osłonowe?

– W porządku – westchnęła Jill. – Jeśli to cię uszczęśliwi.

Po chwili, nawiązując do wcześniejszej rozmowy, dodała:

– Jeśli w chwili wezwania pogotowia wiedziano, że Myra Archer cierpiała na zatrucie pokarmowe, to byłoby zrozumiałe, dlaczego postanowiono przewieźć ją do Szpitala Okręgowego, prawda?

– Prawda – zgodził się Saracen – ale ja nie wiem, w jaki sposób Chenhui mogła postawić taką diagnozę tam, na miejscu, w warunkach, jakie zapewnia ambulans. I to właśnie nie daje mi spokoju.

Saracen siedział w kąpiele, kiedy zadzwonił telefon. O tak wczesnej porze dzwonił zwykle tylko Nigel Garten, by pod takim czy innym pretekstem przerzucić na Saracena swoje obowiązki. Taka też była pierwsza myśl Saracena, ale w słuchawce rozległ się głos Jill.

– Rozmawiałam z Mary Travers. Zaczęła brać antybiotyki trzynastego kwietnia. Czy to chciałeś wiedzieć?

– Dzięki. Jesteś aniołem!

Poczuł mrowienie w kolanach, a w skroniach krew zaczęła tętnić prawie słyszalnie. Myra Archer zmarła dwunastego późnym wieczorem. Autopsja nie mogła się odbyć wcześniej niż trzynastego i to w najlepszym wypadku, bardziej prawdopodobne, że czternastego lub piętnastego. Stwierdzenie, iż Myra Archer była zakażona salmonellą wymaga przeprowadzenia w laboratorium badań próbek pobranych z ciała. Wynik mogli poznać piętnastego lub szesnastego. Jakikolwiek powody skłoniły Gartena do tego, by poddać kuracji antybiotykowej Mary Travers i całą załogę ambulansu w dniu trzynastym kwietnia, nie miały one żadnego związku z wynikami sekcji zwłok. Te powody Garten musiał znać wcześniej.

Woda w wannie wystygła. Saracen wytarł się i włożył szlafrok. Usiadł i znów się zamyślił. Jak Chenhui i Garten mogli postawić taką diagnozę? Według wszelkich danych, ambulans wezwano kiedy Myra Archer była już nieprzytomna. Niczego nie powiedziała i zmarła z powodu niewydolności serca. A mimo to oni wiedzieli, że cierpiała również z powodu silnej infekcji. To się nie trzyma kupy. Nie tylko rozpoznali zatrucie salmonellą, ale również ocenili szczep jako szczególnie groźny, skoro Garten uznał, że trzeba się skontaktować z liniami lotniczymi i zdezynfekować kostnicę. Czyżby to była salmonella tyfoidalna, najgroźniejsza w grupie salmonelli? Jeśli tak, to po co te sekrety? Co roku zdarza się parę takich przypadków. Gdybym zobaczył protokół sekcji zwłok, dumał Saracen, mógłbym prawdopodobnie poznać rzeczywistą przyczynę śmierci i zrozumieć tok myślenia Gartena i Chenhui. Wylie czy nie Wylie, muszę dostać ten protokół do ręki.

Odchylił się na oparcie krzesła i patrząc w sufit szukał w myślach jakiegoś nowego tropu. Sunął wzrokiem wzdłuż pęknięcia tynku na suficie biegnącego od miejsca, gdzie wyprowadzony był przewód elektryczny do lampy sufitowej. Wtedy właśnie zadzwonił Dave Moss.

– Miałem przed chwilą telefon od tej waszej doktor Tang – powiedział.

– Tak? I co?

– Wygląda na to, że coś z nią nie w porządku. A w dodatku nie bardzo wiem, o co chodzi. Udało mi się wyłapać co piąte lub szóste słowo. Zdaje się, że chce abym przyjął pacjenta czy nawet dwóch, ciągle mówiła „dwa”. Rozmowa urwała się dość niespodziewanie.

– Rozumiem – Saracen czuł jak zaczyna go ogarniać gniew. – A ty dzwonisz, żeby się dowiedzieć jak to jest, że doktorowi, który prawie nie mówi po angielsku, zostawia się pod opieką Oddział Przypadków Nagłych Szpitala Ogólnego w Skelmore.

– Mniej więcej.

– Więc ja też bym chciał znać odpowiedź na to pytanie – mówił Saracen wstając jednocześnie z krzesła i rozglądając się, gdzie jest ubranie. – Zaczekaj piętnaście minut.

Oddzwonię do ciebie.

Był wściekły. Jak Garten mógł tak postąpić? Jak można wykazać taką nieodpowiedzialność. Ubierał się w pośpiechu, przeklinając co chwila złośliwość poszczególnych części garderoby. Trzasnął drzwiami i zbiegł po schodach do samochodu, przekonując się po drodze o konieczności zachowania spokoju. Mimo to w bramę szpitala skręcił z głośnym piskiem opon. Nawiasem mówiąc, nie był to efekt nadmiernej szybkości, tylko zbyt energicznego ruchu kierownicą. Niemniej portier przy bramie podniósł wzrok znad gazety i wstał z krzesła, żeby spojrzeć przez okno. Zobaczywszy, że to Saracen, usiadł i znów zagłębił się w lekturę.

Saracen wpadł na oddział, nie odpowiadając nawet na uśmiech młodej pielęgniarki. Natychmiast zaczął szukać Chenhui. Siostra Turner, pełniąca dyżur nocny wyszła z dyżurki i spojrzała zdziwiona na Saracena.

- Nie wiedziałam, że doktor Garten wezwał pana.
- Bo nie wezwał – odparł krótko Saracen.
- Ach, tak. Myślałam, że prosił pana o zastąpienie doktor Tang...

Saracen był zaskoczony.

- Ale dlaczego? Coś się przydarzyło doktor Tang?
- Doznała jakiegoś szoku czy załamania nerwowego. Przeniesiono ją na oddział.

Widząc, że jego ocena sytuacji jest całkowicie błędna, Saracen się uspokoił i poczuł się trochę głupio.

- A doktor Garten? – spytał.
- Jest teraz przy niej.
- A więc nie była tu sama?
- Mój Boże, oczywiście że nie! Przecież ona ledwo kilka słów...
- Dobrze, siostrzo – przerwał jej Saracen. – Jak pani rozumie to jej załamanie nerwowe?

Siostra Turner, niezamężna, w średnim wieku, lubiła pogawędzić, a czując się zachęcona powiedziała ściszym głosem:

– Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Krzyczała, biegała, prawie rzuciła się na doktora Gartena, kiedy zaczął ją uspokajać.

- Ale dlaczego? Co ją tak wyprowadziło z równowagi?

Siostra Turner była wyraźnie zdziwiona i zakłopotana.

- Najdziwniejsze, że nie wiemy. Nikt nie wie. Ona krzyczała w swoim języku.
- Ale musiała być jakaś przyczyna, jakiś bodziec.
- Naprawdę nie. Przecież nie pierwszy raz widziała martwego człowieka.
- Proszę mówić dalej.

– Około ósmej przywieziono tu martwego pacjenta. Poproszono doktor Tang o stwierdzenie zgonu. Kiedy wróciła, wpadła jak burza do pokoju doktora Gartena i wtedy zaczęła się ta awantura.

– Krzyczała po chińsku?

– Z początku nie.

– Czy mogła pani zrozumieć coś z tego, co mówiła?

– Bardzo mało. Ona ma taki okropny akcent. Ale to brzmiało jak „sześć dni, więcej niż sześć dni”, ale nie mogłabym przysiąc.

– Co było potem?

– Wybiegła od doktora Gartena i zaczęła telefonować. Doktor Garten próbował ją powstrzymać, ale w końcu musiał wezwać portiera, żeby ją unieruchomił zanim on nie poda jej czegoś na uspokojenie.

– A co o tym wszystkim powiedział doktor Garten?

– Mówił, że doktor Tang była ostatnio przepracowana i stąd wyczerpanie nerwowe. Prawdopodobnie za parę dni wróci do zdrowia i dlatego ważne jest, abyśmy nie rozgłaszali tego incydentu.

Saracen kiwnął głową i oznajmił, że idzie zobaczyć Chenhui.

Poza najbliższym sąsiedztwem Pogotowia, w szpitalu panował już spokój, jak zwykle około godziny dziewiątej wieczorem. Ostatni odwiedzający dawno wyszli, a opiekę nad chorymi przejął personel nocny. Korytarze były puste i ciche. Jedynie echo własnych kroków towarzyszyło Saraceni w drodze do sali numer osiem. Nie lubił szpitala nocą. Panowała w nim jakaś dickensowska atmosfera ciężkiego, ponurego snu, pogłębiona nędznym oświetleniem, widokiem łuszczących się, pomalowanych na zielono ścian i ginącego w mroku wysokiego sklepienia korytarzy. Zastanawiał się, jak wpływa to na samopoczucie chorych, którym wypadło przybyć do szpitala o tej porze, i którzy jadąc na noszach widzieli nad sobą ginące w ciemności ściany korytarza-tunelu, prowadzącego ku nieznanemu przeznaczeniu.

Otworzył połowę wysokich, oszklonych drzwi do sali numer osiem i wszedł. Skrzywił się, kiedy zaskrzypiały zawiasy i spojrzał w stronę dyżurki, napotykając zdziwiony wzrok dyżurnej pielęgniarki. Powiedział po co się tu zjawił.

– Druga boczna sala. Jest przy niej doktor Garten.

Saracen wszedł do wskazanej sali i zamknął za sobą drzwi. Nigel Garten siedział przy łóżku Chenhui, która wyglądała na głęboko uspioną. Podniósł wzrok na wchodzącego Saracena z wyrazem zaskoczenia, ale się szybko opanował.

– Nie spodziewałem się ciebie tutaj – powiedział z uśmiechem dość dalekim od serdecznego.

– Dostałem telefon – wyjaśnił Saracen.

– Tak? Od kogo?

Saracen zachnął się na tak bezceremonialne pytanie, ale odpowiedział.

– Dzwonił Dave Moss z Okręgowego.

– A tak, doktor Tang telefonowała do nich – Garten był wyraźnie uspokojony.

Prawdopodobnie faktem, że do Saracena nie dzwonił nikt z Pogotowia.

– I co powiedział doktor Moss? – indagował Garten.

– Sądził, że Chenhui zostawiono samą, obciążając ją odpowiedzialnością za Oddział Przypadków Nagłych – mówiąc to Saracen patrzył Gartenowi prosto w oczy.

– Też coś – wycedził spokojnie Garten, wytrzymując wzrok Saracena, jakby czekał na otwarte wyzwanie. Napięty uśmiezek na jego twarzy wyglądał jak rzeźbiony w kamieniu.

– Jak ona się czuje? – spytał Saracen.

– Na razie śpi jak zabita. Po solidnym śnie poczuje się lepiej.

– Co się, konkretnie, wydarzyło?

– Nagły wybuch emocji, zupełnie nieopanowany. Obwiniam siebie, że nie dostrzegłem zbliżającego się kryzysu. Po prostu ona się nie nadaje do tej pracy. Powinienem był powiedzieć o tym w Urzędzie Zdrowia już kilka miesięcy temu, ale chciałem dać jej szansę – Garten patrzył w podłogę recytując to nieszczerze samooskarżenie.

Saracen słuchał z niesmakiem, rad że Garten nie widzi jego twarzy. Nigdy nie czuł takiej niechęci do niego jak w tej chwili. Spojrzał na śpiącą spokojnie Chenhui. Podszedł do łóżka i zbadął jej puls; był wolny ale miarowy. Zauważył kroplówkę podłączoną do drugiej ręki śpiącej.

– Co jej podajesz? – spytał Gartena.

– Hemineurynę.

– To dość drastyczny środek.

– Uznałem to za konieczne – odparł Garten wyraźnie chłodniejszym tonem.

Saracen zmienił temat.

– Siostra Turner mówiła, że Chenhui miała do czynienia z jakimś zmarłym i że wówczas to się zaczęło.

– Nie zdarzyło się nic niezwykłego. Ten człowiek był martwy w chwili przybycia do szpitala.

– Rozumiem. Czyli że zupełnie nie wiadomo co spowodowało u niej ten wybuch?

– Absolutnie.

– Wydawała mi się ostatnio jakby przygnieciona jakimś ciężarem ponad jej siły – zaryzykował Saracen.

– Doprawdy? Nie zauważyłem tego – odparł Garten.

Saracen wstał.

– Skoro już tu jestem, przejmę dyżur za Chenhui; jeśli chcesz.

– Nie ma mowy, stary. Idź do domu – odpowiedział Garten cicho i z naciskiem, a Saracen wyczuł coś jakby cień groźby w jego słowach. Musiał się zdobyć na wysiłek, żeby ukryć zdziwienie.

– W porządku – zgodził się i wyszedł.

5.

Po powrocie na Oddział Przypadków Nagłych Saracen zadzwonił do Mossa. Relacja o przejściach Chenhui nie zrobiła na Davie wielkiego wrażenia.

– Nic nadzwyczajnego – rzekł. – Ja sam jestem nieraz bliski obłądu. Co się z nią teraz dzieje?

– Leży na oddziale wewnętrznym. Dostała coś na uspokojenie i zasnęła.

– Czy dowiedziałeś się od Petera Clyde’a tego, o co ci chodziło?

– Nie. Tę autopsję przeprowadził Cyril Wylie.

– To co? Clyde nie mógł zajrzeć do notatek Wylie’ego?

– Nawet próbował. Były zamknięte w biurku.

– Tak, to pasuje do Cyrila. Stary pijaczyna. Czy to dla ciebie bardzo ważne?

– Bardzo – odpowiedział z naciskiem Saracen.

– I naprawdę nie możesz tego załatwić drogą służbową?

– Nie chodzi o to, aby omijać drogę służbową. – Saracen zaczynał odczuwać wyrzuty sumienia, że nie wyjawiał Mossowi całej prawdy. – Ale o to, żeby o moim zainteresowaniu tą sprawą nie usłyszał Garten.

– Ach tak... Kolejna sprawa Gartena. Teraz wszystko rozumiem. – Moss wiedział o dawnych przejściach Saracena. – Słuchaj, nie mogę ci nic obiecać, ale podaj mi nazwisko pacjenta, a spróbuję coś wykombinować. Jutro Wylie robi dla nas sekcję. Jeżeli nadarzy się okazja zajrzeć do jego pokoju, kiedy zajmie się czymś w kostnicy, to może...

– Będę twoim dłużnikiem – zapewnił go Saracen. – Nazwisko pacjentki brzmi Myra Archer. Zmarła dwunastego w nocy.

– Czy chcesz, żebym zwrócił na coś szczególną uwagę? – spytał jeszcze Moss.

– Jako przyczynę śmierci podano ustanie pracy serca. Prócz tego stwierdzono, że pacjentka była zakażona salmonellą. Chciałbym wiedzieć, czy autopsja potwierdziła to rozpoznanie, czy też wykryto coś innego.

– Dobra. Jutro zadzwonię.

Saracen odłożył słuchawkę i zamyślił się głęboko. Dobrowolna pomoc Mossa była czymś, czego nie przewidział; winien jest przyjacielowi dużego drinka.

– Doktorze Saracen, czy zostanie pan dzisiaj na nocnej zmianie? – do gabinetu weszła siostra Turner.

Saracen oznajmił, że dyżur obejmie doktor Garten i z pewną satysfakcją spostrzegł na twarzy pielęgniarki wyraz zawodu. Wydawało mu się, że siostra powstrzymała się od komentarza.

– Doktor Tang miała wystawić jakiś akt zgonu. Co to była za sprawa?

– Nic szczególnego. Pacjent nazywał się Leonard Cohen, lat sześćdziesiąt cztery, samotny. Nie żył od dobrych kilku godzin.

– Domyślam się, że ciało jest w kostnicy?

– Tak. A właściwie... nie. To znaczy... nie jestem pewna.

Saracen czekał spokojnie na wyjaśnienie.

– Doktor Garten mówił, że znów są jakieś kłopoty z układem chłodzenia. Powiedział, że skontaktuje się z przedsiębiorstwem pogrzebowym i poprosi, żeby jakoś pomogli. Nie wiem, czy w tym zamieszaniu zrobił to, czy ciało jest jeszcze w kostnicy. Ale może pan spytać portiera.

Saracen znalazł portiera w korytarzu za gabinetem rentgenologicznym, zajętego ustawianiem wózków inwalidzkich. Spytał o zmarłego.

– Jakies pół godziny temu zabrali go ludzie z przedsiębiorstwa pogrzebowego. A o co chodzi?

– O nic specjalnego. Nie wie pan przypadkiem, jakie to przedsiębiorstwo?

– Maurice Dolman and Sons; to na Ventnor Lane.

– Dzięki. A przy okazji... Nie wie pan, co z tym chłodzeniem?

– Doktor Garten mówił, że sprężarka jest gdzieś nieszczelna. Gaz ucieka i dlatego temperatura wzrasta.

Saracen podziękował i odszedł. Kroczył korytarzem całkowicie pochłonięty swoimi myślami. Jego umysł pracował na pełnych obrotach. Znów to samo. Garten, Chenhui, zmarły pacjent. Co tu się, u diabła, dzieje? Wrócił na Oddział Przypadków Nagłych, żeby powiedzieć dobranoc pielęgniarkom, ale nikogo nie zastał. Słyszał głosy dochodzące z pokoju służbowego, gdzie prawdopodobnie zebrano się na herbatę.

Zamierzał tam wejść, kiedy wzrok jego padł na niewielką drewnianą szafkę, w której zostawiano klucz od kostnicy dla portiera z nocnej zmiany. Po chwili wahania uległ pierwszemu impulsowi. Podeszedł na palcach do szafki i zdjął ostrożnie klucz z haczyka. Cicho, wstrzymując oddech i krzywiąc się pod wpływem koncentracji i wewnętrznego napięcia, wymknął się z dyżurki.

Zaczęło właśnie padać, ale to nie zmniejszyło ulgi, jaką odczuł wykradłszy się bezpiecznie z budynku. Trzymając się cienia zszedł po pochyłości podwórza. Przy kostnicy

zatrzymał się i rozejrzał dokoła, otworzył wysokie, drewniane drzwi i wszedł do środka.

Stosownie do charakteru pomieszczenia panowała tu głucha cisza. Saracen zapalił światło. Przy okazji poruszył luźno osadzonym w ścianie wyłącznikiem i na podłogę posypały się kawałki tynku. W pierwszej chwili nie zauważył niczego podejrzanego. Zaraz jednak uświadomił sobie, że przecież nie ma pojęcia, czego właściwie szuka i na co powinien zwrócić uwagę. Podszedł do agregatu chłodzącego i w pierwszym rzędzie sprawdził wskazanie termometru. Odpowiadało mniej więcej temperaturze otoczenia; normalne, zważywszy, że agregat nie działał. Następnie zbliżył się do rzędu komór chłodniczych, w których przechowywano ciała zmarłych. Odciągnął ciężką zasuwę i otworzył metalowe drzwi. Komora okazała się pusta. Prawie bezwiednie wyciągnął jedną z trzech przesuwanych na rolkach szuflad. Nic oczywiście w niej nie było. Pchnął ją na miejsce i zamknął komorę. Podobnie sprawdził komorę drugą i trzecią. W czwartej, ostatniej, znalazł dwa ciała.

Spoglądał na zakryte białym płótnem głowy nie rozumiejąc, dlaczego te ciała wciąż tu się znajdują. Jeśli sprężarka rzeczywiście źle funkcjonowała, należało usunąć wszystkie zwłoki. Dlaczego te zostały? Wyciągnął kolejno obie szuflady i odczytał tabliczki informacyjne. Anna Hartman i Maud Finnegan. Całuny okrywające ciała były jeszcze pokryte szronem, ale w niektórych miejscach wystąpiła już wilgoć. Może w chwili awarii sprężarki w komorach znajdowało się więcej zwłok i wywożono je partiami? Odnalazł księgę rejestrów kostnicy i sprawdził ostatni zapis. Okazało się, że nie miał racji. Zgodnie z rejestrem, w kostnicy powinny znajdować się tylko dwa ciała: Anny Hartman i Maud Finnegan. I nadal tu były. Stąd wniosek, że ludzie z przedsiębiorstwa pogrzebowego mogli zabrać jedynie zwłoki Leonarda Cohena; zmarłego, którego widziała Chenhui. Saracen zaczynał podejrzewać, że awaria sprężarki stała się jedynie pretekstem do jak najszybszego usunięcia zwłok Cohena ze szpitala. Z drugiej strony agregat chłodzący rzeczywiście nie działał.

Saracen obejrzał go ze wszystkich stron. Większa część urządzenia, a w szczególności silnik i sprężarka, zakryte były metalową osłoną. W bocznej ścianie obudowy znajdowała się kłapa, przymocowana trzema wkrętami. Saracen przyniósł z szuflady z narzędziami śrubokręt, odkręcił kłapę i zajrzał do środka. Na początek stwierdził, że nie czuje charakterystycznego zapachu przypalonej izolacji przewodów elektrycznych. Nie dostrzegł też innych śladów uszkodzenia instalacji. Śledząc bieg przewodów zasilających, kolejne złącza, rozgałęzienia i wyłączniki, dotarł do wewnętrznej tabliczki rozdzielczej. Zauważył pusty otwór. Przyjrzał się bliżej i stwierdził, że w miejscu tym powinien znajdować się bezpiecznik. Został jednak wyjęty. Czyżby to był jedyny powód złego funkcjonowania agregatu? – pomyślał, podniecony możliwością wykrycia sabotażu. Przeszukał szufladę z narzędziami i znalazł zapasowy bezpiecznik. Założenie go nie było jednak proste. Dostęp do tablicy rozdzielczej utrudniała płatanina przewodów zasilania silnika. Saracen postanowił mimo to spróbować. Ułożył się na podłodze, wsadził przez otwór rękę i stwierdził, że brakuje mu paru centymetrów. Zmienił nieco pozycję, przycisnął policzek do blachy obudowy i po

omacku, trzymając w palcach bezpiecznik, próbował umieścić go w otworze. W pewnym momencie skierował wzrok na podłogę. Zauważył coś czarnego; coś, czego jeszcze przed chwilą tam nie było. Zapominając o bezpieczniku, przyjrzał się temu uważnie. Czubki butów. Ktoś stał nad nim.

Odruchowo cofnął rękę i w tym momencie dotknął zacisków na tabliczce przed bezpiecznikiem. Prąd przeszył jego ciało strumieniem ognistych strzał. Odrzuciło go od agregatu i przez chwilę leżał na podłodze niezdolny kiwnąć palcem.

Strach wziął wreszcie górę na bólem. Saracen podniósł wzrok, by ujrzeć Nigela Garten, który przyglądał mu się z taką miną, jakby patrzył na płamę na dywanie.

– Co ty tu, u licha, robisz? – spytał spokojnie.

– Myślałem, że uda mi się uruchomić chłodziarkę – słabym głosem odpowiedział Saracen.

– Do takich prac mamy techników – zauważył zimno Garten. – A może to twoje osobliwe hobby?

Saracen poczuł się głupio i to pobudziło jego agresję.

– Podejrzewam, że ktoś wyjął bezpiecznik – powiedział patrząc Gartenowi w oczy.

– Ja to zrobiłem. Sprężarka przepuszcza gaz. Nie chcę, żeby ktoś włączył agregat i doprowadził do jego zniszczenia – wyjaśnił rzeczowo Garten.

– Rozumiem. – Saracen czuł się jeszcze bardziej głupio niż przedtem. – A może mógłbyś mi również powiedzieć, dlaczego zabrano tylko jedno ciało, a dwa zostały tutaj?

Garten milcząc patrzył z góry na siedzącego na podłodze Saracena.

– Słucham? – spytał powoli.

– Pytałem, dlaczego usunięto stąd tylko jedno ciało, a dwa zostawiono – powtórzył Saracen już mniej pewnym tonem.

– Czyżbyś nie wiedział, że samochód przedsiębiorstwa pogrzebowego może pomieścić tylko dwa ciała? Trzy ciała to dwa kursy. Wystarczy?

– Wystarczy – zgodził się Saracen.

Teraz już sam sobie wydawał się śmieszny. Wstał i otrzepał ubranie z kurzu. Garten spoglądał na niego z niesmakiem.

– Życzę dobrej nocy – powiedział sucho. – Zamknij drzwi na klucz, jak będziesz wychodził.

Saracen wrócił do szatni na swoim oddziale, żeby się przebrać. Zawsze trzymał w szafce zapasowe ubranie na wypadek, gdyby w czasie pracy pobrudził się krwią opatrywanego pacjenta, co się od czasu do czasu zdarzało. Los był dla niego na tyle litościwy, że nikogo nie spotkał i nie musiał się przed nikim tłumaczyć. Kiedy opuszczał budynek szpitala, policjanci wprowadzali czwórkę pijanych, którzy – sądząc po wyglądzie – mieli za sobą gwałtowną wymianę poglądów przy użyciu pięści. Dwaj z nich ciągle jeszcze próbowali kontynuować dyskusję.

– Wszystkiego najlepszego, Nigel – mruknął pod nosem Saracen. Wsiadł do samochodu i uruchomił silnik.

Otrząsnąwszy się z zakłopotania Saracen doszedł do wniosku, że jednak mógł mieć rację. Nie ustalił przecież, czy wyjęcie bezpiecznika nie było rzeczywiście jedyną przeszkodą w funkcjonowaniu agregatu chłodniczego. Garten mógł wymyślić na poczekaniu kłamstwa mające usprawiedliwić pośpieszne usunięcie ciała Cohena. Ale dlaczego? W odróżnieniu od Myry Archer, Cohena z całą pewnością dostarczono martwego do Szpitala Ogólnego. Nie mogło być mowy o jakimś „błędzie w sztuce” albo opóźnieniu. Czego więc obawiał się Garten? Saracen doszedł do wniosku, że teraz musi dotrzeć do dwóch protokołów sekcji zwłok.

W przypadku nagłej śmierci, jeśli lekarz rejonowy nie potrafi jednoznacznie określić przyczyn zejścia i podpisać świadectwa zgonu, konieczne jest dochodzenie. Lekarz szpitalny również może takie świadectwo wystawić, ale nie w przypadku pacjenta określonego jako DOA – martwy w chwili przybycia. Sekcja zwłok jest wówczas warunkiem *sine qua non* ustalenia przyczyny zgonu i wystawienia odnośnego świadectwa. Przy pewnej dozie szczęścia Dave Moss zajrzy do protokołu autopsji Myry Archer. Może to coś wyjaśni.

W umyśle Saracena zrodził się nowy pomysł. Jutro rano mógłby skontaktować się z Mauricem Dolmanem, przedsiębiorcą pogrzebowym, i załatwić jakoś oględziny zwłok Cohena. Lepsze to niż czekanie na protokół Wylie’ego. Do diabła z Gartenem i wszystkimi konsekwencjami! Musi wiedzieć co się wokół niego dzieje i w czym on sam, choć nieświadomie, może uczestniczyć.

Zadzwoił do Dolmana o dziewiątej rano.

– Tu doktor Saracen ze Szpitala Ogólnego. Zdaje się, że ma pan pod swoją opieką zwłoki Leonarda Cohena?

– Tak jest – odezwał się poważny głos. – Poproszono nas o pomoc, kiedy wasz system chłodzenia uległ awarii.

– Chciałbym obejrzeć ciało – powiedział wprost Saracen.

Nastąpiła dłuższa pauza.

– Oczywiście, doktorze – zabrzmiał znów głos Dolmana. – Kiedy chciałby pan do nas przybyć.

Saracen rzucił okiem na zegarek.

– Za dwadzieścia minut, dobrze?

– Proszę bardzo, doktorze.

Saracen odłożył słuchawkę z uczuciem zawodu. Dolman, wbrew oczekiwaniu, nie okazał żadnego zdziwienia. Można by pomyśleć, że spodziewał się tego telefonu. Czy to możliwe? – zastanawiał się Saracen. Czy Garten mógł ostrzec Dolmana? Jeszcze raz podniósł słuchawkę i połączył się z centralą telefoniczną Szpitala Ogólnego. Poprosił o numer telefonu

przedsiębiorstwa obsługi technicznej urządzeń chłodniczych. Zapisał sobie ten numer w notesie i zadzwonił.

– Czy zostaliście panowie powiadomieni o awarii sprężarki w kostnicy Skelmore General? – spytał.

– Nie – jego rozmówca był wyraźnie zdziwiony. – Pierwszy raz o tym słyszę.

– Pomyłka – rzucił krótko Saracen i odłożył słuchawkę. A więc jednak!

– Czyżbyś znów dzwonił do swego bukmachera? – zażartował przechodzący właśnie Alan Tremaine.

– Muszę wyjść na jakieś pół godziny – powiedział Saracen. – Przypilnuj interesu, dobrze?

– Jasne. Idziesz zobaczyć się z Chenhui?

Saracen wyjaśnił, że idzie do Dolmana obejrzeć zwłoki człowieka, któremu Chenhui miała wystawić świadectwo zgonu.

– Jeśli dobrze pamiętam, to był DOA?

Saracen skinął głową.

– Czy sądzisz, że to ma jakiś związek z jej załamaniem?

– Nie wiem, ale myślę, że warto sprawdzić.

– Garten zapisał w rejestrze zgonów, że to był typowy zawał serca – powiedział Tremaine.

– Wiem o tym.

– A gdyby nasz szef pytał o ciebie?

– Powiedz mu jak jest.

Zaparkowanie wozu późnym rankiem w okolicach Ventnor Lane kosztowało Saracena sporo nerwów. Nie mógł wjechać w Ventnor, bo stały tam już dwa karawany i duży ciemny bedford, a wszystkie bliższe ulice były obstawione znakami zakazu zatrzymywania się. Znaki te nie dotyczyły samochodów dostawczych, które stały przed sklepami, utrudniając ruch w obie strony.

Ulice w tej najstarszej części miasta były wąskie, zabudowane po obu stronach dwu – i trzypiętrowymi domami stłoczonymi tak ciasno, jakby podpierały się nawzajem, chroniąc w ten sposób przed upadkiem. Dodatkowo scementował je wielowiekowy kurz i brud.

Saracen dojrzał niewielką lukę w miejscu, gdzie leżał jeszcze gruz po wyburzonym niedawno domu towarowym. Narażając się na przekleństwa współużytkowników jezdni przyhamował gwałtownie, aby skorzystać z nadarzającej się szansy. Jadący za nim kierowca rovera zajazgotał klaksonem. Saracen zdążył jeszcze zobaczyć jego czerwoną twarz i niezbyt elegancki gest skierowany pod swoim adresem. Uśmiechnął się przepaszająco. Do szybkiego zobaczenia, stary, powiedział przez zęby.

Posesję Maurice'a Dolmana pomalowano na szaro i czarno. Dwa okna frontowe zamalowano do wysokości oczu przechodniów. Dzięki temu we wnętrzu zakładu, nawet

przed południem, panował sztuczny półmrok. Cały dzień włączone były płaskie, kryształowe kinkiety na ścianach.

Kiedy Saracen wszedł do środka, przy kontuarze nie zastał nikogo. Miał więc czas, żeby się rozejrzeć. W pokoju rozbrzmiewała uroczysta muzyka organowa. Zdaniem Saracena – raczej denerwująca. Nieskory do przyjęcia sugestii o jej niebiańskim pochodzeniu szukał ukrytego głośnika. Wkrótce znalazł drobno zakratowane kółko nad fotografią karawanu pochodząca – według podpisu – z 1933 roku. Drugi głośnik krył się za dziurkowanym przepierzeniem po przeciwnej stronie pokoju. Tam też znajdowała się następna seria zdjęć starych karawanów.

Dopiero teraz dostrzegł na kontuarze lśniący, mosiężny dzwonek, umieszczony obok oprawnej w skórę Biblii i małej tabliczki, zachęcającej: „Proszę nacisnąć”. Klapnął weń energicznie całą dłonią. Nie żeby był zirytowany oczekiwaniem. Chciał tylko zakłócić ten nastrój sztucznego dostojństwa.

Gdzieś na zapleczu dały się słyszeć niespieszne kroki i za kontuarem pojawił się niski mężczyzna ubrany w czarną marynarkę i spodnie w prążki. Dłonie miał splecione, jakby oderwano go od modlitwy.

– Czym mogę panu służyć? – spytał głosem pełnym wyuczonej troski i współczucia.

– Nazywam się Saracen. Dzwoniłem do panów.

– Ach tak, rzeczywiście. – Te słowa wypowiedziane zostały zupełnie odmiennym tonem.

– Proszę tędy.

Mężczyzna – jak sądził Saracen, sam Maurice Dolman – poprowadził gościa wąskim korytarzem. Po jednej jego stronie znajdował się szereg małych pokoików, tak samo wyposażonych w biurko i trzy krzesła, a przeznaczonych dla „najbliższych”, którzy tutaj, wspólnie z Dolmanem, uzgadniali co z oferowanych przez niego artykułów ma towarzyszyć w ostatniej drodze ich „drogich zmarłych”. W ostatnim pokoiku siedział przy maszynie do pisania starszy mężczyzna w okularach na nosie, z dłońmi uniesionymi nieruchomo nad klawiaturą, niczym pianista szykujący się do uderzenia pierwszego akordu.

Wydostali się z części zakładu przylegającej do ulicy i po kilku stopniach zeszli do suterenu, która łączyła się z sąsiednim budynkiem. Saracen czuł zapach jakichś chemikaliów. Zainstalowane w korytarzu jarzeniówki, wypełniały zimnym, bezcieniowym światłem każdy kąt.

– Tędy dojdziemy szybciej niż dokoła, przez podwórze – wyjaśnił Dolman. Zatrzymał się przy zamkniętych drzwiach i obrócił się do Saracena. – Niestety, musimy przejść przez to pomieszczenie, ale pan jako lekarz... – umilkł, rezygnując z dalszych wyjaśnień.

Otworzył drzwi i weszli. Saracen mimo uprzedzenia był zaskoczony. Tak widokiem jak i ostrym zapachem, który zmusił go do zasłonięcia dłonią ust i nosa.

Na marmurowej płycie leżały nagie zwłoki starej kobiety, przy których krzątali się dwaj mężczyźni, jeden z przyklepionym do warg papierosem. Od ciała odchodziło kilka

plastikowych węży prowadzących do ustawionych na podłodze kubłów z nierdzewnej stali. Jeden z mężczyzn zajęty był sporządzaniem mieszanek chemikaliów, mających zastąpić usunięte płyny ustrojowe.

– Balsamowanie – wyjaśnił Dolman. – To bardzo ważne, żeby zmarły prezentował się jak najlepiej, nie uważa pan?

Saracen nie odpowiedział. Z przyjemnością wysadziłby to wszystko w powietrze; tego jednak nie mógł powiedzieć. Dolman zwrócił się do pracowników.

– Doktor Saracen przyszedł zbadać zwłoki Leonarda Cohena. Proszę zaprowadzić doktora do kostnicy i udzielić mu wszelkiej pomocy.

Polecenie adresowane było do człowieka z papierosem. Ten, z ponurą miną, wstał powoli ze swego stołka, pochylił się nad kubłem i wypluł niedopałek. Bez słowa spojrzął na Saracena i krótkim ruchem głowy dał mu znać, że ma iść za nim. Przeszli wąskim kamiennym korytarzykiem i zatrzymali się przy drzwiach z napisem „Kostnica”.

Saracen stanął z boku, podczas gdy gburowaty pomocnik, którego widok zaczynał już działać lekarzowi na nerwy, otworzył drzwi chłodni obliczonej na sześć ciał. Zajęte były cztery miejsca. Spoglądając ponad ramieniem „pomocnika” Saracen odczytał kartki umieszczone na półkach: Carlisle, Hartman, Finnegan i Cohen. A więc Garten w końcu przetransportował pozostałe ciała z Ogólnego.

Badanie nie trwało długo. Myjąc ręce nad brudnym zlewem w kącie kostnicy Saracen uświadomił sobie, że niczego nie wykrył, niczego nie wyjaśnił. Ciało należało do człowieka w wieku około sześćdziesięciu lat i nie było w nim nic niezwykłego. Saracen nie miał pojęcia, dlaczego widok tych zwłok tak rozstroił Chenhui, jeśli nie znała Cohena osobiście.

Nadszedł Dolman, ze złożonymi, jak przedtem, dłońmi.

– Skończył pan, doktorze? – spytał z unizonym uśmiechem.

– Tak – odparł Saracen.

Dolman zwrócił się do swojego człowieka.

– Pana Cohena proszę z powrotem do chłodni, a wyciągnijcie pannę Carlisle. Pójdzie koło południa.

Wydostawszy się na świeże powietrze Saracen poczuł ogromną ulgę, mimo że to „świeże powietrze” cuchnęło spalinami wydzielanymi przez samochody z silnikami diesla. Wszystko było lepsze niż atmosfera diabelskiej kuchni Dolmana. Wrócił do szpitala, gdzie Alan Tremainie zarzucił go pytaniami.

– To znaczy, że nie posunąłeś się do przodu ani o krok? – spytał, po wysłuchaniu relacji Saracena.

Saracen potwierdził i zapytał jak czuje się Chenhui.

– Już jej tu nie ma. Przeniesiono ją do zakładu psychiatrycznego w Morley Grange.

Saracen był wstrząśnięty.

– Kto tak zdecydował? – spytał.

– Przypuszczam, że Garten. Nie wiem na pewno. Bo co?

Saracen nie odpowiedział od razu. Musiał przyznać się przed sobą samym, że ostatnio prawie każda decyzja Gartena wzbudzała w nim chorobliwą podejrzliwość. Czy to rzeczywiście takie dziwne, że Chenhui została zabrana do Morley Grange? Dlaczego widzi w tym coś złowieszczonego? Dlaczego zaraz wyciąga z tego wniosek, że Garten chce usunąć ją z drogi, umieszczając w takim miejscu, gdzie ludzie, a w szczególności on, Saracen, nie będą mogli zadawać jej żadnych pytań? Przypomniał sobie, że Tremaine czeka na odpowiedź.

– Ee, nic. Myślę, że to najlepsze dla niej miejsce... jeśli jest chora.

Tremaine zrobił nieco zdziwioną minę, ale właśnie przypomniał sobie coś jeszcze.

– Dzwonił Dave Moss. Prosił o telefon.

Saracen zadzwonił do Szpitala Okręgowego; poczekał aż operator wywoła Mossa.

– Nie uwierzysz – zaczął Moss, z lekka zakłopotany.

– Spróbuj, zobaczymy – zaproponował Saracen.

– Ta sekcja zwłok Myry Archer...

– No?

– W ogóle się nie odbyła.

Saracen zaniemówił na chwilę.

– Halo! Jesteś tam jeszcze? – spytał Moss, kiedy cisza w słuchawce się przedłużała.

– Nie rozumiem – odezwał się Saracen. – Musiała się odbyć! Przecież Myra Archer była DOA; lekarz rejonowy nie wystawił świadectwa zgonu.

– Niby tak, ale przejrzałem wszystkie protokoły Wylie’ego i nie ma tam Myry Archer.

– Może został usunięty, zabrany? – zasugerował Saracen.

– Przewidziałem, że tak pomyślisz i sprawdziłem rozkład zajęć Wylie’ego od dwunastego do piętnastego kwietnia. Wszystko tam jest... oprócz Myry Archer. Słuchaj James. Po prostu nie przeprowadzono sekcji zwłok tej kobiety.

Saracen w dalszym ciągu nie przyjmował do wiadomości wyjaśnień przyjaciela.

– A kto w takim razie podpisał świadectwo zgonu? – zastanawiał się na głos.

– Jeśli to, co mówisz jest prawdą, to ja także chciałbym znać odpowiedź.

– Będę w kontakcie – odrzekł Saracen, kładąc powoli słuchawkę. Siostra Lindeman, widząc jego zamyślenie przystanęła z boku, czekając aż zwróci na nią uwagę.

– Tak?

– Jeśli ma pan chwilkę czasu, doktorze, prosiłabym na słówko.

Kiedy znaleźli się w jej gabinecie, zamknęła drzwi i zwróciła się do nieco zdziwionego Saracena.

– Chodzi o tę dziewczynkę Świadków Jehowy, którą pan leczył. Przewieziono ją do Szpitala Okręgowego. Ma zapalenie wątroby.

Saracen wzniosł oczy ku sufitowi.

– Boże, jeszcze tego mi brakowało. Pewnie złapała wirusa przy okazji przetaczania krwi.

– Najprawdopodobniej.

– Jak się czuje?

– W normie; rodzice jak dotąd nic nie mówią. Ale w tych okolicznościach mogą przysporzyć panu poważnych kłopotów. Nie daj Boże, żeby ta sprawa skończyła się w sądzie. Trzeba się modlić, żeby nie doszło do najgorszego. Nie wiem, czy to dla pana coś znaczy, ale jestem po pańskiej stronie. Postąpił pan słusznie.

– To dla mnie znaczy bardzo dużo, siostró – powiedział Saracen. – Chodźmy, zszyjemy kilka rozbitych łbów.

Saracen siedział przy stole w szpitalnej stołówce, zastanawiając się, czy coś, co widzi przed sobą na talerzu, nadaje się do jedzenia, czy raczej należałoby tym uszczelnić podwozie samochodu. Do stołówki weszła Jill Rawlings. Usiadła obok niego i przyłączyła się do milczących rozważań nad rzeczywistą naturą potrawy, która leżała na talerzu. Wreszcie powiedziała cicho.

– Daj mi jakiś kij, a ja to zatłukę...

Saracen zmusił się do uśmiechu.

– Podejrzewam, że ktoś już tak zrobił, tyle, że bardzo dawno temu.

Odsunął talerz i potarł czoło nasadą kciuka.

– Kłopoty?

– Jeszcze jakie.

– Coś poważnego?

– Można to tak określić.

– Moja przyjaciółka Mary wyjechała na cały tydzień. Opiekuję się jej mieszkaniem. Po prostu tam mieszkam. Może wpadłbyś wieczorem? Przynieś wino, a ja przygotuję coś przyzwoitego do jedzenia.

Saracen popatrzył na nią z uśmiechem.

– To brzmi zachęcająco. Podoba mi się ta myśl.

– Świetnie. – Jill podała mu adres i umówili się na ósmą.

O czwartej po południu Saracen zadzwonił do Okręgowego i spytał Dave'a Mossa o stan dziewczynki z zapaleniem wątroby, przeniesionej ze Szpitala Ogólnego.

– W tej chwili jest okay. A dlaczego pytasz, James?

Saracen opowiedział o transfuzji i towarzyszących jej okolicznościach.

– No wiesz, Saracen! Ty chyba uparłeś się popełnić zawodowe samobójstwo!

– A co ty byś zrobił na moim miejscu?

– Mam nadzieję, że to samo.

– Jak sądzisz, wyjdzie z tego?

– Jeśli nic więcej się nie przyplącze, to na pewno. A jeśli rodzice spytają jak do tego

doszło, powiem, że niezbadane są drogi Pana...

– Dzięki. Jestem twoim dłużnikiem.

Saracen opuścił Oddział Przypadków Nagłych o siódmej. Zaszedł po drodze do sklepu, aby kupić wino i zetknął się tam z niewesołą rzeczywistością. Zawsze uważał, że atmosfera sklepu monopolowego, zwłaszcza późnym wieczorem, jest wyjątkowo przygnębiająca. Po zlustrowaniu półek zdecydował się na litr valpolicelli i stanął w kolejce do kasy. Przed nim czekał mężczyzna w roboczym kombinezonie z paczką sześciu puszek piwa oraz drobna kobiecina okutana w gruby, czerwony płaszcz, przyciskająca do piersi pół butelki porto. Podeszła do kasy, wydłubała z zakamarków portmonetki odliczoną kwotę i zapłaciła bez słowa. Saracen musiał zdobyć się na pewien wysiłek, żeby uniknąć wyobrażenia sobie warunków życia tej kobiety. Na razie dość miał własnych kłopotów.

Niebawem poczuł się jednak znacznie lepiej. Wziął kąpiel, zmienił ubranie i postanowił zapomnieć na ten wieczór o szpitalu. Udało mu się tego dokonać, choć nie bez pewnego wysiłku. Stwierdził z przyjemnym zaskoczeniem, że cieszy go perspektywa spędzenia wieczoru z Jill i myślał o tym przez całą drogę. Co czuł w stosunku do tej kobiety? Do przyjęcia u Alana Tremaine'a nie zastanawiał się nad tym. Od tamtego jednak wieczora Jill często gościła w jego myślach. Było w niej coś, co burzyło jego wewnętrzny spokój, choć nie sprawiało mu to przykrości. Przy tym nie chodziło tylko o to, że była atrakcyjna i wyraźnie lubiła jego towarzystwo. Budziła w nim jakieś na poły zapomniane uczucie, którego określenia starał się unikać, ale które łączyło się samorzutnie ze wspomnieniami o Marion.

Wjechał w ulicę podaną w adresie, zwolnił i posuwając się przy samym krawężniku znalazł właściwy numer. Drzwi otworzyła Jill i zaraz przy wejściu pocałowała go w policzek. Spytała czy przyjechał samochodem, a kiedy powiedział, że tak, zganiała go surowo.

– Trzeba było go zostawić. Potrzebujesz relaksu i porządnego drinka. Zresztą, zawsze możesz wziąć taksówkę. To znaczy... jeśli zechcesz wracać do domu. Jutro rano odstawię ci wóz do szpitala.

Saracen uśmiechnął się i usadowił na kanapie.

– Nie mam nic przeciwko temu.

Jill przygotowała napoje i przysiadła się do niego.

– Domyślam się, że to sprawa Myry Archer tak cię martwi, prawda? – spytała.

Saracen skinął głową.

– Masz chęć porozmawiać na ten temat? No wiesz, podzielić się z kimś zmartwieniami... i tak dalej.

– Powiedzieć ci wszystko?

– Wszystko.

Powiedział więc. Przedstawił jej fakty, które znał oraz swoje wnioski i pomysły.

– Jesteś pewien, że przypadki Myry Archer i Leonarda Cohena jakoś się łączą?

– Najzupelniej. Tamtej nocy musiałem przeszkodzić jakimś ludziom w zabraniu ciała

Myry Archer i dlatego dostałem po łbie.

Jill westchnęła i pokręciła głową.

– Pomyśl sama – mówił dalej Saracen. – Dwa przypadki zgonu przed przybyciem do szpitala, oba ciała usunięte ze szpitala najszybciej jak to było możliwe, pod tym samym pretekstem awarii urządzenia chłodniczego. Chenhui Tang zna kulisy sprawy, ale załamuje się nerwowo i ląduje w Morley Grange, naszprycowana hemineuryną. Masz inne pomysły?

– Czy ci pacjenci mieli coś ze sobą wspólnego? – spytała Jill.

– O niczym takim nie wiem. Kobieta po pięćdziesiątce, która spędziła ostatnie dwadzieścia lat w Afryce, i mężczyzna po sześćdziesiątce, który nigdy nie ruszał się z kraju. Trudno doszukiwać się jakiegoś związku.

Jill kiwnęła potakująco głową.

– A co z grupami krwi i typami tkanki? – spytała.

Saracen domyślił się, o co Jill chodzi i uśmiechnął się.

– Sugerujesz, że Garten sprzedawał ciała na części zamienne?

– Tak tylko pomyślałam... Niemożliwe, prawda?

– Wykluczone. Cohen zmarł na kilka godzin przed przywiezieniem do szpitala. Narządy do transplantacji muszą być świeże. A poza tym, u Myry Archer stwierdzono zakażenie salmonellą. To ją eliminuje zupełnie. A nawiasem mówiąc pobranie narządów to robota dla wysokiej klasy specjalistów, a nie rzeźników z piwnicy Dolmana.

– Kto jeszcze mógł potrzebować tych ciał?

– Nikt – odpowiedział stanowczo Saracen. – Uważam, że Garten chce ukryć coś, co dotyczy przyczyn zgonu tych dwojga.

– Możliwe, że tak jest w przypadku Myry Archer, z powodu tych nonsensów z ambulansem. Ale – pokręciła z powątpiewaniem głową – nie w przypadku Cohena. Sam mówiłeś, że nie żył na kilka godzin przed dostarczeniem go do szpitala. Co Garten próbowałby tu ukryć?

– Nie wiem – przyznał Saracen. – Ale muszę zobaczyć świadectwa zgonu, zwłaszcza Myry Archer.

– Czy sądzisz, że podpisał je Garten? Bez wykonania sekcji zwłok?

– A któżby inny?

– Jak chcesz je zdobyć?

– Z pomocą Timothy Archera.

– Jej męża? Chcesz znów narazić go na cierpienie?

– Może masz rację – zgodził się Saracen. – Myślę jednak, że wystarczy działać z wyczuciem. Spotkać się z nim, zorientować w jakim jest stanie i dopiero potem próbować wydobyć z niego to, co mi potrzebne.

– A ja mam inny pomysł – powiedziała Jill.

– No? Jaki?

– Proponuję żebyśmy na resztę wieczoru zapomnieli o tym wszystkim, i na początek wypili jeszcze po jednym koktajlu.

– Zgoda.

– Zdejmij marynarkę – poradziła Jill i wstała, żeby napełnić szklanki.

Saracen posłuchał rady. Rozluźnił krawat, odchylił głowę na oparcie kanapy i zamknął na chwilę oczy. Nie wiedział dotąd, że jest aż tak zmęczony. Wróciła Jill, poprawiła mu włosy na czole i usiadła obok. Saracen spojrział na nią z uśmiechem.

– Zaraz będzie kolacja – powiedziała. – Mam nadzieję, że jesteś głodny.

– Jak wilk.

Nieco później siedzieli przy stole, zajadali i śmiali się ze swoich dowcipów. Wino było dobre, a jedzenie wspaniałe. Saracen uświadomił sobie, że od bardzo dawna nie czuł się tak rozluźniony i w tak pogodnym nastroju. Powiedział to Jill.

– Bardzo się cieszę. – W jej głosie zabrzmiało coś na kształt czułości.

Kiedy skończyli, zaproponował swoją pomoc przy zmywaniu, ale Jill uparła się, że odłożą to na później. Na razie wypiją kawę. Saracen nie spierał się i wróciwszy na kanapę odetchnął z ulgą i zadowoleniem.

– Takiej kolacji nie jadłem od lat – oznajmił.

– Słuchaj, James. A gdzie ty zazwyczaj jadasz?

– W domu.

– A co?

– Puszka tego, torebka tamtego. No wiesz...

– Szybko i łatwo. Wiem. Kiedy się mieszka samotnie, człowiek nie ma ochoty bawić się w gotowanie.

– A ty, czy zawsze mieszkałaś sama?

– Byłam kiedyś zamężna.

– Nie wiedziałem.

– Niby skąd mogłeś wiedzieć? Rozwiedliśmy się pięć lat temu.

– Przepraszam. Nie chciałem...

– Ależ nie ma za co przepraszać! – przerwała mu. – Kiedy się rozwiodłam, miałam wrażenie jakbym się urodziła na nowo.

– Było aż tak źle?

– Gdy patrzę wstecz, wydaje mi się, że nasze małżeństwo od samego początku skazane było na niepowodzenie. Nie mogę zrozumieć, dlaczego Jeff w ogóle się ze mną ożenił. Pochodził z tak zwanej „dobrej rodziny”, jego ojciec – adwokat – zrobił fortunę na cudzym nieszczęściu. Mój ojciec pracował w stalowni. Matka Jeffa otwarcie mówiła, że jej zdaniem nie jestem warta jej syna. Kiedy ma się jednak dwadzieścia lat i jest się zakochanym, takie uwagi nie mają znaczenia. Dopiero później zaczyna się widzieć pewne rzeczy.

– Twój mąż też był prawnikiem?

Jill uśmiechnęła się.

– Nie, nie miał do tego głowy. Zajmował się plastyką użytkową. Początkowo próbowałam podzielać jego ambicje i pomagać mu ile mogłam, ale on coraz bardziej oddalał się ode mnie, aż pewnego dnia zrozumiałam, że go po prostu krępuję. Moje pochodzenie i wykształcenie, mój zawód pielęgniarki sprawiały, że czuł się zakłopotany wobec swoich kolegów i przyjaciół. Mój Jeff, mój bohater, mój książę z bajki, okazał się dokładnie takim samym żalonym snobem, jak jego rodzice. Ilekroć ominął go awans, obciążał tym mnie, twierdząc, że brak mi oglądy towarzyskiej; stawał się coraz bardziej oziębły. W końcu nie mogłam dłużej znieść tej sytuacji. Któregoś wieczora wybuchnęłam i wygarnęłam mu, co myślę o nim i jego szanownych koleżkach, pozujących na artystów, a noszących buty od Gucciego. Chyba powiedziałam mu, że ich możliwości intelektualne wystarczają akurat do zaprojektowania etykiety na puszkę z fasolą.

Saracen uśmiechnął się szeroko.

– Ty też byłeś żonaty?

Saracen skinął głową.

– Myślę, że twoje doświadczenia małżeńskie są bardzo podobne do moich. Rodzina mojej żony uważała, że nie jestem wart ich córki.

– Zdaje się, że zawody medyczne nie są w cenie – zauważyła Jill.

– Powiedziałbym, że wręcz przeciwnie – zgodził się Saracen.

– Chcesz jeszcze drinka?

– Nie. Czuję się świetnie.

– A czy jest coś, czego byś chciał?

Saracen obrócił się i spojrzał na siedzącą obok Jill.

– Chciałbym cię pocałować.

– Nie zamierzam się opierać, doktorze – odparła z uśmiechem.

Saracen pochylił się i pocałował ją delikatnie.

Przesunął lekko palcami po jej policzku i podbródku i poczuł że drży.

– Dobrze się czujesz? – spytał cicho.

Odetchnęła głęboko i kiwnęła głową.

– Przepraszam – powiedziała. – Już tak dawno...

– Może nie powinienem...

Jill zajrzała mu w oczy.

– Ależ tak, Jamesie Saracen, powinieneś.

Zarzuciła mu ręce na szyję i przyciągnęła ku sobie. Poczuł w ustach jej język i ogarnęło go pożądanie, jakiego nie zaznał od lat. Jego dłonie same odnalazły jej piersi.

– Boże, jak ja ciebie pragnę – mruknął.

– Nie zamierzam się opierać, doktorze – szepnęła w odpowiedzi.

Saracen delikatnie wziął ją na rękę, uniósł z kanapy i zawahał się chwilę. Z pokoju wychodziło dwoje drzwi.

Jill uśmiechnęła się i leniwym ruchem wskazała ponad jego ramieniem.

– To te.

Dużo, dużo później, Saracen ukrył twarz we włosach Jill. Jej palce okrężnym ruchem pieściły jego szyję i tył głowy.

– Jesteś bardzo delikatny, Jamesie Saracen. Mam nadzieję, że czujesz się równie dobrze jak ja – szepnęła.

Roześmiał się i pocałował ją w szyję.

– Zapomniałem już, że może być aż tak dobrze.

Przytuliła go odrobinę mocniej.

– Cieszę się – powiedziała.

Po kolejnej półgodzinie pieszczot Jill wpadła na pewien pomysł.

– Wiesz co zrobimy?

– Co?

– Weźmiemy razem prysznic.

– Tak myślisz?

– Mhm – odpowiedziała, przesuwając palcem po jego nagim ramieniu.

Stali potem w strugach gorącej wody; Jill rozchichotana i coraz śmielsza zażądała, by pozwolił jej namydlić całe swoje ciało.

– Teraz wiem, że nie jesteś Żydem...

Saracen przyciągnął ją do siebie i przycisnął wargi do jej ust. Nagle znieruchomiał.

– Ale Cohen był – powiedział wolno.

– Co takiego? – zdziwiła się Jill.

– Słuchaj, czy twoim zdaniem ktoś, kto nazywa się Leonard Cohen jest Żydem?

– Prawie na pewno – odparła Jill, jeszcze nie rozumiejąc o co mu chodzi.

– Czy widziałaś Żyda, którego nie obrzezano?

– No nie, chociaż nie oglądałam ich wszystkich.

– Ciało, które pokazano mi u Dolmana, należało do mężczyzny nie obrzezanego. Był w odpowiednim wieku, ale nie był Żydem. Oni wcale nie pokazali mi ciała Leonarda Cohena! Oszukali mnie!

– Może się po prostu pomylili?

Saracen zastanawiał się przez chwilę.

– Nie – powiedział. – Mieli tam tylko cztery ciała. Trzy ciała kobiet, w tym dwa ze Skelmore General, i niejaka panna Carlisle; miała zostać pochowana dziś w południe. Rozumiesz? Tam w ogóle nie było zwłok Cohena!

6.

Zadzwonił telefon.

- Myślę, że powinieneś przyjechać – głos Tremaine’a zdradzał podniecenie.
- Co się stało? – spytał Saracen.
- Chenhui Tang. Właśnie przywiózł ją ambulans.
- Co?!
- Źle z nią. Wypadła z okna w Morley Grange.
- Jak, do ciężkiej...
- Nie znam szczegółów. Pomyślałem tylko, że muszę cię zawiadomić.

W niecałe dziesięć minut Saracen był w szpitalu. U wejścia przywitał go Tremaine.

- Jest na Oddziale Intensywnej Terapii – powiedział.

Saracen skinął głową i bez słowa pobiegł dolnym korytarzem, stanowiącym najkrótszą drogę na Oddział Intensywnej Terapii.

Jak zwykle, natychmiast po wejściu odczuł nagły skok temperatury. Ubrania, bielizna, koce były na Intensywnej Terapii zbędnym utrudnieniem. Łatwiej doglądać pacjentów zupełnie nagich, łatwiej mocować na powierzchni ciała elektrody, wyprowadzać dreny, robić zastrzyki.

W sali przewidzianej dla sześciu chorych leżały w tej chwili trzy osoby. Jeden z pacjentów podłączony był do respiratora. Rytmiczne posykiwanie powietrza i klekotanie przekątnika zakłócało senną ciszę pomieszczenia. Odgłosem wydawanym przez respirator towarzyszyło miarowe popiskiwanie monitora pracy serca.

Chenhui z głową owiniętą bandażami wydawała się pogrążona w głębokim śnie. Wyglądała na małą dziewczynkę, tak drobne i kruche było jej ciało, taka gładkość skóry z jedyną skazą w postaci świeżego rozcięcia na lewej kości policzkowej.

Siostra dyżurna stanęła obok Saracena.

- Ciężkie pęknięcie czaszki – powiedziała cicho.

Saracen bez słowa skinął głową. Patrzył, jak po ekranie oscyloskopu suną, jeden za

drugim, świetlne impulsy, i zastanawiał się nad ich regularnością.

– Czy zdjęcia rentgenowskie są tutaj? – spytał.

– U mnie w pokoju.

Saracen poszedł za siostrą. Podała mu dużą kopertę. Wyjął z niej zdjęcie i umieścił na szybie podświetlacza. Odczekał chwilę, aż ustabilizuje się światło jarzeniówek.

– O Boże! – szepnął, podążając wzrokiem wzdłuż obrazu pęknięcia.

– Doktor Nelson uważa że to cud, że ona jeszcze żyje – równie cicho powiedziała siostra.

Saracen odpiął zdjęcie i włożył je z powrotem do koperty.

– Gdyby jakimś cudem odzyskała przytomność, chciałbym, siostrzo, dowiedzieć się o tym możliwie najszybciej.

– Oczywiście, panie doktorze. Zostawię notatkę dla następnej zmiany.

Saracen wrócił na swój oddział. Chciał porozmawiać z Tremaine'em.

– Czy Garten wie, co się stało? – spytał.

– Kiedy zadzwoniłem, nie było go w domu – odpowiedział Tremaine. – Jak z Chenhui?

– Źle.

– Wyjdzie z tego?

Saracen pokręcił głową.

– Wątpię.

Podniósł kołnierz płaszcza i wyszedł.

Po powrocie do domu Saracen nalał sobie whisky i zmęczony usiadł przed kominkiem. Oparł nogi na stołku, odetchnął głęboko, zamknął oczy i palcami rozmasował sobie powieki. Sprawy zaszły za daleko, zdecydował. Widok Chenhui leżącej na Oddziale Intensywnej Terapii, tak bliskiej śmierci, był oczywistym sygnałem, że dzieje się coś niedobrego. Dlaczego Chenhui wyskoczyła z okna? Co nią kierowało? A może została wypchnięta? Saracen wzbraniał się przed myślą, że Garten dopuścił się morderstwa. Trwał jednak przy swoich podejrzeniach. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że umieszczenie Chenhui w Morley Grange miało na celu usunięcie jej ze szpitala. Może próbowała uciec? Gdyby chociaż mógł z nią porozmawiać. Ale przy jej obecnym stanie nie było to możliwe ani teraz, ani w najbliższej przyszłości. Istniało jeszcze inne rozwiązanie: otwarta rozmowa z Gartenem. Saracen dopił whisky i postanowił, że tak właśnie zrobi. Napełnił na nowo szklanekę i jął zastanawiać się nad strategią planowanej rozmowy, kiedy zadzwonił telefon. Odezwał się Garten.

– Dowiedziałem się właśnie o Chenhui. Tremaine powiedział, że byłeś na Intensywnej.

– Tak – potwierdził bezbarwnym głosem Saracen.

– No i? – W głosie Gartena pobrzmiwała irytacja. – Jak cię czuje?

– Rozległe pęknięcie czaszki. Wygląda bardzo źle.

– Mój Boże! Co ona chciała zrobić? – wymamrotał Garten.

– Może uciec? – zaryzykował Saracen.

Cisza w słuchawce przeciągała się niezwykle długo. Kiedy Garten znów się odezwał, głos miał całkowicie wyprany z emocji.

– Czy nie zechciałbyś wyjaśnić tej uwagi?

Saracen wziął głęboki oddech.

– Po pierwsze uważam, że nie należało odsyłać jej do Morley Grange. Sądzę, że ty to zorganizowałeś, żeby zamknąć jej usta.

– Czyś ty stracił rozum, Saracen? – wybełkotał Garten. – Żeby milczała? O czym, na miłość boską?

– Nie wiem – przyznał Saracen. – Ale sądzą, że policji uda się to ustalić.

Garten zmienił ton na bardziej pojednawczy.

– Słuchaj, Saracen. Nie wiem co cię niepokoi, ale jestem zupełnie pewny, że wszystko to ma stuprocentowo racjonalne wytłumaczenie. Spotkajmy się rano. Porozmawiamy. Będziesz mógł wyrzucić z siebie to, co cię gryzie. Wyjaśnimy sobie wszystko i obaj poczujemy się lepiej.

Po namyśle Saracen zgodził się na propozycję Gartena.

– Dobrze – powiedział. – Ale jeśli twoje wyjaśnienia uznam za niewystarczające, pójdę na policję.

– No to do rana – powtórzył Garten.

Saracen odłożył słuchawkę ze świadomością, że nie ma już odwrotu. W żołądku usadowił mu się trwały supeł strachu i złych przeczuc. I obawiał się, że pozostanie tam nie wiadomo jak długo. Kiedy o ósmej przyszedł do szpitala, żeby zmienić Alana Tremaine'a, opowiedział mu o wszystkim.

– Chcesz, żebym był pod ręką? – spytał Tremaine.

– Nie. Na razie trzymaj się na uboczu.

Garten miał przyjść o dziewiątej, ale o wpół do dziesiątej jeszcze go nie było. O dziesiątej Saracen zaczął się denerwować i zadzwonił do Gartena do domu. Nikt nie odebrał telefonu. Minęła dziesiąta trzydzieści, a Garten wciąż się nie pojawiał.

O jedenastej odezwał się telefon służbowy; dzwoniła sekretarka lekarza naczelnego:

– Doktor Saithe chciałby się z panem widzieć za piętnaście minut, doktorze Saracen.

– Nie mogę opuścić oddziału. Doktor Garten jest jeszcze nieobecny.

– Doktor Garten mówi, że przyśle zastępstwo.

– Garten tam jest? – wykrzyknął Saracen.

– W tej chwili doktor Garten jest u doktora Saithe'a.

Saracen odłożył słuchawkę. Garten i Saithe razem? Co tu się szykuje? Poczul jak węzeł uwierający w żołądku tężeje. Odszukał siostrę Lindeman i zawiadomił ją, że będzie musiał wyjść na pewien czas.

– Powiadomiono mnie, że zaraz przyślą zastępstwo.

– Kto? – spytała siostra Lindeman.

– Żebym to ja wiedział! – odparł Saracen.

Przebierał się w szatni, kiedy zjawił się Tremaine. Był wyraźnie zaniepokojony.

– Już kładłem się do łóżka, a tu dzwoni Garten, żebym natychmiast wracał na oddział. Co tu się szykuje?

– Wkrótce się dowiem. Za pięć minut mam być w gabinecie Saithe’a. Garten już tam jest.

– Co ma do tego Saithe? – zdziwił się Tremaine.

Saracen wzruszył ramionami.

– Nie wiem, ale przeczuwam coś niedobrego.

– No to trzymaj się.

W odpowiedzi Saracen uśmiechnął się słabo.

Skreślił w prawo z głównego korytarza i jął wspinać się po schodach do działu administracyjnego. W pewnym momencie odwrócił się, słysząc za sobą metaliczny trzask. Okazało się, że to portier pchający kuchenny stolik na kółkach zawadził nim o najniższy stopień schodów. Teraz głośno kłął naprowadzając swój wehikuł na właściwy kurs. Zapach gotowanych kartofli doszedł aż do Saracena stojącego na podeście pierwszego piętra.

– Proszę, niech pan usiądzie – powiedziała bez cienia przychylności sekretarka Saithe’a.

Saracen uznał to za zły znak. Zachowanie sekretarki stanowi najlepsze ostrzeżenie przed tym, co ma nastąpić. Patrzył jak kobieta wraca do maszyny do pisania, a złoty łańcuszek od okularów chwieje się, połyskując na tle jej czerwonego pulowera. Potem uwaga Saracena przeniosła się na obraz wiszący na ścianie za sekretarką. Dziób klipra *Tae Ping* nurzał się w rozbryzgach piany, za sprawą malarza na zawsze zastygłych w bezruchu.

Zadzwieczał brzęczyk. Sekretarka podniosła słuchawkę; po chwili odłożyła ją i gestem wskazała Saracenowi drzwi gabinetu.

Saracen był przygotowany na obecność w pokoju dwóch osób. Zastał trzy.

– Nie sądzę, żeby znał pan Matthew Grimshawa. Pan Grimshaw jest przewodniczącym Komisji Zdrowia – zaczął doktor Saithe.

Grimshaw, niski, grubokościsty mężczyzna o krótkiej szyi, niskim czole i nosie koloru dojrzałego pomidora, nie wyciągnął ręki na powitanie. Ograniczył się do ledwo zauważalnego kiwnięcia głową. Saracen odpowiedział tym samym. Saithe wskazał mu fotel, po czym zdjął okulary i trzymał je ułożone przed sobą na biurku.

– Doktorze Saracen – zaczął. – Dano nam do zrozumienia, że polecił pan przeprowadzić transfuzję krwi niejakiej Matyldzie Mileham, zanim otrzymał pan na to wymagane prawem pozwolenie.

Saracen zachnął się. Tego się nie spodziewał.

– Dziewczynka jest Świadkiem Jehowy. Jej rodzice nie wyrazili zgody – powiedział zdziwiony.

– Ale wie pan, jaki jest przyjęty tok postępowania, prawda? – spytał Saithe.

– Oczywiście – odparł Saracen. – Dlatego wystąpiłem o objęcie jej opieką sądu.

– Ale nie czekał pan na pozwolenie dokonania transfuzji?

– Nie mogłem. Dziecko by zmarło.

– Pańskim zdaniem – włączył się po raz pierwszy Garten. Jego ton był zdecydowanie nieprzyjazny.

– Tak. Moim zdaniem – odpowiedział Saracen. – Byłem wówczas sam.

– W następstwie tej transfuzji dziecko zapadło na zapalenie wątroby – powiedział Saithe.

– To się zdarza. Po prostu przypadek.

– Albo błędna decyzja – dorzucił Garten.

– Pańskie pochopne działanie naraża Komisję Zdrowia na poważne zarzuty ze strony sądu – mówił dalej Saithe.

– Pochopne działanie! – powtórzył Saracen. Nieco za głośno, ale też zaczynał tracić panowanie nad sobą. – O czym pan mówi? Dziecku potrzebna była krew, bo inaczej by umarło! To przecież śmieszne!

– Za to proces sądowy nie jest śmieszny, doktorze. Wręcz przeciwnie.

– Jaki proces?! – uniósł się Saracen. – Nie ma w tym kraju sądu, który by wyrokował przeciwko zastosowaniu środków mających na celu uratowanie życia dziecka.

– Pytanie tylko, czy zastosowanie tych środków było konieczne, doktorze, czy też chodzi o samowolne działanie lekarza o małym, albo wręcz żadnym szacunku dla prawa.

– Oczywiście, że transfuzja była konieczna! – uniósł się znów Saracen. – Dziewczynka była o krok od śmierci.

– Doktor Garten zaprzecza temu.

A więc to tak, pomyślał Saracen. Garten przystąpił do ataku.

– Doktora Gartena tam nie było – powiedział zimno.

– Mnie wystarcza, że doktor Garten miał dostęp do wszystkich, związanych z tą sprawą, informacji i notatek. Ja... my – Saithe zwrócił się w stronę Grimshawa – ufamy jego ocenie sytuacji. – Saithe założył okulary i spojrzał prosto na Saracena. – Doktorze Saracen – powiedział – swoim nieodpowiedzialnym postępowaniem doprowadził pan do tego, że ten szpital i Komisja Zdrowia znalazły się w kłopotliwej i potencjalnie szkodliwej sytuacji. W związku z tym zostaje pan zawieszony w obowiązkach aż do zakończenia dochodzenia.

Saracen osłupiał; w pokoju na chwilę zapanowała cisza. Wreszcie oskarżony przemówił.

– To naprawdę zabawne!

– Będzie pan miał okazję się bronić podczas dochodzenia – powiedział spokojnie Saithe, zbierając leżące na biurku papiery.

Saracen był wściekły. Spojrzał na Gartena.

– Rozumiem. Uciszyłeś Chenhui, umieszczając ją w szpitalu psychiatrycznym, w dodatku pod działaniem środków psychotropowych, a teraz usuwasz z drogi mnie, grożąc bezsensownym procesem sądowym. Ale to się nie uda. W dalszym ciągu będę dochodził

prawdy o przypadkach Myry Archer i Leonarda Cohena.

Saithe przerwał Saraceniowi.

– Doktor Garten powiedział nam coś niecoś o pańskich skandalicznych pomówieniach. Co pan konkretnie sugeruje, doktorze?

– Sugeruję – zaczął powoli Saraceni, usiłując zapanować nad wzburzeniem – że śmierci dwóch pacjentów przyjętych na Oddział Przypadków Nagłych towarzyszyły bardzo poważne nieprawidłowości.

– I jakież to były te „nieprawidłowości”? – spytał ostro Saithe, marszcząc czoło i ściągając brwi w sposób mający wskazywać, że do akcji rusza wyższa inteligencja.

– Pierwsza, to przypadek kobiety o nazwisku Myra Archer, której przyjęcie przez szpital Ogólny opatrzone zostało uwagą „martwa w chwili przybycia”. Otóż nie. Wiem z całą pewnością, że żyła kiedy ją do nas przywieziono.

Saithe przeniósł wzrok na Gartena, którego twarz przybrała wyraz lekkiego poirytowania zabarwionego uśmiechem politowania, jak przed skorygowaniem kolejnej niemądrej wypowiedzi dziecka.

– Wszystko to ma zupełnie proste wytłumaczenie – zaczął łagodnie. – Pani Archer istotnie żyła jeszcze, kiedy ambulans przybył do szpitala po raz pierwszy. Ale nie wtedy, gdy została formalnie przyjęta.

Saithe ponownie zmarszczył czoło, a Grimshaw wyjął z kieszeni przesadnie dużą chustkę i głośno wytarł nos, zmuszając tym Gartena do przerywania na chwilę swoich wywodów.

– Doktor Tang, która jako lekarz dyżurny była w ambulansie, zawiadomiła mnie, że podejrzewa u pacjentki chorobę zakaźną. W tej sytuacji uznałem za właściwe przesłanie chorej do Szpitala Okręgowego.

– Jaką chorobę – spytał Saraceni.

– Zakażenie salmonellą.

– W jaki sposób Chenhui mogła to stwierdzić? – wtrącił szybko Saraceni.

– Na podstawie wstępnego wywiadu z pacjentką – odpowiedział Garten.

– Ależ ona była nieprzytomna! – zaprotestował Saraceni.

– Doktor Tang twierdzi co innego, a ona przecież wie najlepiej – odparł ostro Garten.

– Co było dalej – spytał Saithe.

– Pacjentka zmarła wkrótce po odjeździe ze Szpitala Ogólnego. I wtedy została zarejestrowana jako DOA.

– Dlaczego zdecydował pan o zawróceniu ambulansu? – spytał Saithe.

Garten uśmiechnął się lekko.

– Jestem przekonany, że słyszał pan oskarżenia Szpitala Okręgowego pod naszym adresem. Oni uważają, że stanowczo zbyt często podrzucamy im swoich pacjentów. W tej sytuacji nie chciałem im dokuczać, tym bardziej, że nie zostało już nic do zrobienia poza formalnościami papierkowymi.

Saracen załamany patrzył w sufit. Garten nie tylko miał na wszystko wyjaśnienie noszące wszelkie pozory prawdy, ale umiał też stworzyć wrażenie człowieka, któremu leży na sercu dobro szpitala.

Saithe chrząknął i mruknął coś tonem aprobaty. Saracen milczał.

– Jeszcze jakieś „nieprawidłowości”? – z niesmakiem zwrócił się do niego Saithe.

– I to dużo – odpowiedział energicznie Saracen. – Kiedy mąż Myry Archer zgłosił się do Oddziału Przypadków Nagłych, powiedziano mu, że żona została odesłana do Okręgowego...

– Istotnie, godne pożałowania nieporozumienie – wtrącił ze skruczą Garten.

– ... a później odmówiono mu zobaczenia ciała żony – dokończył Saracen.

– Pomyślałem, że z uwagi na dokonaną sekcję zwłok, lepiej będzie odmówić jego prośbie – wyjaśnił Garten.

– Jakiej sekcji zwłok? – Saracen zagrał swym głównym atutem, ale nie dostrzegł spodziewanego efektu. Garten spojrział bezradnie na Saithe'a, potem na Saracena i pokręcił głową. Saracen poczuł chłód w żołądku. Coś było nie tak. Oto miał przygwoździć Gartena, a ten nawet nie drgnął.

– Pan chyba wie, doktorze, że we wszystkich przypadkach nagłego zgonu konieczna jest autopsja? – tłumaczył łagodnie Garten. – Dlaczego pani Archer miałaby być wyjątkiem?

– Chciałbym zobaczyć protokół sekcji – Saracen powiedział to już bez wiary w jakikolwiek efekt.

W pierwszej chwili Garten nie zareagował. Przyglądał się Saracenowi jak pajak obserwujący muchę trzepoczącą się w jego sieci, a potem zadał swój *coup de grâce*. Podniósł stojącą na podłodze przy fotelu teczkę i wyjął z niej arkusz papieru. Przesunął go po biurku w stronę Saracena.

Saracen przeczytał nagłówek: „Dane kliniczne z sekcji zwłok Myry Luizy Archer”. Miał wrażenie jakby zapadał się coraz głębiej w miarę jak przerzucał kolejne kartki aż do ostatniej, z podpisem anatomopatologa: *Cyril A. Wylie*. Jako przyczynę śmierci podano zawał mięśnia sercowego. Wśród czynników towarzyszących wymieniono salmonellozę. Saracen podniósł oczy i napotkał wzrok Gartena.

– Jakże inaczej mógłbym podpisać świadectwo zgonu? – spytał Garten z takim spokojem, że Saracen poczuł się jak zdemaskowany oszust.

– Czy mogę zadać pytanie? – odezwał się Grimshaw.

– Oczywiście – powiedział Saithe.

– Co to za infekcja? Co ona oznacza dla niefachowca w medycynie?

– Salmonelloza? Jest to ostra forma zatrucia pokarmowego, spowodowana przez bakterie zbliżone do tych, które wywołują dur brzuszny, czyli tyfus – wyjaśnił Saithe.

– Podejrzenia doktor Tang – dodał Garten – były więc trafne. Na podstawie jej diagnozy wystąpiliśmy do British Airways z zaleceniem, aby skontaktowały się ze współpasażerami Myry Archer celem zastosowania odpowiedniej terapii osłonowej.

- A więc uznał pan, że zaraziła się w samolocie? – spytał Grimshaw.
- To była możliwość, której nie należało lekceważyć – odparł Garten.
- Oczywiście – zgodził się Grimshaw.

Saracen czuł coś w rodzaju podziwu dla Gartena. Ten człowiek poświęcił niewątpliwie całą noc na przygotowanie obrony przed wszelkimi możliwymi zarzutami.

Saithe spojrzał znacząco na zegarek.

– Czekają nas obowiązki. Jeśli nie ma pan żadnych sensownych pytań, doktorze Saracen, proponuję zakończyć to spotkanie.

– Gdzie jest ciało Leonarda Cohena.

– Wie pan dobrze, że ciało pana Cohena zostało zabrane przez przedsiębiorstwo pogrzebowe z powodu awarii naszego agregatu chłodniczego – odpowiedział Garten. – Był pan tam wczoraj, żeby obejrzeć to ciało, chociaż nie mam pojęcia w jakim celu.

A więc Dolman działał w porozumieniu z Gartenem, pomyślał Saracen. Odrobinę otuchy dodało mu pewne zaniepokojenie, jakie pojawiło się w oczach Gartena, kiedy zmienił się kierunek pytań. Widocznie nie spodziewał się tego.

– Byłem tam wczoraj – odparł spokojnie – i zbadałem ciało, ale to nie były zwłoki Leonarda Cohena.

– O czym pan mówi, doktorze? – zdziwił się Saithe.

– Mówię o tym, że pojechałem wczoraj do zakładu Maurice’a Dolmana, żeby zbadać ciało Leonarda Cohena, które doktor Garten przesłał tam natychmiast po śmierci pacjenta. Przedsiębiorca pogrzebowy pokazał mi ciało, ale to nie był Leonard Cohen.

– Co to znaczy, nie Cohen? – obruszył się Garten. – Na jakiej podstawie pan tak twierdzi? Saracen wyjaśnił mu i po raz pierwszy na twarzy Gartena pojawił się niepokój.

– Jestem pewny, że istnieje jakieś proste wytłumaczenie tego faktu, jeśli prawdą jest to, co pan mówi – powiedział po krótkiej chwili. – Może pracownik pokazał panu nie to ciało.

– Pokazał mi jedyne ciało mężczyzny jakie mieli w kostnicy – podkreślił Saracen, niemal już pewny sukcesu.

– Kiedy to było? – spytał Garten.

Saracen odniósł wrażenie, że Garten gra na zwłokę. Powiedział więc, o której godzinie zjawił się u Dolmana.

– No to wszystko jasne – odparł Garten z udawaną ulgą. – Ciało Cohena zostało już przesłane do autopsji.

– I pan ma pewnie jej protokół – powiedział spokojnie Saracen, widząc że Garten odzyskuje inicjatywę.

– Oczywiście – przyznał Garten wyjmując następny dokument z teczki.

I znów Saracen zobaczył na protokole podpis Cyrila Wylie’ego. Oddał papier Gartenowi.

– W dalszym ciągu chciałbym zobaczyć ciało.

– Doktorze Saracen, tego już naprawdę za wiele – zaprotestował Saithe.

Garten uśmiechnął się przepaszająco.

– Obawiam się, że to już jest spór raczej akademicki. Ponieważ Leonard Cohen nie miał żadnych krewnych, jego zwłoki po sekcji zostały przekazane dziś rano do kremacji.

Saracen czuł ogarniające go odrętwienie wywołane świadomością całkowitej porażki. Saithe podniósł się zza biurka.

– Doktorze Saracen, przypominam, że jest pan zawieszony i tym samym zwolniony z obowiązków służbowych aż do odwołania.

Saracen wrócił do swego mieszkania pełen bezsilnej złości. Spełniły się jego najgorsze obawy. To nie była drobna potyczka ze zwierzchnikiem. Jeśli nie uda mu się zdemaskować niezrozumiałej gry Gartena, może się uważać za wyrzuconego poza nawias społeczności lekarskiej. Zadzwoił do Szpitala Okręgowego, poprosił do telefonu Mossa i opowiedział, co się wydarzyło. Moss zgodził się na spotkanie gdzieś na mieście. Uznali, że omawianie tej sprawy przez telefon jest raczej niewskazane. Spotkali się przed pubem Green Man o wpół do pierwszej.

– Z tego co mówiłeś zrozumiałem, że nie przeprowadzono sekcji zwłok Myry Archer – powiedział na wstępie Saracen; nie próbował ukryć wyrzutu w swoim głosie.

– Zgadza się.

– Garten miał protokół sekcji podpisany przez Cyrila Wylie'ego. Zastrzelił mnie tym zupełnie.

– Z jaką datą? – spytał spokojnie Moss.

– Trzynastego.

– Sprawdziłem rejestr autopsji Wylie'ego od dwunastego do piętnastego. Myry Archer tam nie ma. On po prostu tej sekcji nie wykonał, chyba że wziął robotę do domu i pracował po godzinach.

Saracen nie był w nastroju do żartów.

– Możesz udowodnić, że Wylie nie przeprowadził sekcji zwłok Myry Archer?

Uśmiech na twarzy Mossa zgasł.

– Czy zdajesz sobie sprawę, o co pytasz? – powiedział poważnie.

Saracen skinął głową.

– To moja jedyna szansa.

– Mogę się oprzeć tylko na rejestrze. Jeśli nawet nie zrobił tej sekcji, zawsze może powiedzieć, że nastąpiła zmiana kolejności, i że przyśpieszył sekcję Myry Archer, bo była pilniejsza.

– Myślę, że to się zdarzyło dwukrotnie.

– Jak to?

– Garten pokazał mi także protokół autopsji Leonarda Cohena, którą Wylie miał zrobić dziś rano. Nie wierzę w to.

– Mogę sprawdzić – powiedział Moss – i zadzwonić do ciebie po południu. A teraz muszę już iść.

Wstał i wyszedł, zostawiając Saracena sam na sam z uczuciem, że nie ma po co i dokąd się śpieszyć.

Ruszył w stronę swego mieszkania. Po porannej mgle i mżawce rozjaśniło się nieco, ale światło słoneczne było rozproszone, jakby przenikało przez warstwę wody. Nie pociągała go perspektywa ponurego rozmyślenia w czterech ścianach. Zdecydował się na spacer. Potrzebował chociaż chwilowego oderwania się od rzeczywistości, zanurzenia się w hałasie ulic, wmieszania się w tłum ludzi nieświadomych zmartwień. Słońce przebiło się wreszcie przez chmury, i kiedy skręcił z głównej ulicy w stronę wejścia do Coronation Park, poczuł na policzku przyjazne ciepło. Przytrzymał żelazną furtkę, żeby ułatwić przejście młodej matce popychającej przed sobą wózek i ruszył centralną aleją w kierunku nadrzecznego bulwaru. Spacerowały tu albo młode kobiety z dziećmi, albo starzy mężczyźni. Zastanawiał się, dlaczego brak wśród nich starych kobiet. Czym się zajmują w czasie, kiedy ich mężowie przemierzają kręte alejki parku? Może mężczyźni, po wieloletnim regularnym chodzeniu do pracy odczuwali silniejszy przymus przebywania poza domem? Starzy mężczyźni chodzili tak, jakby rządziło nimi jakieś poczucie celowości. Nawet najstarsi z nich, z plecami przygiętymi ku ziemi niewidzialną ręką czasu, nigdy nie wyglądali na wałęsających się bez celu.

Zatrzymał się przy wierzbie, której pień wychylał się z nabrzeża daleko nad rzekę. Zwisające nad wodą gałązki pokryte były nabrzmiałymi zielenią pączkami. Zastanawiał się, co może mu się przydarzyć, zanim na tym drzewie rozwiną się liście. Chwilami miał wrażenie, że jego jedyną nadzieją jest Moss, który może udowodnić, że autopsja Myry Archer i Leonarda Cohena nigdy nie została przeprowadzona. Ale co by to znaczyło? Że sfałszowano protokoły? Z pewnością nie. Garten nie był aż tak prymitywny. Jeśli jednak Cyril Wylie sporządził i podpisał protokoły nie robiąc sekcji, musiał mieć w tym jakiś interes. Pytanie: jaki? Właściwie nie mam już nic do stracenia, pomyślał Saracen rzucając kamyczek do wody, po prostu spytam go.

Otwierając drzwi mieszkania, Saracen słyszał dzwonek telefonu. Był pewien, że w chwili gdy podejdzie do aparatu ten ktoś dzwoniący, odłoży słuchawkę. Ale tym razem przecucie go zawiodło. Dzwoniła Jill.

- James? Próbuję się do ciebie dodzwonić od Bóg wie kiedy. Gdzie się podziewałeś?
- Byłem na spacerze.
- Słyszałam co się wydarzyło. Musisz się czuć okropnie.
- No, nie najlepiej – zgodził się Saracen, i spróbował się zaśmiać. Nie wyszło to dobrze.
- Och, James – westchnęła Jill, bezbłędnie wyczuwając ton rezygnacji w głosie Saracena.
- Nie mogą ci postawić takiego zarzutu. Wszyscy wiedzą, że bez transfuzji dziecko by

umarło. Może to potwierdzić doktor Tang i siostra Lindeman. Na pewno wyjdiesz z tego czysty. Zobaczysz.

Saracen nie podzielał opinii Jill. Chenhui nie była w stanie go poprzeć, a co do siostry Lindeman – w czysto teoretycznej dyskusji medycznej nikt jej nie spyta o opinię. Zmilczał jednak. Powiedział tylko:

– Zobaczymy.

– Czy mogę przyjść do ciebie wieczorem, czy wolisz wpaść do mnie? Ciągle jestem w mieszkaniu Mary Travers.

Saracen zawahał się na chwilę.

– Zostawmy na razie sprawę otwartą, dobrze? Czekam na telefon od Dave’a Mossa.

– Oczywiście – odpowiedziała Jill. – Jeśli zechcesz przyjść – będę w domu.

Moss zadzwonił o wpół do czwartej.

– Przepraszam, że tak późno. Musiałem czekać na okazję. Jest tak, jak podejrzewałem. W rejestrze Wylie’ego nie ma zapisu o sekcji zwłok Cohena. Owszem, robił badania, ale to była osiemdziesięcioletnia kobieta, niejaka Isabella Leith.

Saracen poczuł ulgę.

– Nie wiem jak ci dziękować, Dave.

– Jest jeszcze jedna rzecz... – zaczął Moss.

Saracen wyczuł w jego głosie nutkę zmieszania i niepewności.

– Tak?

– W zasadzie niewiele więcej będę mógł dla ciebie zrobić. Będę ci wdzięczny, jeśli uda ci się nie wciągać mnie w tę sprawę.

– Jasne, rozumiem – odpowiedział Saracen i zanim odłożył słuchawkę jeszcze raz podziękował Mossowi.

Uśmiechnął się gorzko. Przyjaciele bez skazy, w każdej sytuacji wierni aż do końca, istnieją w książkach i w filmach. Rzeczywiści – są zwyczajnymi ludźmi.

Odczekał chwilę, żeby się uspokoić i skoncentrować, po czym wykręcił numer Zakładu Patologii Szpitala Okręgowego. Zauważył, że puls mu wyraźnie przyspieszył.

– Patologia.

– Z doktorem Wylie, proszę.

– Chwileczkę. Można spytać kto dzwoni?

– Doktor Saracen.

Nastąpiła dłuższa przerwa.

– Tak, słucham. O co chodzi? – zabrzmiał trochę zbyt energiczny głos Wylie’ego.

– Czy mógłbym z panem pomówić, doktorze Wylie?

– A kto mówi? – dopytywał się Wylie, nie próbując ukryć irytacji.

– James Saracen. Jestem, a raczej byłem, lekarzem na oddziale Nigela Gartena w

Skelmore General.

– Gartena, powiada pan. – W głosie Wylie’ego pojawił się nowy ton, chociaż Saracen nie był w stanie określić czy to zaskoczenie, czy coś innego. – Po co chce pan wiedzieć się ze mną? Jestem bardzo zajęty.

– Myra Archer i Leonard Cohen – powiedział Saracen bez ogródek.

W słuchawce zapanowała cisza. Dopiero po dłuższej chwili rozległ się ściszony głos Wylie’ego.

– O co panu chodzi?

Tym razem Saracen nie miał trudności z wychwyceniem zwykłego strachu w głosie Wylie’ego. Dodało mu to pewności siebie. Wylie będzie piętą achillesową Nigela Gartena, tym słabym ogniwem, które Saracen zamierzał rozerwać.

– Chcę wiedzieć, dlaczego podpisał pan protokoły sekcji zwłok pacjentów, nie przeprowadzając autopsji – powiedział twardo Saracen.

Posłyszał jak Wylie z trudem przełyka ślinę.

– To jakiś nonsens!

– Zgadzam się – powiedział Saracen. – Tyle, że to jest prawda – cedził słowa powoli, z beznamiętną pewnością siebie.

– Mówił pan, że jest pan od Gartena? – wyjąkał Wylie.

Saracen niemal widział pot na jego czole.

– Garten pana nie uratuje – powiedział. – Wiem wszystko o udziale Gartena. Siedzi w tym po uszy. Pomyślałem, że warto poznać pański punkt widzenia tej sprawy, zanim przekażę ją policji. Byłoby mi przykro, gdyby to pan miał przyjąć całą winę na siebie.

Wzmianka o policji odniosła pożądany skutek. W głosie Wylie’ego pojawiły się oznaki paniki.

– Policja? Na pewno nie ma potrzeby zwracać się do policji. To znaczy... chciałem powiedzieć, że chyba istnieje jakaś inna możliwość?

– Nie sędzę – Saracen dokręcał śrubę.

– Chwileczkę. Nie moglibyśmy przedyskutować tej sprawy?

– Prawdę mówiąc, nie widzę potrzeby. O czym tu dyskutować? – odpowiedział zimno Saracen.

– Pan nie wszystko rozumie. Niech mi pan da szansę wyjaśnienia. To wszystko, o co proszę.

– No więc słucham.

– Nie, nie przez telefon. Zostaję dziś dłużej w Zakładzie Patologii. Niech pan wpadnie koło dziesiątej. Powiem wszystko, co chce pan wiedzieć.

Saracen ledwo mógł uwierzyć własnym uszom. Z bezczelnego gbura, Wylie nie wiedzieć kiedy przeistoczył się w zalęknionego nieszczęśnika. Odpowiedział, zmuszając się do utrzymania twardego tonu.

– Będę tam. I jeszcze jedno...

– Tak?

– Żadnych telefonów w tej sprawie do Gartena czy kogokolwiek. W przeciwnym razie idę prosto na policję. A o tym, czy pan dzwonił, dowiem się bardzo szybko.

Saracen odłożył słuchawkę, nie dając Wylie'emu czasu na odpowiedź. Był pewny, że ten blef się uda. Wylie był zbyt wystraszony.

O wpół do piątej zadzwoniła Jill.

– Prawdę mówiąc, nie wiem po co ci zawracam głowę, ale chciałam wiedzieć jak się czujesz.

– To bardzo miłe z twojej strony – odpowiedział miękko. – Jestem ci wdzięczny. Muszę iść wieczorem na spotkanie z Cyrilem Wylie.

– Tym patologiem?

– Tak. Myślę, że to nie potrwa dłużej niż do wpół do dziesiątej. Później wpadnę do ciebie jeśli chcesz.

– Oczywiście.

Ledwie Saracen odłożył słuchawkę, telefon znów się rozbrzęczał. Dzwoniła siostra Melrose, z Oddziału Intensywnej Terapii.

– Prosił pan o informacje w sprawie doktor Tang, prawda doktorze?

– Odzyskała przytomność?

– Nie. Zmarła przed dziesięcioma minutami.

– Rozumiem. – W spokojnym głosie lekarza brzmiał szczerzy smutek. – Czy przed śmiercią odzyskała przytomność?

– Na bardzo krótko.

– Mówiła coś?

– Owszem, ale prawie wyłącznie po chińsku. Te kilka angielskich słów, które koleżanka zdążyła zapisać, brzmiało... – Dał się słyszeć szelest papieru i siostra Melrose odczytała – „Sześć dni, więcej niż sześć dni, za długo, nie Myra Archer”.

– To wszystko?

– Tak.

– Dziękuję, siostrze.

Saracen jakiś czas zastanawiał się, co mogły znaczyć te słowa, ale nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. Przypomniał sobie, że coś podobnego słyszała siostra Turner. Chodziło o zdanie, które Chenhui wykrzyczała Gartenowi w czasie jej „załamania”.

„Sześć dni?” „Zbyt długo?” Na co zbyt długo? I jeszcze: „nie Myra Archer?” Może po rozmowie z Wylie'em zdoła to rozszyfrować? Spojrzał na zegarek.

7.

Kiedy tuż po wpół do dziewiątej Saracen wychodził z domu, właśnie zaczynało padać. Z początku był to niewielki, spokojny deszcz, wkrótce jednak przerodził się w ulewę.

Jednostajny grzechot kropel o dach samochodu, świst wody rozcinanej oponami i równomierne popiskiwanie wycieraczek towarzyszyły Saracenowi w drodze przez opustoszałe ulice do samego Szpitala Okręgowego.

Szpital Okręgowy znajdował się na południowym krańcu Skelmore. Był to kompleks brzydkich, starych budynków z czerwonego piaskowca, powiązanych ze sobą oszklonymi łącznikami, wyraźnie późniejszego pochodzenia. Początkowo mieściło się tam sanatorium dla chorych na gruźlicę. Później, kiedy streptomycyna umożliwiła pozbycie się tej plagi społecznej, a rozrastające się miasto dotarło do terenów sanatorium, zmieniono je na Szpital Okręgowy hrabstwa Skelmore.

Saracen wjechał przez główną bramę i skręcił w lewo, w stronę Zakładu Patologii, położonego w pewnym oddaleniu od głównego gmachu szpitala. Usytuowany w niewielkim zagłębieniu terenu, był dodatkowo zasłonięty przed ludzkimi oczyma rzędem topoli. Na początku drogi prowadzącej do Zakładu widniała tablica z napisem: „Teren zamknięty. Wstęp wzbroniony”. Chodziło o to, żeby zapobiec ewentualnym spacerom pacjentów w sąsiedztwie prosektorium i szpitalnej kostnicy.

Jadąc powoli Saracen minął tablicę ostrzegawczą i skręcił w podwórze. Stał tam tylko jeden samochód, granatowy rover, należący – jak się domyślał – do Wylie’ego. Zatrzymał się możliwie blisko wejścia, żeby nie zmoknąć bez potrzeby.

Za drzwiami owionęło go ciepłe powietrze, przesycone zapachem formaliny, który natychmiast skojarzył mu się z incydentem pod kostnicą Szpitala Ogólnego. Bywał już tutaj, ale zawsze za dnia. Nocą atmosfera Zakładu stawała się zdecydowanie nieprzyjemna.

W budynku paliły się wszystkie światła, ale nic nie zdradzało obecności ludzi. Ponieważ Wylie był sam, Saracen nie czuł się tym zaskoczony. Spodziewał się, a nawet miał pewność, że patolog usłyszał warkot jego samochodu. Na razie jednak, mijając kolejne uchylone drzwi,

widział tylko puste ławki i zakurzone maszyny do pisania. Nie chcąc utracić psychologicznej przewagi, jaką – jego zdaniem – posiadał nad Wylie’em, Saracen oparł się pokusie zawołania gospodarza.

Doszedł mniej więcej do połowy łącznika, kiedy usłyszał dźwięczny odgłos, jakby upadku metalowego narzędzia na kamień. A raczej na marmurową płytę, bo źródło dźwięku znajdowało się w pomieszczeniu na końcu łącznika. Tam, w narożnej, okrągłej salce mieściło się prosektorium. Saracen powoli ruszył w kierunku wysokich drzwi. Prawdę mówiąc, nie był przygotowany na taki scenariusz. Doszedł do drzwi, uchylił jedno skrzydło i zatrzymał się, jakby nie zamierzał przekraczać progu.

Wylie podniósł wzrok i ujrawszy Saracena uśmiechnął się drwiąco. Ten odpowiedział mu twardym spojrzeniem. W milczeniu obiegł wzrokiem wnętrze prosektorium. Potężny snop światła z dużej, okrągłej lampy wyodrębniał z półmroku niewielki stół z marmurowym blatem, leżące tam zwłoki i pochylonego nad nimi Wylie’ego, z głową odwróconą w kierunku drzwi. Z obciążniętych gumowymi rękawiczkami dłoni patologa wyjętych przed sekundą z klatki piersiowej trupa, ściekała kroplami jakaś lepka ciecz. Widok był zaiste koszmarny. Niczym scena z drugorzędnego horroru. Wylie wyprostował się powoli.

– Wchodź pan – powiedział. – I zamknij pan drzwi za sobą. Nie chcę, żeby ten cholerny smród rozlał się po całym budynku. Saracen zamknął powoli drzwi i podszedł do stołu. Zatrzymał się w odległości paru kroków, żeby uniknąć ochlapania wodą ze zmywaczy.

– Myślałem, że już się pan przyzwyczaił do tych zapachów – zauważył.

Wylie zaśmiał się gorzko.

– Pracuję w tym fachu trzydzieści cztery lata i nadal go nienawidzę.

Rzucił skalpel na tacę i zaklął, kiedy okazało się, że chybił i zamiast do odpowiedniego pojemnika, skalpel upadł z brzękiem na podłogę. Saracen domyślił się, co oznaczała nieco bełkotliwa wymowa patologa.

– Gdzie jest... – mruczał Wylie rozglądając się wokół siebie. Zaczął grzebać w stercie narzędzi, aż wy dobył to, czego potrzebował. Popatrzył na Saracena i gestykuluując ręką, w której trzymał nóż, rzekł:

– Ciekaw jestem panie kolego, czy masz pan pojęcie... czy masz pan jakiegokolwiek cholera, pojęcie co to znaczy spędzić przy takiej robocie trzydzieści lat? – Spojrzał ze wstrętem na zwłoki. – No? Masz pan?

Saracen nie zamierzał wysilać wyobraźni, aby wczuć się w sytuację Wylie’ego, ale chcąc nie chcąc czegoś się o nim dowiedział. Jego pijaństwo, jego odpychający sposób bycia miały jakieś uzasadnienie. Ten człowiek nienawidził swojej pracy – pół życia poświęcił wykonywaniu zawodu, do którego czuł wstręt. Trzydzieści lat życia, niechęci, przymusu – czy mógł być inny niż jest? W ciągu kilku chwil Saracen ujrzał i zrozumiał całą okropność egzystencji Wylie’ego. Wielu ludziom zdarza się zarabiać na życie pracą, do której nie mają serca. A jeśli tą pracą jest anatomopatologia?

– Ale dlaczego? – spytał z niedowierzaniem.

Po raz drugi Wylie zaśmiał się z goryczą.

– Dlaczego? Dlaczego? A czy to w ogóle ma znaczenie? Ilu z nas może robić to, co naprawdę chce?

– Ale to... – Saracen spojrział na prawie puste wewnątrz zwłoki, a potem na Wylie'ego. Ten jednak nie miał chęci na dalszą rozmowę. Ściągnął rękawice i wrzucił je do pustej klatki piersiowej. Wskazał ruchem głowy na trupa i odezwał się głosem pełnym dawnej arogancji.

– Czy wiesz pan, doktorze, na co on umarł?

Saracen pokręcił przecząco głową.

– Ze starości – wyjaśnił Wylie. – Tak samo jak ten, którego robiłem poprzednio i prawdopodobnie nikomu nie wolno umrzeć z powodu podeszłego wieku. O, nie! Społeczeństwo żąda, żebym każdego, kto się na to odważy, rozciął i obejrzał. A potem mam jeszcze obowiązek wymyślić coś, co brzmi odpowiednio naukowo i wpisać to do świadectwa zgonu. W ten sposób wmawia się ludziom, że starość jest stanem patologicznym i może być leczona. Wystarczy tylko wydać odpowiednio dużo pieniędzy. Błazny! A czytałeś pan, co krewni tych starców wypisują w nekrologach? Wystarczy zajrzeć do miejscowego szmatławca. „Śpij w spokoju”. Śpij! Szlag by trafił! Czy ten tutaj wygląda na śpiącego? „Prosimy o dotacje na badania chorób serca”. O to właśnie chodzi! Cholerny świat! Dziad był już ślepy, głuchy i pokręcony artretyzmem, a im się wydaje, że jeszcze trochę badań nad funkcjonowaniem układu krążenia i zostałyby „uratowany”!

Zwiesił głowę nad zwłokami i otrząsnął się, jakby próbując zapanować nad wzbierającą w nim frustracją. Saracen przyglądał mu się w milczeniu.

Na koniec Wylie uspokoił się i spojrział na Saracena.

– Zapamiętaj pan moje słowa – powiedział spokojnie. – Oni nie bez powodu konserwują te stare gmachy. Za dziesięć lat powstanie tu jeden wielki oddział psychogeriatrici. Sale pełne będą żywych trupów, podłączonych do różnych maszynek i monitorów... i tylko pip-pip-pip...

Zaśmiał się ochryple.

Saracen zastanawiał się, czy ma przed sobą zwykłego pijaka, czy osobnika nieznównoważonego umysłowo. Czuł się nieswojo i postanowił zakończyć to przykre widowisko.

– Nie przyszedłem tu, żeby dyskutować o przyszłości medycyny, doktorze Wylie – powiedział sucho.

– Oczywiście! A jakże! Przyszedłeś pan, żeby dowiedzieć się czemu podpisałem świadectwa dwóch zdechłaków nie odwalwszy przedtem rzeźniczej roboty!

– Nie tylko – odparł Saracen. – Pan nie widział tych ciał, prawda?

Cała pewność siebie opuściła nagle Wylie'ego; ramiona mu opadły.

– Nie miałem wyboru – odparł cichym, spokojnym głosem.

– Garten? – spytał Saracen.

– Garten – potwierdził Wylie. – Postawił sprawę jasno: jeśli nie będę postępował według jego wskazówek i nie dostarczę mu protokołów sekcji, to po pierwsze: spowoduje moje zwolnienie, po drugie: postara się, żeby odebrano mi uprawnienia lekarza, za drastyczne naruszanie etyki zawodowej. Wstyd przed żoną, przed córką... Właśnie się zaręczyła. Nie miałem wyboru. Niech pan spróbuje mnie zrozumieć! On by mnie zniszczył!

Saracen kiwał głową, nie chcąc przerywać strumienia wyznań Wylie'ego. Nawet uwzględniając jego alkoholizm, takie zmiany zachowania i nastroju były dla Saracena zbyt dramatyczne, a przy tym krępujące. W ciągu kilku zaledwie minut czuł kolejno gniew, wstręt, litość i współczucie. Teraz jednak, kiedy zdawało się, że na Wylie'ego spłynął wreszcie spokój, Saracen stwierdził, że zaczyna się chyba bać.

Niespodziewanie trzeźwym, pewnym głosem, Wylie zakończył:

– Nie mogłem mu na to pozwolić, tak samo jak nie mogę pozwolić panu...

Groźba zawarta w tych słowach była oczywista i Saracen poczuł, że robi mu się gorąco. Jednocześnie uświadomił sobie, w jak trudnej znalazł się sytuacji. Nie wiedział na czym polega niebezpieczeństwo. Owszem, liczył się z tym, że Wylie może się zdenerwować, stracić panowanie nad sobą, bluzgać przekleństwami, w końcu grozić. Tymczasem patolog był spokojny, pewny siebie i... budził lęk.

Wylie sięgnął pod tacę z narzędziami i wyjął stamtąd jakiś przedmiot.

– Wiesz pan co to jest? – spytał.

Saracen mimowolnie wstrzymał oddech widząc, że w rękę Wylie'ego pojawił się pistolet. Ale niemal natychmiast strach przerodził się w rozbawienie, kiedy zauważył maleńki otwór wylotowy lufy.

– Toż to wiatrówka! – wykrzyknął z ulgą. Niewiele brakowało, a ryknąłby śmiechem.

Wylie nawet nie drgnął. Odczekał chwilę i nacisnął spust. Metaliczny trzask wystrzału odbił się echem w wysokim, wykładanym kafelkami pomieszczeniu.

Saracen poczuł ostry ból w udzie i zaskoczony opuścił wzrok. Zobaczył tkwiącą w materiale spodni maleńką strzałkę.

– Wylie, idioto! Odłóż tę cholerną zabawkę! – wrzasnął ze złością.

Ruszył ku Wylie'emu, ale znieruchomiał w pół kroku. Noga zdrętwiała mu tak, że omal nie stracił równowagi. W jednej chwili ogarnęła go panika. Zrozumiał, że nie była to zwykła strzałka.

– Co... pan tam...? – wyjąkał.

Wylie przyglądał mu się bez cienia emocji.

– Strzałka – zaczął – zawierała miorelaksant, środek rozkurczowy działający na mięśnie szkieletowe, głównie stawowe. Zdobyłem ten pistolecik dzięki uprzejmości naszych kolegów weterynarzy, którzy posługują się nim do obezwładniania dużych zwierząt. Za chwilę będzie pan całkowicie sparaliżowany. Prawdę mówiąc, wiele zależy jeszcze od tego, czy przez nieuwagę nie zastosowałem zbyt dużej dawki. Wtedy działanie leku objęłoby także mięsień

sercowy. A to byłoby mi bardzo nie na rękę. Miejmy nadzieję, że nie popełniłem błędu.

Tymczasem Saracen osunął się na podłogę. Nie potrafił przemóc uczucia zmęczenia i postępującej drętwoty nóg i rąk. Przycisnął dłoń do posadzki, ale łokcia nie mógł dźwignąć ani na milimetr. Umysł ciągle jeszcze miał jasny, ale mięśnie nie reagowały na gorączkowe, paniczne sygnały wysyłane przez mózg. Również oddychanie stawało się coraz trudniejsze, wymagające świadomego wysiłku.

– Nie marnuj pan czasu – odezwał się Wylie, stając nad leżącym.

Saracen zrozumiał sens tych słów, ale miał wrażenie, że dobiegają doń z głębi tunelu.

W odległości kilkunastu centymetrów od swojej twarzy widział ochlapane krwią gumowe buty Wylie'ego.

Próbował mówić, ale mięśnie twarzy odmówiły mu posłuszeństwa. Wylie zdawał się czytać w jego myślach. Nogą obrócił Saracena na plecy i spojrzął mu z góry w twarz.

– Zastanawiasz się pewnie, co będzie dalej, prawda? – spytał.

Słowa te dotarły do świadomości Saracena jakby odbite wielokrotnym echem. Znów spróbował przezwyciężyć bezwład mięśni, ale udało mu się jedynie poruszyć dolną szczęką na tyle, żeby zamknąć usta i zewrzeć zęby. Niczym drewniana kukielka powtórzył ten ruch, patrząc na twarz Wylie'ego widniejącą nad zakrwawionym fartuchem.

– Umrzesz bezboleśnie – rzeczowym tonem stwierdził patolog. – Popełnisz samobójstwo pod wpływem głębokiej depresji wywołanej odsunięciem od pracy i zawieszeniem w obowiązkach lekarza.

Zaczerwienione i załzawione oczy Wylie'ego zwięzły się w przypiływie gniewu. Twardym spojrzeniem obrzucił leżący u jego stóp kształt.

– Nie po to spędziłem trzydzieści lat w tej rzeźni – zasyczał – żeby mi teraz jakiś wścibski łązega wszystko zniszczył.

Odwrócił się tyłem do Saracena i zaczął ściągać fartuch, potem buty i robocze spodnie. Wrzucił ubranie do pojemnika na odzież przeznaczoną do prania.

– Tlenek węgla – oświadczył zwracając się znów do Saracena. – Tak się to załatwi. Pojedziemy twoim samochodem na miłą przejażdżkę za miasto, znajdziemy jakieś zaciszne miejsce i połączymy wylot rury wydechowej z wnętrzem wozu. Zapalę silnik i zostawię cię w środku. Proste i eleganckie. I tak będzie miał miejsce jeszcze jeden przypadek samobójstwa, tak pospolity, że policja ledwie raczy go odnotować.

W miejsce gumowców, Wylie włożył podniszczzone zamszowe buciki, po czym znów stanął nad Saracenenem. Ten wciąż poruszał ustami, jak ryba wyrzucona na piasek. Wylie zaśmiał się krótko.

– A wiesz, jaki będzie finał tej historii? – Wylie urwał, jakby czekał na odpowiedź. – Otóż to ja zostanę wyznaczony do przeprowadzenia sekcji twoich zwłok! Zażądam, żebym rozciął twoje ciało, różowe od karboksyhemoglobiny, i poproszą o fachową opinię. To się nazywa ironia losu!

Burza, jaka rozpętała się w umyśle Saracena, nie objawiła się najlżejszą aktywnością jego mięśni; łączność między mózgiem a kończynami została przerwana. Lekki ruch szczęką – to wszystko, do czego był zdolny. Czuł, jak Wylie chwyta go za nogi w kostkach i wlecze po gładkiej posadzce w kierunku drzwi. Tam przystanął, żeby wyłączyć światło przed wyjściem na korytarz. Głowa Saracena przekręciła się na bok i policzek szorował boleśnie o chropowatą posadzkę korytarza.

Po dotarciu do drzwi wyjściowych Wylie znów się zatrzymał, puścił nogi Saracena i jął przetrząsać jego kieszenie w poszukiwaniu kluczyków od samochodu. Znalazł je, i nagle zaklął, ujrawszy czerwoną szramę na policzku lekarza. Ujął go za podbródek, obrócił głowę i przyjrzał się skaleczeniu.

– Nieuwaga – mruknął. – Trzeba być ostrożniejszym.

Następnie pchnął drzwi i wyszedł na podwórze, aby otworzyć samochód. Saracen czuł na twarzy powiew chłodnego powietrza. Gdzieś nad nim deszcz bębnił o szyby świetlików. Wylie wrócił, złapał go pod pachy i uniósł do pozycji siedzącej. Potem zarzucił sobie na szyję jedno ramię Saracena i z wysiłkiem dźwignął go do pionu. Na wpół niosąc, na wpół wlokąc swój ciężar, dotarł do samochodu. Cisnął bezwładne ciało na tylne siedzenie i wrócił do budynku. Po minucie był z powrotem i Saracen wyczuł, że upycha obok niego jakiś przedmiot. Przedmiot ten przesunął się nawet po jego twarzy i zatrzymał w odległości kilkunastu centymetrów od oczu. Był to koniec grubego plastikowego węża.

Samochód ruszył i popędził w deszcz. Saracen uparcie próbował uruchomić jakikolwiek mięsień. Nieco otuchy dodał mu fakt, że oddychanie stało się odrobinę łatwiejsze. Pomyślał, iż to skutek powolnego zaniku aktywności leku. Trzeba tylko ciągle próbować, powtarzał w duchu. Im szybsze będą procesy metabolizmu, tym szybciej organizm usunie wprowadzoną doń truciznę.

Jechali około piętnastu minut, kiedy Saracen poczuł, że samochód zwalnia. Początkowo miał nadzieję, że nadal znajdują się na terenie miasta i po prostu dojeżdżają do skrzyżowania, ale zaraz poczuł wstrząsy i kołysanie się wozu wskazujące na to, że zjechali z szosy na boczną, mało uczęszczaną drogę o gorszej nawierzchni. Wóz zatrzymał się i przez chwilę panowała zupełna cisza. Potem Saracen usłyszał, jak Wylie wysiada i poczuł, że wyciąga leżący obok niego plastikowy wąż. W dalszym ciągu paraliż obejmował całe jego ciało. Zdawało mu się, że raz czy drugi zdołał nieznacznie poruszyć głową, ale równie dobrze mogło to być złudzenie wywołane żarliwą nadzieją. Jedyne, co mu zostało, to leżeć i z otaczającej ciszy wyławiać dźwięki informujące, co się dzieje. Z początku były to tylko postukiwania i ciche trzaski stygnącego silnika. Później prawie bezgłośnie, lekkie kołysanie. Domyślił się, że Wylie mocuje wąż na końcówce rury wydechowej.

Otworzyły się tylne drzwi i Saracen poczuł, że Wylie wlecze go w chłód i wilgoć nocy. Miał nadzieję, że osiemdziesiąt kilo wagi bezwładnego ciała sprawi Wylie'emu nieco kłopotu i opóźni realizację jego zamiarów. Wiedział, że czas jest teraz dla niego czynnikiem

najważniejszym. Ale Wylie manipulował nim z fachową zręcznością i w kilka sekund wtłoczył go na siedzenie kierowcy.

– No, jesteś pan na miejscu – wysapał z zadowoleniem. Były to jego pierwsze słowa od wyjazdu z podwórza Zakładu Patologii. Ułożył ręce Saracena na kierownicy i pochylił ciało tak, by głowa prawym policzkiem spoczęła na rękach. Stwierdziwszy, że w tej pozycji ofiara prezentuje się wystarczająco naturalnie, zajął się umocowaniem plastikowego węża, wprowadzonego do wnętrza przez uchylone, trójkątne okienko w drzwiach. Następnie obszedł samochód dokoła, otworzył drzwi po stronie pasażera i sięgnął do kluczyka stacyjki.

– Żegnaj, doktorze Saracen – szepnął. – Przyjemnej podróży. – I przekreślił kluczyk. Silnik zaskoczył i po chwili warczał równo na jałowym biegu. Drzwi zatrzasnęły się i Saracen zobaczył przez okno, jak Wylie wyjmując z kieszeni płaską flaszkę i przytyka ją do ust. Pociągnął długi łyk i odszedł w noc.

Saracen zacisnął powieki w bezsilnej rozpacz. Ręce i nogi miał w dalszym ciągu bezwładne i pozbawione czucia. Wiedział, że od śmierci dzieli go tylko minuty. Klakson! Gdyby udało mu się sięgnąć brodą przycisku sygnału, jego dźwięk mógłby zwrócić czyjąś uwagę... Nie, to nie jest dobry pomysł i Saracen szybko zdał sobie z tego sprawę. Przecież zanim ktoś zechce zbadać co tu się dzieje, w dodatku nocą, z dala od głównej drogi, on będzie już dawno martwy. Co innego, gdyby udało mu się unieruchomić silnik! Na przykład włączyć jakiś bieg, żeby samochód ruszył, zderzył się z czymś i zatrzymał; silnik zgasłby na pewno. Ale jak to zrobić? Był tylko jeden sposób: musiał upaść całym ciałem na dźwignię zmiany biegów. Rozpaczliwie zaczął pracować brodą, aby odpychając się nią od poprzeczki kierownicy przerzucić głowę poza nieprzydatne teraz lewe przedramię, ułożone na kierownicy.

Mijały sekundy i w umyśle Saracena pojawiła się dręcząca myśl, że jego wysiłek skazany jest na niepowodzenie. A przy tym prawdopodobieństwo, że padając bezwładnie na dźwignię spowoduje włączenie się biegu, było minimalne. Najprawdopodobniej wkrótce umrze. Wiedział o tym, ale nie zamierzał poddać się bez walki. Udało mu się zepchnąć lewą rękę z koła kierownicy. Opadła bezwładnie i chwiała się w odległości kilku centymetrów od dźwigni zmiany biegów. W chwilę później w podobny sposób przeniósł głowę poza obrzeże kierownicy i nagle poczuł, że zsuwa się, pada twarzą do przodu.

Upadek skończył się równie szybko, jak boleśnie – uderzeniem czołem o tablicę przyrządów. Jak na ironię, w nowej pozycji oczy miał skierowane prosto na uchwyt dźwigni biegów; tam, gdzie zamierzał upaść. Czuł, że osiągnął granicę, za którą była już tylko rozpacz i rezygnacja. Jednocześnie miał wrażenie, że ból głowy słabnie, a graniczący z rozpaczą strach jakby rozprasza się, oddala. Gdzieś na horyzoncie świadomości pojawiła się obietnica ciepła, spokoju...

Saracen rozpoznał objawy zatrucia tlenkiem węgla i na nowo ogarnęła go panika. Strach

przed śmiercią podziałał nań niczym wstrząs elektryczny, który pobudził mięśnie szyi, umożliwiając nieznaczne przekręcenie głowy. W polu widzenia Saracena, tuż pod jego ustami, pojawił się uchwyt ciężła ssania.

Ssanie! Cholerne ssanie! Czemu nie wpadł na to wcześniej?! Gdyby zdołał je włączyć, to przy rozgrzanym silniku byłaby ogromna szansa, zalania silnika.

Opuścił dolną szczękę i operując nią osiągnął tyle, że uchwyt ssania znalazł się między jego zębami. Potem posługując się brodą jak dźwignią zaczął odpychać głowę od tablicy przyrządów. Górne zęby milimetr po milimetrze wyciągały uchwyt. Skończył i półprzytomny ze zmęczenia osunął się na podłogę. Nie był pewny, czy wyciągnął ssanie do końca, ale nic więcej nie mógł zrobić; powoli pograżał się w mroku. Usłyszał jeszcze, że silnik krztusi się i przerywa... po chwili Saracen stracił przytomność.

Ocucił go potworny, bolesny skurcz, rozdzierający mięśnie obu nóg. Nie mógł nimi poruszyć, bo nadal nie panował nad własnym ciałem. Ręce miał również bezwładne i nie mógł nawet marzyć o zmianie pozycji. Leżał więc w trudnej do opisanego pozycji, na podłodze przed fotelem kierowcy, z obolałym, otartym do krwi policzkiem przyciśniętym do zabłoconego dywanika. Uwierające w policzek kamyki były nie mniej dokuczliwe niż skurcz łydek, w dodatku zapach gumowego dywanika wywoływał mdłości. Żył jednak. Wiedział, że przeżyje. Silnik samochodu milczał.

Skurcze łydek nasiliły się bardzo. Pot zalewał twarz Saracena; spływał do oczu, na okaleczony policzek. Zagryzł wargi, na próżno starając się zapanować nad bólem. Poczł mrowienie w szyi i w ramionach – znak, że górna część ciała uwalnia się spod paraliżującego wpływu miorelaksantu. Przyciskając czoło do podłogi i skręcając ramiona, zdołał poprawić swoją pozycję. Widział teraz nad sobą czerwone światelko, jarzące się na tablicy przyrządów. A więc zapłon ciągle jest włączony. Trochę niżej dostrzegł zarys uchwytu ciężła ssania, wysuniętego z deski rozdzielczej na mniej więcej dwa centymetry; dwa centymetry, które ocaliły mu życie.

Stopniowo odzyskiwał władzę w kończynach. Po kilku minutach mógł już ruszyć lewą ręką, wkrótce potem prawą. Z trudem dźwignął się, usiadł na fotelu i niezręcznie otworzył drzwi. Nie czując zacinającego deszczu wciągał w płuca chłodne, nocne powietrze. Przewyciężając słabość rąk próbował rozmasować sobie nogi, a następnie trzymając się górnej krawędzi drzwi wyszedł z wozu i wyciągnąwszy ręce nad głowę położył się piersiami na mokrym dachu. Myślał jak cudownie pachnie trawa, jak wspaniałe jest nocne powietrze. Spojrzał nawet w górę, w nadziei ujżenia gwiazd i wtedy dopiero poczuł, że pada deszcz; niebo przesłaniały gęste chmury.

W słabym blasku lampki oświetlającej wnętrze samochodu, Saracen spostrzegł plastikowy wąż, rozciągnięty na ziemi od wylotu tłumika do uchylonego okienka w drzwiach. I mimo, że nadal ledwo trzymał się na nogach poczuł, jak na widok tego przedmiotu ogarnia

go niepoohamowana złość. Oparł się rękoma o pokrywę bagażnika i kilkoma kopnięciami wyrwał tę przeklętą kiskę z rury wydechowej.

Od wysiłku poczuł ból w piersiach. Usiadł za kierownicą i nie zamykając drzwi oddychał głęboko. Przypomnił sobie Wylie'ego i ponownie wezbrał w nim gniew. Rozkaszłał się i jednocześnie zaczął kląć na głos, ale to nie przynosiło mu żadnej ulgi, ani w gniewie, ani w kaszlu. Dopiero kiedy wysiadł z wozu i pospacerował wokół przez kilka minut, kaszel minął, i Saracen zaczął myśleć spokojniej.

Zastanawiał się, w jaki sposób Wylie wrócił do miasta. Musiał iść pieszo, albo złapać jakiś autobus. Ale nie, nie mógł ryzykować, że ktoś zobaczy go w okolicy. A swoją drogą, co to za okolica? Musiał przyznać, że nie ma zielonego pojęcia, gdzie się znajduje. Wiedział tylko tyle, że w odległości około piętnastu minut drogi samochodem od Zakładu Patologii. Ale w jakim kierunku?

Przypominając sobie jazdę z Wylie'em doszedł do wniosku, że skoro skręcili z głównej drogi w lewo, to jeśli się teraz cofnie i skręci w prawo, odnajdzie właściwy kierunek. Może nawet dogoni Wylie'ego. Spojrzał na zegarek. Była jedenasta piętnaście. Niewiele mu to dało, bo nie wiedział o której przyjechali w to miejsce i jak długo pozostawał nieprzytomny.

Uruchomił silnik i nie zważając na deszcz opuścił szybę w drzwiach po swojej stronie. Świeże powietrze, oto czego potrzebował. Nie bez trudu wyprowadził samochód spod drzew, zawrócił i ruszył w drogę powrotną. Zaklął raz i drugi, kiedy przednie koła wpadły w dół zalany wodą deszczową. Wreszcie dotarł do asfaltu.

Po paru minutach dojrzał tablicę drogową, z której dowiedział się, że od Skelmore dzieli go jednaście kilometrów i że jedzie we właściwym kierunku. A więc Wylie wybrał starą drogę do Atherton, która była wprawdzie szosą klasy A, lecz stosunkowo mało uczęszczaną z powodu przebiegającej w sąsiedztwie nowo otwartej autostrady. Myśl o dogonieniu Wylie'ego opanowała Saracena do tego stopnia, że o niczym innym nie potrafił myśleć. Jego wzrok pilnie śledził oświetlone reflektorami pobocze, penetrował przydrożne zarośla w poszukiwaniu sylwetki pieszego. Pokonał dość ostry zakręt i spostrzegł ustawiony na szosie policyjny znak ostrzegawczy. W pewnej odległości za nim widniały dwa następne, z napisami: ZWOLNIĆ! WYPADEK DROGOWY.

Saracen zwolnił i posuwając się w żółtym tempie dotarł do miejsca wypadku. Policjant w ubraniu z odblaskowymi naszywkami zamachał w jego stronę latarką na długim uchwycie.

– Miał miejsce wypadek, proszę pana – powiedział, zaglądając przez otwarte okno wozu.

W Saracenie odezwał się lekarz.

– Jestem lekarzem. Czy mogę w czymś pomóc? – spytał.

Policjant obrzucił go przeciągłym, nieco zdziwionym spojrzeniem. Saracen domyślił się, że chodzi o jego wygląd. Mokra włosy, mokra twarz, prawdopodobnie brudna, ze śladami zakrzepłej krwi na obtartym policzku.

– Żeby pomóc temu biedakowi, musiałby pan być Chrystusem. Wpakował się pod

samochód. Ale może rzuciłby pan okiem na kierowcę. To starszy człowiek i chyba nie czuje się najlepiej.

Saracen wysiadł z samochodu, czując na sobie podejrzliwy wzrok policjanta.

– Pan też po jakimś wypadku, co?

Saracen spodziewał się tego pytania.

– Złapałem gumę – wyjaśnił. – Musiałem zmienić koło w tym cholernym deszczu. Klucz zeskokczył z nakrętki i rąbnąłem twarzą w błotnik.

– Tak to już jest, proszę pana – zaśmiał się policjant. – W słoneczny dzień nic się człowiekowi nie przytrafi.

Saracen spostrzegł leżące na skraju szosy, okryte brezentową płachtą zwłoki ofiary wypadku. Obok stało dwóch policjantów czekających na ambulans. Jeden z nich przytupywał dla rozgrzewki i zabijał ręce o boki. Widocznie chłód nocy i deszcz dały mu się we znaki. Saracen przeszedł jezdnię i zbliżył się do nich. Słyszał jak krople deszczu z głośnym szmerem uderzają o plastikowe peleryny. Pochylił się, podniósł róg brezentu i spojrzał w nieruchome, otwarte oczy Wylie'ego.

– Ty stary draniu – szepnął.

– Czy to znaczy, że zna pan tego człowieka? – spytał jeden z policjantów.

Saracen milczał przez chwilę, wreszcie odpowiedział bezbarwnym głosem.

– Znam go. To doktor Cyril Wylie, patolog ze Szpitala Okręgowego.

– Tak mi się zdawało, że to jakaś znajoma twarz – zwrócił się policjant do swojego kolegi. – Musiałem go widzieć w sądzie.

Saracen odsunął płachtę nieco dalej i stwierdził, że klatka piersiowa Wylie'ego jest dosłownie zmiażdżona. Prawdopodobnie przejechało po nim i przedniej tylne koło samochodu. Zakrył ciało i wyprostował się.

– Czy doktor Wylie był pana przyjacielem? – spytał policjant który zatrzymał Saracena. Wydawało się, że jest zaskoczony zachowaniem lekarza.

– Nie – odpowiedział Saracen. Nie mógł odwrócić oczu od leżącego na ziemi kształtu.

– A może wie pan przypadkiem, co doktor Wylie robił tutaj w taką noc?

– Pewnie popsuł mu się samochód – podsunął Saracen.

– Myśli pan, że złapał gumę?

Saracen uchwycił w głosie policjanta ton sceptycyzmu co do prawdziwości jego własnej relacji. Obudziła się w nim czujność.

– Możliwe – odpowiedział krótko.

– Już zawiadomiliśmy wszystkie patrole, żeby szukały jego samochodu – powiedział jeden z policjantów. Ale ten przepytujący Saracena uparcie podążał swoim tropem.

– Kierowca wozu, który go przejechał, oświadczył, że doktor Wylie zataczał się, jakby był pijany albo poszkodowany w bójce, czy coś w tym rodzaju.

A więc o to chodzi, pomyślał Saracen. Nasz Sherlock Holmes doszedł do wniosku, że ja i

Wylie pobiliśmy się i stąd taki stan mojego ubrania i ślady na twarzy.

– Wiedziano powszechnie – odpowiedział obojętnym tonem – że doktor Wylie ma problemy z alkoholem. Miał wkrótce przejść na emeryturę.

– Rozumiem. Sądę, że sekcja zwłok wszystko wyjaśni.

Sekcja zwłok? – pomyślał Saracen. Jeszcze raz opuścił wzrok na Wylie'ego.

– Finał tej historii – rzekł cicho – jest znacznie dziwniejszy niż przypuszczałeś, stary.

– Co takiego, sir?

– Nic.

Saracen zrobił co mógł, żeby uspokoić kierowcę i wstrząśniętych pasażerów samochodu, a kiedy nadjechał ambulans, ruszył w swoją drogę do Skelmore. Dopiero teraz dotarli do jego świadomości wszystkie implikacje śmierci Wylie'ego. Nie było to pocieszające. Wszelkie szansę zdemaskowania Gartena przepadły. Zniknęła, między innymi, możliwość podważenia prawdziwości protokołów sekcji zwłok Myry Archer i Leonarda Cohena. Znalazł się znów w punkcie wyjścia.

Spojrzał na zegarek; piętnaście minut po północy. Był zbyt przybity, by zastanawiać się, czy to odpowiednia pora na wizytę. Skręcił w ulicę przy której mieszkała Jill.

– Myślałam, że zmieniłeś zdanie – powiedziała Jill, otwierając ostrożnie drzwi. – Dobry Boże! Co się stało? – dodała rzuciwszy okiem na twarz Saracena.

– To długa historia. Mogę się wpierw doprowadzić do porządku?

Jill skończyła przemywać obtarcia na policzku Saracena.

– Zamieniam się w słuch – powiedziała.

Saracen opisał jej, co zaszło tej nocy. Oczy Jill rozszerzyły się ze zdumienia i przerażenia.

– To niesłychane! – zawołała stłumionym głosem.

– Ale prawdziwe – dodał Saracen.

– Skoro jednak Wylie nie żyje, to chyba znaczy, że...

– Że nie mam teraz nic na Gartena – dokończył Saracen.

Jill przyrządziła dwie whisky i podała jedną Saracenowi. Przykucnęła u jego stóp naprzeciw kominka.

– A co ze świadectwem zgonu? – spytała.

– Garten ma protokół autopsji, której nie da się już podważyć. Ma pełne prawo podpisać go. Tak samo jak świadectwo zgonu.

– Rzeczywiście, zapomniałam o tym. A co z ciałem Cohena?

– Zostało przekazane do kremacji, która miała się odbyć dziś rano. Tak powiedział Garten.

– Wierzysz mu?

Saracen przyznał, że nie zastanawiał się nad prawdziwością oświadczenia Gartena.

– Mógł skłamać, żeby powstrzymać cię od dalszych poszukiwań – odpowiedziała Jill.

- Wiesz, to jest myśl!
- Mógłbyś to sprawdzić?

Saracen zastanowił się przez chwilę.

– Mogę pójść do krematorium i sprawdzić w rejestrze. Najlepiej z samego rana. Nie mam nic innego do roboty – pogłaskała pieszczotliwie Jill, dziękując za pomysł.

- Czy musisz iść do domu?
- Nie – powiedział z łagodnym uśmiechem.

Deszcz padał przez całą noc. Nie przestał nawet wówczas, kiedy Saracen opuścił mieszkanie Jill i udał się do Krematorium Komunalnego w Skelmore. Deszcz, a ściślej ulewa, trwała już tak długo, że niektóre kanały burzowe nie nadążały odprowadzać takiej ilości wody. W rezultacie kilka ulic znalazło się pod wodą. Najgorszy był odcinek w bezpośrednim sąsiedztwie krematorium, gdzie ulica opadała w zagłębienie terenu, a dalej wznosiła się dość stromo na zbocze wzgórza, ku czarnej, żelaznej bramie w granitowym murze otaczającym zakład.

Opuszczał go właśnie kondukt pogrzebowy, złożony z kilkunastu samochodów. Saracen musiał czekać, aż pojazdy przebrną ostrożnie przez rozlewisko. Kiedy pierwsze samochody dotarły do bramy, silnik jednego z karawanów zgasł. Kierowcy jadących za nim trzech czarnych limuzyn wysiedli i pośpieszyli z pomocą. Nie zdołali jednak uruchomić silnika i musieli pchnąć nieszczęsny pojazd aż pod wejście do kaplicy. Saracen obojętnie przyglądał się tej żalostnej scenie przez kiwające się przed nim wycieraczki.

Nie miał pojęcia, jak dobrać się do rejestru krematorium; pozostało mu tylko improwizować. Zaparkował wóz dość daleko od samochodów uczestników pogrzebu, odczekał aż wszyscy znikną za lśniącymi, drewnianymi drzwiami kaplicy, wysiadł i ruszył ku budynkowi z tabliczką „Administracja”. Zapukał w matową szybę w drzwiach i natychmiast wszedł, uciekając przed deszczem.

Siedząca przy maszynie do pisania kobieta w średnim wieku podniosła wzrok i powiedziała:

– Kaplica jest po drugiej stronie podwórza, na lewo. – Informację tę okrasila czymś w rodzaju skąpego uśmiechu, jakim ludzie zza biurka częstują „zwykłych interesantów”.

Saracen strząsnął wodę z włosów.

– Dziękuję pani. Nie szukam kaplicy. Chciałbym spytać o kremację niejakiego Leonarda Cohena.

Kobieta natychmiast przyjęła postawę obronną.

- Wszystkie nasze akta są poufne – oświadczyła z pewną siebie wyższością.
- Dlaczego? – spytał Saracen.

Kobieta uznała to pytanie niemal za osobistą obrazę.

- Po prostu są poufne i to wszystko – odparła ostro, wyraźnie oburzona impertynencją

petenta.

Saracen odetchnął głęboko.

– Chciałbym się tylko dowiedzieć czy wczoraj rano poddano kremacji zwłoki Leonarda Cohena. Co w tym może być poufnego?

– Nie jestem upoważniona do udzielania jakichkolwiek informacji – z surową godnością wyrecytowała urzędniczka.

– Czy mogę w takim razie widzieć się z kierownikiem?

– Czy był pan umówiony?

– Oczywiście, do jasnej... Nie, nie byłem umówiony.

Kobieta podniosła słuchawkę jednego z telefonów i nacisnęła guzik. Saracen spojrzął na drugi aparat i pomyślał, że to pewnie bezpośrednia linia do Waszyngtonu.

– Pan Posselthwaite? Jest tu jakiś mężczyzna, który interesuje się naszymi kartotekami. Powiedziałam, że są poufne, ale to mu nie wystarcza. Tak, proszę pana, dziękuję.

Odłożyła słuchawkę i zwróciła się do Saracena.

– Zaraz przyjdzie pan Posselthwaite – oznajmiła tonem, który miał prawdopodobnie przerazić Saracena.

Drzwi za fotelem kobiety otworzyły się i ukazał się w nich niski, korpulentny człowieczek w garniturze w prążki.

– Słucham, panno Bottomley, o co chodzi?

– To ten człowiek, proszę pana – złowieszczo-triumfalnym tonem oznajmiła panna Bottomley.

Mały człowieczek udał, że dopiero teraz zauważył Saracena.

– Czym mogę panu służyć?

Saracen odgadł w Posselthwaicie typowego, lichego urzędniczyńę, obdarzonego poczuciem własnej wartości graniczącym z megalomanią. Starał się jednak zachować pozory i grzecznie wyjaśnił, o co mu chodzi.

– Jest pan krewnym?

– Nie, nie jestem.

– To w takim razie, czy mogę spytać...

– Ciało Leonarda Cohena przed dwoma dniami przewieziono ze Szpitala Ogólnego do przedsiębiorstwa pogrzebowego Maurice'a Dolmana. Wiem, że następnie trafiło tutaj i miało zostać poddane kremacji. Chciałbym ustalić, czy już przeprowadzono kremację. Jeśli nie, chciałbym zobaczyć ciało.

– Zobaczyć ciało? – powtórzył Posselthwaite. Na jego twarzy rysowała się wyraźna dezaprobata, wywołana samym wyglądem Saracena: wymięte džinsy, skórzana kurtka... Potarł podbródek udając głębokie zamyślenie. Saracen już wiedział, że szuka nowej przeszkody.

– Myślę – odezwał się wreszcie Posselthwaite – że powinienem zobaczyć jakiś urzędowy

dowód tożsamości...

Cierpliwość Saracena dobiegła kresu.

– Dowód tożsamości? Po co? Chcę tylko wiedzieć czy spaliliście wczoraj ciało niejakiego Leonarda Cohena. W czym pan dostrzega problem? Wystarczy powiedzieć TAK albo NIE!

– Coś takiego! – oburzył się Posselthwaite. – Jeszcze nikt nie odezwał się do mnie w ten sposób! Za kogo pan mnie uważa?!

– Tego na pewno nie chciałby pan wiedzieć – odparł Saracen. – Lepiej zapomnijmy o całej sprawie.

Wszystkie niedopowiedzenia ostatnich dwudziestu czterech godzin załąły Saracena falą goryczy. Szedł do samochodu z głową pochyloną przeciw wiatrowi, który siekł go deszczem w oczy z bezlitosną dokładnością. Chociaż przyczyn tego stanu ducha było wiele, bezpośrednim obiektem wściekłości Saracena stał się Posselthwaite.

– Durny człowieczek – mruczał siedząc za kierownicą i patrząc przez szybę na chłostaną deszczem kaplicę. Zauważył, że za kaplicą znajdują się krótkie schodki, prowadzące w dół, do niewielkiego budynku. Stojący obok wysoki komin pozwalał przypuszczać, że jest to właściwe krematorium. Widok ten nasunął Saracenowi pewną myśl.

Wyszedł z samochodu, przebiegł kilkanaście kroków przez podwórze i kilka stopni w dół, do drzwi opatrzonych napisem: WSTĘP WZBRONIONY. Wszedł do środka. Znalazł się w wąskim, pozbawionym okien pomieszczeniu. Dwaj mężczyźni uzbrojeni w długie, metalowe grace wygarniali popiół z pieca. Jeden z nich obrócił się, zdziwiony widokiem wchodzącego Saracena.

– Czego pan tu szukasz? – spytał.

Saracen sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki, wyjął portfel i odliczył dwa pięćofuntowe banknoty.

– Chcę tylko odpowiedzi na jedno proste pytanie – powiedział podnosząc dłoń z banknotami.

– Aha, znowu jeden z tych skubanych reporterów! – odezwał się agresywnym tonem niższy mężczyzna. – Nie wiemy nic o żadnych kantach. Wszystkie trumny są palone. Zrozumiano? Wszystkie! A teraz wynocha!

Jego towarzysz uspokajająco położył mu rękę na ramieniu.

– Wolnego, George. Przecież gość o nic nas jeszcze nie spytał – powiedział i spojrzał na Saracena.

– Czy spaliliście wczoraj zwłoki niejakiego Leonarda Cohena. Tylko tyle chcę wiedzieć.

Mężczyźni popatrzyli na siebie.

– Nic więcej? – spytał jeden z nich.

– Nic więcej – potwierdził Saracen.

– To ten od Dolmana, co to nie miał żadnych krewnych?

– Ten.

– Tak. Spaliliśmy.

Saracen wręczył im pieniądze i wyszedł. Na szczycie schodów zetknął się oko w oko z Posselthwaitem. Na twarzy małego człowieczka widniał grymas gniewu, z czym wyglądał jeszcze zabawniej. Ręce trzymał głęboko w kieszeniach przydługiego płaszcza nieprzemakalnego, szkła jego okularów zrosiły krople deszczu.

– Za dużo pan sobie pozwala! Co pan sobie wyobraża? – pieklił się. Dosłownie trząśnięty z wściekłości.

Saracen – zły, przygnębiony, a teraz jeszcze zawiedziony w swoich rachubach – minął go bez słowa.

– Jeszcze z panem nie skończyłem! – krzyczał Posselthwaite.

Saracen wszedł do samochodu i odjechał.

8.

Żałuję, że w ogóle wyskoczyłam z tym pomysłem – powiedziała Jill po wysłuchaniu relacji Saracena z wyprawy do krematorium.

– Pomysł był bardzo dobry. A że wyszło tak, a nie inaczej, to nie twoja wina – pocieszał ją Saracen.

– Nie znoszę takiego wypytywania – zaczęła niepewnie Jill – ale co teraz masz zamiar zrobić?

– Teoria jest prosta. Skoro nie mogę zobaczyć ciała Leonarda Cohena, muszę zobaczyć Myrę Archer.

Jill zrobiła wielkie oczy.

– Przecież ona na pewno została oddana do kremacji długo przed Cohenem!

Saracen pokręcił głową.

– Nie. Garten miał zamiar to zrobić, ale zjawił się mąż Myry Archer i stanowczo zażądał aby została pochowana. No i pogrzebano ją na cmentarzu przy kościele św. Klemensa.

– Ale czy zdobędziesz nakaz ekshumacji? – spytała Jill, a ton jej głosu wskazywał, że sama zna odpowiedź na to pytanie.

Saracen uśmiechnął się krzywo.

– Powiedziałem, że teoria jest prosta.

– Musi istnieć jakiś inny sposób zdemaskowania Gartena.

– Jeśli nawet, to ja nie potrafię go znaleźć – odpowiedział Saracen. – Na mój rozum, jedyny słaby punkt w zbroi Gartena leży na głębokości półtora metra na cmentarzu św. Klemensa; jest to ciało, które nie zostało poddane autopsji; ciało, będące kluczem do całej tej afery.

– Ale jeśli nie możesz uzyskać nakazu ekshumacji, to nie widzę sposobu...

– Jest pewien sposób – przerwał jej Saracen.

Jill spojrzała na niego zaskoczona.

– Chyba nie myślisz o...?

– Jak najbardziej.

Zaniemówiła na moment, a potem z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Nie wolno ci tego zrobić! – wykrzyknęła. – Co to za koszmarny pomysł! Takie rzeczy działały się w czasach Burke’a i Hare’a, ale nie dziś!

Saracen odczekał, aż Jill trochę się uspokoi.

– Spójrz na to z mojego punktu widzenia. Jeśli nie znajdę czegoś przeciw Gartenowi, on gotów wykręcić się gładko z tego szalbierstwa, a ja już nigdy nie będę mógł pracować w swoim zawodzie. Muszę udowodnić, że sekcja zwłok Myry Archer nigdy nie została przeprowadzona. Muszę. Rozumiesz?

Jill jednak ciągle nie mogła się pogodzić z projektem Saracena, chociaż rozumiała, przed jak trudnym stoi wyborem.

– A co zrobisz – spytała – kiedy już otworzysz grób? Wezwiesz policję?

– Nie. Wezwę Petera Clyde’a z Zakładu Patologii. Mam przy sobie kopię świadectwa zgonu i fałszywego protokołu sekcji zwłok. Pokażę mu te papiery i ciało. On, jako główny ekspert sądowy w naszym okręgu będzie mógł wystawić zgodną z prawem decyzję o ekshumacji.

Jill skinęła milcząco głową.

– Kiedy – spytała cicho.

– Jak najprędzej. Te ostatnie deszcze rozmiękczyły ziemię, więc nie ma na co czekać.

– Ja... Obawiam się, że nie mogę zaproponować ci swojej pomocy.

– Oczywiście, że nie – uspokoił ją Saracen. – Sam to zrobię.

Zjedli razem lunch, po czym Saracen odwiózł Jill do szpitala; o drugiej zaczynała dyżur. Ze szpitala pojechał pod kościół św. Klemensa i zaparkował wóz w brukowanym „kocimi łbami” zaułku na tyłach świątyni. Zamierzał zorientować się, gdzie leży grób Myry Archer i dostosować swój plan do lokalnej sytuacji.

Wszedł na cmentarz przez małą, plecioną z wikliny furtkę, znajdującą się w odległości około pięćdziesięciu metrów na zachód od głównego wejścia do kościoła, obsadzonego po obu stronach jałowcami.

Szedł powoli przez najstarszą część cmentarza, wśród porośniętych mchem kamiennych płyt i pokrytych rdzą masywnych ogrodzeń strzegących doczesnych szczątków zmarłych przed intruzami późniejszych wieków. Z ulgą zauważył, że teren nowszych pochówków rozciągał się na tyłach kościoła, był więc niewidoczny z ulicy. Grób Myry Archer znajdował się w pobliżu małego, sosnowego zagajnika. Tymczasem kamień nagrobny informował krótko: Myra Archer. Przed nim, w niedużym, szklanym słoiku ktoś umieścił kilka wiosennych kwiatów. Słoik był niski i szeroki, toteż kwiatki sterczały zeń niemal poziomo.

Rozejrzał się dokoła, żeby ustalić punkty orientacyjne, które ułatwią mu odszukanie mogiły nocą. Postanowił zaparkować w tym samym miejscu. Stamtąd mógł przedostać się

przez murek, a idąc między drzewami dotrzeć do grobu bez zbędnego chodzenia po cmentarzu.

Tuż za ostatnimi sosnami stała drewniana szopa. Upewniwszy się, że w pobliżu nie ma nikogo Saracen zajrzał do środka. Zauważył trzy łopaty, płachtę brezentową, deski różnych rozmiarów i sznury. Magazynek grabarzy. Dzięki temu odkryciu nie musi brać ze sobą własnej łopaty.

Były takie momenty w ciągu popołudnia i wczesnym wieczorem, kiedy Saracen sam nie wierzył, że naprawdę zamierza zrobić to, co sobie zaplanował. Wątpliwości mijały i powracały z rosnącą częstotliwością. Ulgę przyniosła dopiero noc i koniec oczekiwań.

Tak jak się spodziewał, zaułek na tyłach kościoła był i tym razem pusty. Zaparkował na wybetonowanym podjeździe przed kompleksem od dawna nie używanych garaży. Uznał, że samochód stojący w takim miejscu nie wzbudzi niczyjzego zainteresowania. Idąc zaułkiem ciągle wydawało mu się, że ktoś go obserwuje. Kilkakrotnie, pod różnymi pretekstami rozglądał się wkoło, ale niczego nie dostrzegł. Źródłem tego niesamowitego wrażenia musiało być poczucie winy.

Górna krawędź cmentarnego muru była mokra i porośnięta mchem. Przewijając się przez zaokrągloną koronę muru czuł wyraźnie zapach tej zielonej wilgotności. Opadł po drugiej stronie i na chwilę pozostał w głębokim przysiadzie, nasłuchując pilnie. Było jednak zupełnie cicho. Już zamierzał się wyprostować, kiedy jego uwagę zwrócił jakiś cień na krawędzi muru. Znieruchomiał, a stalowe szpony strachu ścisnęły mu żołądek. Wyteżył wzrok, by z ulgą stwierdzić, że to tylko kot. Siedział teraz na murze, spoglądając nań jarzącymi się zielono oczyma. Zaklął pod nosem, podniósł się i ruszył w kierunku kępy sosenek, aby pod ich osłoną przekraść się do szopy grabarzy.

Otworzył drzwi, zamknięte tylko na zardzewiały skobel i ze sterty rupieci wybrał potrzebne mu przedmioty: łopatę, dwa drewniane klocki i brezentową płachtę. Zamknął szopę i rozłożył brezent na ziemi. Oprócz tego, co pożyczył od grabarzy, miał jeszcze latarkę, śrubokręt i łyżkę do opon. Złożył wszystko na płachcie i powlókł ją za sobą jak sanki. Zimny wiatr chłodził mu twarz, szeleścił w koronach sosen; rozpraszał cmentarną ciszę i przez to działał uspokajająco.

Tak jak przewidywał, ziemia była miękka i przy kopaniu nie stawiała zbyt wielkiego oporu. Bez trudu usunął wierzchnią warstwę darni. Kopiąc głębiej, odkładał wybraną ziemię na brezent, klnąc od czasu do czasu, kiedy wilgotne, gliniaste bryły przywierały zbyt mocno do łopaty, zmuszając go do energicznego potrząśnięcia narzędziem, aż do bólu w krzyżu. Po dwudziestu minutach przerwał kopanie – łopata uderzyła o drewno. Dotarł do trumny.

Wszystkie wyrzuty sumienia, skrupuły i moralne wątpliwości, które dokuczały mu przed przystąpieniem do działania, odżyły z taką siłą, że czoło Saracena pokrył zimny pot. „Co robisz?! To profanacja!” – krzyczało sumienie. Ale nie było już odwrotu. Zgarnął ziemię z

wieka trumny i oświetlił latarką mosiężną tabliczkę: „Myra Archer, RIP”. – *RIP – requiescat in pace... In pace...in pace* – powtarzało sumienie w rytmie pulsującego w skroniach tętna. Saracen odkręcił śruby mocujące wieko. Przy ostatniej – ręce drżały mu już tak wyraźnie, że ledwo udało mu się trafić wydobytą śrubą do kieszeni kurtki, gdzie umieścił poprzednie. Odczekał chwilę, żeby przygotować się na widok, jaki czekał go po otwarciu wieka trumny. Podważył je łyżką do opon i podniósł.

Całe poczucie winy, skrucha i obawy przed groźną, oskarżycielską ręką losu zniknęły w jednej chwili. Zawartość trumny stanowiły cztery worki z piaskiem, nic więcej. Saracen patrzył oniemiały na brudne, jutowe worki, z trudem zmuszając się do logicznego myślenia. Czyżby Garten go uprzedził? Nie, w żadnym wypadku! Istniały jednak inne możliwości. Przede wszystkim ta, że ciała Myry Archer nigdy tu nie było! Pojawiło się zatem pytanie: czy pusty grób wystarczy, czy nie, żeby przygwoździć Gartena i wyciągnąć na jaw jego machinacje. Tego Saracen nie mógł być pewny. Niewątpliwie wystarczy, żeby zapoczątkować oficjalne dochodzenie. Ale dokąd ono zaprowadzi? Na to pytanie nie umiał odpowiedzieć.

Niepokoilo go własne niezdecydowanie; brak sensownego planu dalszego postępowania. Jedyne, co przychodziło mu do głowy, to poszukać świadka swojego odkrycia. Najprościej było zadzwonić do Jill i poprosić o przybycie na cmentarz. Zostawił wszystko w nie zmienionym stanie, przelazł przez mur i ruszył zaułkiem w stronę budki telefonicznej, którą zauważył już wcześniej. Puścił się biegiem, zwalniając do normalnego kroku, kiedy znalazł się blisko skrzyżowania z główną ulicą. Za nic nie chciałby teraz zwracać na siebie uwagi. Zdawało mu się, że czeka wieki całe, zanim w słuchawce umilkł sygnał wywoławczy, a pojawił się głos Jill.

– Już po wszystkim? – spytała, zanim Saracen zdążył się odezwać.

– Nie. Jesteś mi tutaj potrzebna.

– James, ja... chyba nie dam rady.

– To nic takiego. Trumna jest pusta. Potrzebuję świadka, to wszystko.

– Powiedziałeś: pusta?

– Tak. Nie ma zbyt wiele czasu. Mogłabyś przyjechać zaraz?

– W tej chwili jest tu Claire Tremaine. Zaprosiłam ją kiedyś, więc przyszła.

Saracen zaklął cicho.

– Przyjedziemy obie. Ona wie o całej tej sprawie i o sytuacji w szpitalu. Brat jej o tym powiedział.

Saracen zastanawiał się przez chwilę. Zrozumiał, że nie ma wyboru.

– W porządku. Przyjeżdżajcie, ale szybko.

Po dziesięciu minutach obie dziewczyny pojawiły się w zaułku. Samochód prowadziła Claire. Zaparkowała swoje zielone metro obok wozu Saracena, przed nieczynnymi garażami. Zauważył, że Jill jest podenerwowana, natomiast Claire promieniowała zwykłą pewnością

siebie. Podbiegły do niego. Pomógł im przedostać się przez mur i poprowadził między sosenkami do otwartego grobu.

Kiedy skierował światło latarki na wnętrze trumny Jill skinęła tylko głową. Claire uśmiechnęła się i stwierdziła:

– No tak. Nie ma najmniejszej wątpliwości.

– Chciałem tylko, żebyście to zobaczyły – powiedział Saracen. – Możecie już wracać.

Ku zaskoczeniu Saracena, Jill odmówiła.

– Zaczekamy na ciebie. Czy nie mogłybyśmy w czymś pomóc? – zapytała.

Claire spojrzała na nią.

– Świetny pomysł! Lubię takie horrorki. Czuję się, jakbym uczestniczyła w jakimś rytuale czarnej magii. – Dla zlustrowania swojej gotowości odtńczyła kilka *pas* nad krawędzią odkopanej mogiły. Jill była wyraźnie zmieszana, a Saracen poirytowany.

Zszedł do dołu i umocował wieko na właściwym miejscu. Potem zaczął zasypywać dół.

– Czy nie powinien pan wezwać policji, czy coś w tym rodzaju? – spytała Claire.

– Wpierw spotkam się z Gartenem – odparł Saracen. – To pozwoli uniknąć wielu kłopotliwych formalności.

– Nadjeżdża jakiś samochód – szepnęła Jill, kiedy światła reflektorów rozjaśniły zaułek, mur i dolne gałęzie sosen. Cała trójka kucnęła i zamarła w bezruchu. Samochód przejeżdżał powoli, z cichym pomrukiem silnika.

– Odjechali – szepnęła Claire.

– Nie – Jill podniosła ostrzegawczo dłoń. – Zatrzymali się.

Saracen przymknął oczy i zaklął.

– Zaraz się przekonam – szepnęła Claire i ruszyła w stronę muru, zanim którekolwiek z pozostałej dwójki zdążyło zaprotestować. Po chwili była już z powrotem.

– To policja – szepnęła. – Zatrzymali się obok naszych wozów.

– Niedługo zaczną nas szukać – powiedział cicho Saracen.

Przez chwilę milczeli.

– Zostawcie to mnie – odezwała się wreszcie Claire.

Wstała, przebiegła kilkanaście metrów i przez furtkę wyszła z cmentarza na uliczkę. Za kilka sekund, po drugiej stronie muru, dał się słyszeć jej głos.

– Dobry wieczór, sierżancie. Czy coś nie w porządku?

Odpowiedź policjanta była przytłumiona i niewyraźna. Saracen domyślił się, że Claire celowo mówi głośno, żeby on i Jill mogli się zorientować w sytuacji.

– Nie, sierżancie. Byłam w odwiedzinach u przyjaciół na Trinity Road. Zdawało mi się, że lepiej zaparkować tutaj, a nie na ruchliwej, głównej ulicy. Mam nadzieję, że nie zламаłam żadnych przepisów?

Oksfordzki akcent Claire i pełen uszanowania ton jej paplaniny nie mogły nie zrobić wrażenia na biednym policjancie. I znów Saracen i Jill nie słyszeli odpowiedzi.

– Ach, rozumiem! – wykrzyknęła Claire. – Dom towarowy! Przypuszczał pan, że chcieliśmy obrabować dom towarowy! – Wybuchnęła śmiechem. – No, nie. Aż tak źle nie jest.

Tym razem Saracen usłyszał jak policjant przyłączył się do wesołości Claire.

– Tak, ten wóz także. Po prostu musiałam wcześniej opuścić przyjęcie.

Ponownie dał się słyszeć śmiech, potem trzaśnięcie drzwiami. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Claire odjechała swoim metro, a wkrótce po niej ruszył samochód policyjny.

Saracen kończył zasypywanie dołu, Jill przyświecała mu latarką. Potem udeptał, jak mógł najlepiej ziemię i ułożył zdjętą uprzednio darń. Na płachcie brezentowej zostało trochę piasku. Ten rozsypał między drzewami zagajnika. Odstawił na miejsce pożyczone narzędzia i zaniknął drzwi szopy.

– W porządku – powiedział. – Chodźmy.

W drodze do samochodu Jill szepnęła:

– Ciągle nie rozumiem, dlaczego nie wezwałeś policji i nie pokazałeś im, że grób jest pusty.

– Gdybym musiał wyjaśniać im wszystko od początku i sprawa poszłaby oficjalnymi kanałami, trwałoby to nie wiem jak długo; niewykluczone, że kilka miesięcy. Jeśli natomiast doprowadzę do osobistej konfrontacji z Gartenem i powiem mu, że mam dwóch świadków, którzy widzieli pusty grób Myry Archer, wtedy zrozumie, że gra się skończyła i musi powiedzieć mi prawdę.

– Skoro tak mówisz... – Jill wcale nie była przekonana.

Przed domem Jill zastali Claire. Czekwała na nich, siedząc w samochodzie.

– Wszystko w porządku? – spytała.

– Dzięki pani – powiedział Saracen. Jill przytaknęła w milczeniu.

– Komuś drinka? – spytała, kiedy zamknęły się za nimi drzwi mieszkania.

Saracen i Claire bez wahania przyjęły propozycję.

– Czy mogę spytać, co ma pan zamiar powiedzieć temu Gartenowi?

– Opowiem mu, co odkryliśmy dzisiejszej nocy i zmuszę do wyjaśnienia całej tej afery.

– Gartenowi może się to nie spodobać – zauważyła Jill.

Milczenie Saracena znaczyło, że dla niego jest to oczywiste.

– Chodzi mi o to – wyjaśniła Jill – że jeśli go zanadto przestraszysz, to może się okazać niebezpieczne.

– Zależy jakiej wagi sekret kryje się za tym wszystkim – dodała Claire.

Saracen nie brał poważnie pod uwagę możliwości znalezienia się w fizycznym niebezpieczeństwie. Niemniej w tym, co mówiły Jill i Claire było sporo racji. Jeśli ujawnienie owego – jak to nazwała Claire – sekretu, groziło Gartenowi poważnymi kłopotami, kto wie, do czego gotów się posunąć. Działanie ludzi poddanych ekstremalnym naciskom bywa nieprzewidywalne. Widmo pijanego, zgorzkniałego Cyrila Wylie’ego, stojącego nad jego

sparaliżowanym ciałem pojawiło się na moment w wyobraźni Saracena. I obraz ten przejął go chłodem.

O wpół do dziesiątej rano Saracen zadzwonił do szpitala i dowiedział się od Tremaine'a, że Garten prawdopodobnie jest w domu, bo jego dyżur zaczyna się dopiero o drugiej po południu.

– Claire mówiła mi o minionej nocy – dodał Alan. – Życzę szczęścia.

Saracen odłożył słuchawkę i zamyślił się głęboko. Nie był pewien, czy powinien czekać do popołudnia. Mógł jeszcze złożyć Gartenowi niezapowiedzianą wizytę w domu. Postanowił nie czekać.

Gartenowie mieszkali w Croft Valley, luksusowej dzielnicy Skelmore. Każde miasto ma swoje Croft Valley, gdzie powodowani solidarnością i wspólnotą interesów bogaci i wpływowi obywatele zakładają swoje siedziby. Takie dzielnice mają na ogół nieoficjalne nazwy, nadawane im przez zwykłych mieszkańców. Skelmore nie było wyjątkiem i w piwiarniach oraz robotniczych barach Croft Valley znano pod nazwą Toffee-Town.*

Społeczność Croft Valley dzieliła się na „Forsiastych” i tych „Z klasą”. Mimo wszelkich usiłowań Matthew Glendale'a, służących wyniesieniu swojej córki do tej drugiej kategorii, Mildred Garten nie potrafiła uzyskać akceptacji elity towarzyskiej Skelmore. Ojciec Mildred tłumaczył z goryczą, że to przejaw ślepego uprzedzenia w stosunku do dziewczyny z porządnej, pracującej rodziny. Sama Mildred uważała, iż powodem była jej skromność i głęboka wrażliwość. Ludzie, według niej, po prostu jej nie rozumieli. W rzeczywistości rozumieli ją zbyt dobrze i dlatego nie mogli jej ścierpieć. Nie było człowieka, którego Mildred nie potrafiłaby zrazić do siebie. Wszyscy, od chłopaka roznoszącego mleko, do mera Skelmore, serdecznie jej nie znosili.

Saracen szedł zwirowaną ścieżką prowadzącą do drzwi siedziby Gartenów. Sam dom, typowy miejski dom z czerwonego piaskowca, sprawiał przyjemne wrażenie solidności i trwałości. Zdawał się wiedzieć, że ludzie przychodzą i odchodzą, a on będzie istniał zawsze. Saracen miał już zadzwonić, kiedy posłyszał głos Mildred. Gniewny, pełen pretensji pomieszanej z jęklwym biadoleniem. Dochodził z ogródka na tyłach domu. Saracen szedł z ganku i ruszył w tamtym kierunku.

– Mówiłam, że mają być tam! – rozległ się znów piskliwy głos Mildred.

Saracen spostrzegł, że obiektem jej złości jest starszy mężczyzna w pobrudzonym ziemią kombinezonie; niewątpliwie ogrodnik.

– Ale tutaj byłoby dużo lepiej, pani G.

– A ja chcę żeby rosły tam! – krzyczała Mildred. – A prócz tego mówiłam tysiąc razy, że nie życzę sobie, żeby zwracano się do mnie „pani G”!

* W swobodnym przekładzie Toffee-Town to „Snobowice” albo „Snobogród”. (Przymiotnik i rzeczownik „toffee-nosed” = snob).

– Tak, proszę pani – odpowiedział ogrodnik.

– Przepraszam... – odezwał się Saracen.

Mildred odwróciła się gwałtownie.

– A, to ty – mruknęła niechętnie.

– Tak, to ja, Mildred. Czy raczej powinienem powiedzieć: „proszę pani”?

Mildred zrobiła naburmuszoną minę.

– Czego chcesz? – warknęła.

– Chciałbym się zobaczyć z twoim mężem.

– Niemożliwe. Jest zajęty.

– Mimo to chcę go zobaczyć.

– Czyś ty ogłupiał? Mówię, że jest zajęty.

– Powiedz mu, że chodzi o worki z piaskiem. Na pewno zechce się ze mną zobaczyć.

– Worki z piaskiem? Powiedziałeś: worki z piaskiem?

– Tak, zmarłe worki z piaskiem.

– Zmarłały worki?

– Nie, Mildred. Zmarłe. Takie, którym wyprawia się pogrzeb.

Mildred Garten spojrzała na Saracena, jakby rzeczywiście podejrzewała go o utratę rozumu i weszła do domu, zostawiając gościa z ogrodnikiem. Ten mrugnął znacząco do Saracena.

– Nie uwierzy pan – szepnął – ale ja z jej ojcem chodziłem kiedyś regularnie na piwo! Jak to się ludziom przewraca w głowie!

– Co dziwniejsze – odrzekł Saracen, również szeptem – że im bardziej w niej pusto, tym bardziej się przewraca.

Ogrodnik parsknął śmiechem i wrócił do grabienia liści. Po chwili oparł się na trzonku grabi i ponownie zwrócił się do Saracena.

– Coś panu powiem. Te cholerne rośliny i tak zostaną tu, gdzie są...

Wróciła Mildred. Razem z nią wyszedł z domu Nigel Garten.

– Lepiej chodź do środka – powiedział.

Saracen wszedł za nim do domu, potem po schodach, do gabinetu na pierwszym piętrze. Garten zamknął drzwi, nie reagując na zdziwione spojrzenie Mildred, która towarzyszyła im aż do schodów.

Zgarnął z fotela stertę ulotek wyborczych i wskazał zwolnione miejsce Saracenowi. Ten, nie bez satysfakcji, spostrzegł u gospodarza wyraźne objawy zdenerwowania. Przedłużające się bez sensu sprzątanie drobiazgów z biurka świadczyło o podświadomej chęci oddalenia momentu konfrontacji. Saracen czekał cierpliwie. Wreszcie Garten podniósł wzrok na gościa.

– Co zrobiłeś z ciałem Myry Archer? – wypalił Saracen.

Gartenowi opadły ramiona, mięśnie twarzy zwiotczały, jakby w jednej chwili postarzał się o dziesięć lat.

– Co wiesz? – wychrypiał.

– Wiem, że zwłok pani Archer nie ma na cmentarzu św. Klemensa i mam świadków, którzy to potwierdzą.

Garten zamknął oczy, jakby modlił się w duchu, a potem westchnął z rezygnacją.

– Przekazałem ciało do kremacji – powiedział.

Saracen milczał. W dalszym ciągu patrzył Gartenowi prosto w twarz. Ten przyjął to za oznakę niedowierzania.

– Powiedziałem prawdę. Przekazałem ciało do kremacji. Musiałem to zrobić.

– Musiałeś? – zdziwił się Saracen.

– Ona zmarła na dżumę.

Saracen poczuł, że oczy same otwierają mu się szerzej.

– Powiedziałeś: na dżumę? – spytał cicho.

Garten skinął głową.

– Chenhui rozpoznała objawy, kiedy chorą przywieziono do Pogotowia. Spotkała się z dżumą w Chinach. Zawiadomiła mnie, a ja przekonałem ją, już po zgonie chorej w ambulansie, żeby nic nikomu nie mówiła.

– Dlaczego, na litość boską, postanowiłeś to zataić?

– Czy to nie oczywiste? Czarna Śmierć w mieście! Jak długo, twoim zdaniem, trwałoby to ożywienie gospodarcze Skelmore po rozejściu się takiej wiadomości? Nie jesteśmy jedynym regionem, czekającym na szansę rozwoju, sam o tym wiesz. Mogłoby się nagle okazać, że Szkocja znacznie bardziej interesuje Japończyków.

– Przecież nie żyjemy w średniowieczu! – zaprotestował Saracen.

– Tak. Ale niektóre choroby w dalszym ciągu wywołują u ludzi ślepy strach.

– Przecież niedługo wszystko by ucichło.

– Czy wiesz, co taka historia oznacza dla jakiegokolwiek interesu znajdującego się na etapie inwestycji? Co czeka przedsiębiorstwo budowlane, które nagle traci nabywców mieszkań, a banki domagają się spłaty kredytów?

– Chcesz powiedzieć, że twój teść mógłby zbankrutować? – wtrącił Saracen. Nie zamierzał dać się nabrać na altruistyczną argumentację Gartena.

– Jeśli tak chcesz to widzieć... – przyznał Garten. – Ale dotknęłoby to nie tylko Glendale'a. Upadłoby mnóstwo małych firm. Wystarczy nawet zagrożenie krótkotrwałym deficytem siły roboczej i Japończycy zrezygnują. Ze swoimi możliwościami wszędzie uzyskają takie same warunki jak u nas.

Saracen pokręcił głową.

– Ale ukrywać przypadek dżumy...

– Nie taki diabeł straszny, jak go malują – odparł Garten. – To oczywiste, że ta przeklęta baba złapała chorobę w Afryce. W końcu mieliśmy do czynienia z jednym, odosobnionym przypadkiem i na tym koniec. A jej kontakty z miejscowymi były minimalne. Nie miała ani

przyjaciół, ani krewnych, z wyjątkiem męża. Zawiadamiać władze o tym jednym przypadku? Skelmore ma zbyt wiele do stracenia. Pomyślałem, że jeśli będziemy siedzieć cicho, cała sprawa przyschnie.

– A co z ludźmi, którzy mieli z nią styczność?

– Wymyśliłem bajeczkę z salmonellą, żeby personelowi szpitala i pasażerom samolotu, którym przyleciała, można było zaaplikować osłonowo odpowiednie antybiotyki. Naprawdę, nikomu nic nie groziło.

– Raczej miałeś nadzieję, że nie groziło – sprostował Saracen. – Należało to załatwić zgodnie z przepisami.

– Przecież mówię. Stawka była zbyt duża, żeby ryzykować.

– A Leonard Cohen? – spytał Saracen.

– Cała awantura, zdawało się, ucichła i wtedy przywieziono Cohena. On również zmarł na dżumę.

Saracen podniósł wzrok do sufitu i zaklął cicho.

– Ale to już było zwykłe przeoczenie – pośpieszył z wyjaśnieniem Garten. – Cohen mieszkał w tym samym domu co Myra Archer. Po prostu nie wiedzieliśmy, że się znali. Dozorca domu twierdził, że Myra Archer z nikim nie utrzymywała sąsiedzkich stosunków.

– No i postanowiliście ukryć również i ten przypadek, a Chenhui się nie zgodziła?

– Mniej więcej. Kiedy zobaczyła zwłoki Cohena puściły jej nerwy. Zaczęła na mnie wrzeszczeć. Próbowałem ją przekonać, że to jeden jedyny przypadek, że raptem jeden człowiek wymknął nam się z sieci. A ponieważ Cohen mieszkał samotnie i bardzo rzadko wychodził z domu, w dalszym ciągu nie ma niebezpieczeństwa epidemii. Ale do niej to nie docierało. Można powiedzieć, że oszalała.

– Więc zaaplikowałeś jej środki uspokajające?

– Nie zamierzałem dziewczyny skrzywdzić. Sądziłem, że jeśli ją uciszę do chwili, kiedy będzie widoczne, że miałem rację i wszystko wraca do normy, ona także wróci do normy.

– Ale ona nie żyje.

– Nie myśl, że tego nie przeżywam, ale to był wypadek. Po prostu nieszczęśliwy wypadek.

– Jeden z wielu, co? – dorzucił z sarkazmem Saracen.

– Gdyby ta głupia krowa nie zaczęła wariować, a kierowała się rozsądkiem, żyłaby do dziś – odciął się Garten.

Saracen starał się trzymać nerwy na wodzy, ale z coraz większym trudem zwalczał pokusę przyłożenia Gartenowi.

– A wtedy pod kostnicą, kiedy dostałem po łbie? To też była twoja sprawka? – spytał.

Garten kiwnął głową.

– Stałeś na drodze ludziom Dolmana, kiedy przyjechali zabrać ciało Myry Archer.

– Potem dezynfekowali pomieszczenie formaldehydem?

– Tak. Przypuszczam, że zechcesz teraz wezwać policję?

Saracen nie zdążył odpowiedzieć, kiedy do pokoju wpadła Mildred. Jak należało przypuszczać, podsłuchiwała pod drzwiami. W rękach trzymała dubeltówkę.

– Mildred, proszę odłóż broń – powiedział Garten łagodnie. – To w niczym nam nie pomoże.

Mildred nawet nie spojrzała na męża. Posunęła się parę kroków w stronę Saracena, przyciskając strzelbę do tłustego brzucha. Saracen ani drgnął. Po wyrazie oczu Mildred poznał, że każdy jego zbędny ruch może doprowadzić do katastrofy. Mildred zatrzymała się, gdy wylot lufy znalazł się w odległości zaledwie kilkunastu centymetrów od jego twarzy.

– Jeśli myślisz, że uda ci się zniszczyć wszystko, co zdobyliśmy własną pracą – zasyczała – to grubo się mylisz.

– Mildred, proszę cię; jesteś przepracowana, kochanie. Odłóż broń – perswadował Garten.

Saracen nie odzywał się, mając nadzieję, że Gartenowi uda się w końcu uspokoić żonę. Nie wierzył, żeby Mildred była zdolna do popełnienia umyślnego morderstwa. Istniało jednak całkiem realne niebezpieczeństwo, że broń wypali przez przypadek – tkwiła przecież w dłoniach wyjątkowej niezdary.

Do Mildred powoli zaczynało docierać, co mówi jej mąż. Wciąż jednak nastawiona była agresywnie.

– Nigel, nie pozwolę mu pozbawić nas tego wszystkiego, co tatuś nam obiecał. To zwykły nędzny mąciwoda. Nie zrobiłeś nic złego. Przez cały czas chodziło ci tylko o dobro miasta.

Saracen spojrzał na Gartena, oczekując, że ten podejmie jeszcze jedną próbę rozładowania sytuacji. Ze zdziwieniem spostrzegł, że ręka Gartena, niby przypadkowo, posuwa się po blacie biurka w kierunku przycisków interkomu. Kogo chciał zaalarmować? Przecież nikogo więcej w domu nie było! W pewnej chwili Garten zakaszła sztucznie i Saracen zrozumiał, że chce zagłuszyć odgłos włączania magnetofonu. Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach, bo pojął sens gry, którą podjął Garten. Tylko po co, u licha, chce zarejestrować tę scenę?

– Mildred, kochanie – mówił tymczasem Garten – doceniam twoją lojalność, ale cóż... popełniłem błąd i muszę to odpokutować. Proszę cię, odłóż strzelbę.

Mildred wyglądała na niezdecydowaną. Garten zaś mówił dalej:

– To jeszcze nie koniec świata, kochanie. Wiem, że nie należało kryć Cyrila Wylie, ale kryłem go. Zrobiłem to w imię starej przyjaźni i teraz muszę stawić czoło konsekwencjom swego kroku.

Saracen zmarszczył brwi. Co miały znaczyć te bzdury o kryciu Wylie'ego w imię starej przyjaźni? Przecież on go zwyczajnie szantażował! Nawet Mildred była zaskoczona.

– Ostatecznie moja droga, kiedy wyjdę z więzienia – po słowie „więzienia” Garten zrobił

pauzę – nadal będziemy mieli siebie nawzajem i dlatego proszę, odłóż broń.

– Więzienie?! – zaskrzeczała Mildred.

– Ale nie na długo, kochanie – uspokajał ją Garten. – Prawdopodobnie wylecę z pracy, rzecz jasna, ale...

– Wylecisz z pracy!! – powtórzyła Mildred.

Saracen wreszcie zrozumiał. Garten chciał, żeby Mildred go zastrzeliła. Udawał, że usiłuje wyperswadować jej ten zamiar, a jednocześnie podpuszczał ją, strasząc ponurą wizją przyszłości. Gdyby broń przypadkowo wypaliła, oboje mogliby się wykręcić tanim kosztem. Jeśli nawet nie, to mając taśmę udowodni, że morderczynią jest Mildred, a on wszelkimi sposobami próbował ją powstrzymać. Ta bzdura o kryciu Cyrila pozwoli mu wykombinować jakąś historyjkę tłumaczącą brak ciała Myry Archer; obciążającą Wylie'ego i redukującą jego, Garten, winę do obdarzenia zaufaniem człowieka, który – jak się okazało – na to nie zasługiwał. Garten miał szansę wyjść z całej awantury czysty jak łąza.

– Ty zasańcu! – Saracen nie miał chęci ani powodu dłużej się hamować. – Ty obłudny gnojku! – Nie widzisz, nie rozumiesz, idiotko, co on robi? – Zwrócił się do Mildred. – Twój cenny mążulek jest odpowiedzialny za ukrywanie przypadków dzumy w tym mieście, a także za śmierć doktor Chenhui Tang, za szantażowanie Wylie'ego i zmuszenie go do pisania fałszywych protokołów. – Saracen był tak podniecony, że ledwo zauważył jak Garten wyłącza magnetofon.

– Kłamiesz! – pisnęła Mildred.

– Nie. To wszystko prawda!

– Nigel jest dżentelmenem. Zostanie członkiem Parlamentu! Tak powiedział mój tatuś!

– Żony członków Parlamentu nie strzelają do ludzi, Mildred – próbował uspokoić ją Saracen. – Odłóż broń, zanim będzie za późno.

– Tak, kochanie – potwierdził Garten łagodnie. – Być członkiem Parlamentu to jeszcze nie wszystko...

Mildred mocniej ścisnęła dubeltówkę, a Saracen, przerażony, osunął się na oparcie fotela.

– Nie! – wrzasnęła Mildred. – Nie zabierzesz nam wszystkiego!

Zaczęła mocować się ze strzelbą. Saracen zrozumiał, że chce strzelić i rzucił się bokiem na podłogę.

Na chwilę zapanowała w pokoju przerażająca cisza, przerywana tylko postękiwaniem Mildred szamoczącej się z dubeltówką. Saracen zebrał się na odwagę, uniósł się na łokciu i wyciągnął rękę w kierunku broni. Mildred szarpnęła nią w przeciwną stronę i obróciła, żeby znaleźć języki spustowe. Nie zauważyła, że jednocześnie kieruje lufę w stronę męża.

Garten otworzył usta, aby zaprotestować, ale Mildred, która dotychczas bezskutecznie naciskała na kabłąk, zrozumiała swój błąd i natychmiast postanowiła go naprawić: wygarnęła jednocześnie z obu luf prosto w pierś męża. Siła uderzenia pocisków podrzuciła Garten i cisnęła nim o ścianę. W jego klatce piersiowej ziała olbrzymia, krwawa dziura.

Wskutek odrzutu broni kolba z drzewa orzechowego uderzyła Mildred w brzuch. Osunęła się na kolana krztusząc się i z trudem łapiąc oddech.

Saracen klęczał na podłodze i patrzył na tę scenę szeroko otwartymi oczami.

– Boże Wszechmogący! – wyszeptał.

9.

Dochodziła trzecia trzydzieści, kiedy policjanci skończyli przesłuchiwać świadka. Saraceni sam ich wezwał, bo Mildred nie była w stanie wykonać najprostszej czynności; przeżyty szok odreagowywała histerycznym wrzaskiem. Nazwisko Garten i fakt, że zmarły był zięciem Matthew Glendale'a przyciągnęły na miejsce wypadku całe dowództwo policji w Skelmore. Nieobecność niższych rangą funkcjonariuszy wzbudziła nawet pewne zaniepokojenie Saraceni. Zastanawiał się, co by się stało, gdyby Mildred na samym początku nie przyznała, że to ona pociągnęła za spust.

Owo przyznanie się do winy pani Garten opatrzyła jednakże osobliwym komentarzem, oznajmiając wszem i wobec, że „to nie była jej wina”, że broń „wystrzeliła sama”, i że „gdyby nie ta świnka” – to znaczy Saraceni – jej mąż żyłby dalej. Obawy Saraceni, że punkt widzenia policji zależy od pozycji oskarżonego, nie były pozbawione podstaw. Mildred okazywano współczucie i troskę, jemu zaś otwartą wrogość.

Podczas przesłuchania, odpowiadając na nie kończący się szereg pytań, Saraceni zorientował się, że śmierć Garten postanowiono uznać za wypadek. Jemu samemu przypadła w tej historii rola intruza, w znacznej mierze odpowiedzialnego za tragiczny koniec zwykłej małżeńskiej sprzeczki. Z rosnącą irytacją przeciwstawiał się takiej interpretacji faktów, uparcie domagając się uwzględnienia swoich zeznań. Mildred Garten próbowała go zabić. Śmierć jej męża była przypadkiem, spowodowanym nieumiejętnym obchodzeniem się z bronią. Pani Garten chciała powstrzymać Saraceni przed zgłoszeniem policji nieprawidłowości, jakich ordynator dopuścił się w sprawie dwojga zmarłych pacjentów w Skelmore General. Mówiąc to, Saraceni z wściekłością zauważył, że nikt nie zapisuje jego słów.

- Sądziłem, że składam oficjalne zeznanie – zaprotestował.
- Na wszystko przyjdzie czas. – Prowadzący przesłuchanie inspektor uśmiechnął się nieprzyjemnie.
- Jeśli wolno spytać... Co zamierzacie zrobić w tej sprawie?

– Zapoznamy się z wszelkimi faktami, panie doktorze, a następnie sporządzimy raport – protekcjonalnym tonem oznajmił inspektor. Jego zachowanie doprowadzało Saracena do białej gorączki.

– Jest pan chyba zawieszony w czynnościach pracownika szpitala. Zgadza się? – wtrącił inny policjant.

– A co to ma do rzeczy? – odwarknął Saracen.

– Może mieć – odparł policjant. – Tym bardziej, że jak słyszałem, to doktor Garten zażądał ukarania pana.

– Istotnie, ale to nie ma żadnego...

– To się dopiero okaże, proszę pana.

Inspektor rozparł się wygodnie na krześle i splótłszy dłonie na wydatnym brzuszku obrzucił lekarza spojrzeniem starego wygi.

– Spróbujmy podsumować pańskie zeznanie, doktorze. Kobieta, o której pan mówił, ta Myra Archer, nie została pochowana na cmentarzu parafialnym. Jej zwłoki poddano kremacji, ponieważ zmarła na dżumę, którą zaraziła się w Afryce. Po przybyciu do miasta zaraziła swoją chorobą jednego z sąsiadów. On też zmarł i także jego zwłoki zostały spalone. Twierdzi pan, że doktor Garten ukrywał prawdziwą przyczynę tych zgonów, aby uniknąć zamieszania, które mogło odstraszyć inwestorów zainteresowanych tym regionem.

– Nie chodzi o ukrywanie faktów – odrzekł Saracen, zaniepokojony lekceważącym tonem policjanta. – Należało przeprowadzić kompleksowe badania epidemiologiczne.

– Epi...

– Garten powinien zawiadomić władze sanitarne, aby ich specjaliści mogli przystąpić do zlokalizowania źródeł choroby, zarządzić izolację osób, które kontaktowały się z zarażonymi i w razie potrzeby poddać je kwarantannie.

– Zdawało mi się, że ustaliliśmy, iż pani Archer przywiozła tę chorobę z Afryki? – rzekł policjant.

– Owszem, ale...

– Więc w gruncie rzeczy zarzuca pan doktorowi Gartenowi niedopełnienie jakichś tam formalności.

– Nie! – ze złością odparł Saracen. – Mówimy o dżumie, panie inspektorze! O Czarnej Śmierci! Nie o grypie. Z tą chorobą nie ma żartów.

Słowa lekarza nie wywarły na nikim specjalnego wrażenia. Zachowanie policjantów upewniło Saracena, że biorą go za nieodpowiedzialnego panikarza. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powiedzieć im o Wylie’em – o jego udziale w tej sprawie i próbie morderstwa – ale nie miał odwagi. Nie ma sensu, zdecydował. Teraz chciał już tylko wrócić do domu.

Nalał sobie dużą whisky i z westchnieniem ulgi opadł na fotel naprzeciw okna. Patrzył w niebo, na sunące z wiatrem chmury i rozkoszował się panującym w mieszkaniu spokojem.

Tego właśnie potrzebował.

Alkohol przyjemnie koił stargane nerwy i Saracen zaczynał odczuwać pokusę, by resztę wieczoru spędzić w fotelu, z butelką w zasięgu ręki. Miał jednak coś do zrobienia. Czuł, że powinien zobaczyć się z Timothy Archerem i osobiście wyjaśnić mu przyczyny śmierci żony. Archer miał prawo wiedzieć, dlaczego Myra nie została pochowana w miejscu, które upatrzyła sobie za życia. Nie będzie to przyjemna rozmowa, ale ostatecznie chodziło o śmierć człowieka. To nie jest miły temat.

Niespodziewanie ogarnęło go poczucie winy. Może dla wszystkich byłoby lepiej, gdyby nigdy nie zajmował się tą sprawą?

– Cholerny świat! – zaklął na głos, odstawiając na miejsce butelkę. Jakże zazdrościł ludziom, którzy nie mieli problemów z odróżnieniem dobra od zła. O ile prostszy był ich czarno-biały świat od jego świata, tonącego we wszechogarniającej szarości! Podniósł się z fotela i poczłapał do łazienki. Wyglądało na to, że cisza i spokój nie są uniwersalnym lekarstwem. Zwłaszcza w nadmiarze.

Wyłączywszy silnik samochodu na parkingu dla mieszkańców Palmer's Green, Saracen ze zdziwieniem stwierdził, że wkoło panuje dziwny spokój. Dzień był pogodny, nie minęła jeszcze ósma, a mimo to nie słyszał śmiechu dzieci, odgłosów uderzeń piłki o beton, ani brzęczenia rowerowych dzwonek. Absolutną ciszę mącił jedynie śpiew ptaków.

Wysiadł z samochodu i przez nieskazitelnie czyste podwórze ruszył w kierunku wejścia do bloku. Zadzwonił i czekał aż portier otworzy mu drzwi.

Zaśmiał się w duchu ze swojej naiwności. To jasne, dlaczego w Palmer's Green nie było dzieci. Mieszkania tutaj kosztowały majątek. Niewiele młodych małżeństw mogło sobie na nie pozwolić. Osiedle zamieszkiwali ludzie bogaci, co w Skelmore automatycznie oznaczało – starzy.

Drzwi otworzyły się i Saracen wszedł do środka. W holu czekał na niego portier.

– Chciałbym się widzieć z panem Archerem.

– Czy pan Archer oczekuje pana?

– Nie.

– Pańska godność, proszę.

– Saracen. Doktor Saracen.

– Chwileczkę.

Portier sięgnął po słuchawkę wewnętrznego telefonu. Saracen odwrócił się i rozejrzał po obszernym holu. Ścianę naprzeciw wejścia zdobiła barwna mozaika. Saracen rozpoznał greckie hełmy, włócznie i skały, spoza których wystawało coś na kształt trąb słoni. Przechylił głowę w lewo, w prawo, zmieniając kąt widzenia, ale nie udało mu się rozszyfrować tematu przedstawionej sceny. Wzruszył ramionami.

– Pan Archer przyjmie pana. Mieszkanie numer czternaście – oznajmił portier.

Idąc we wskazanym kierunku Saracen bez trudu odnalazł numer czternasty. Zapukał delikatnie. Drzwi otworzyły się niemal natychmiast.

– Proszę wejść, doktorze. Cieszę się, że pana widzę.

Saracen zauważył, że opalenizna Archera wyraźnie zbladła od ich poprzedniego spotkania. Także jego fryzura pozostawiała wiele do życzenia. Na stoliku obok głębokiego fotela stała butelka whisky i na wpół opróżniona szklanka.

– Nalać panu? – zapytał gospodarz, ruchem głowy wskazując butelkę.

– Proszę.

– Czystą? – Archer wlał do szklanki solidną porcję trunku.

– Z odrobiną wody.

Archer poszedł do kuchni po wodę, co dało gościowi okazję do zapoznania się z otoczeniem. Pokój, całkowicie pozbawiony akcentów osobistych, przypominał wystrojem numer w hotelu. Żadnych książek, bibelotów, fotografii czy rozrzuconych na stole listów. Przez uchylone drzwi sypialni Saracen zauważył leżącą na podłodze nie rozpakowaną walizkę. Dla Archera czas najwyraźniej zatrzymał się w miejscu.

– Przypuszczam, że pańska wizyta ma charakter towarzyski, ale może się mylę?

– Chodzi o pańską żonę – ostrożnie zaczął Saracen. – Jest kilka rzeczy, o których powinien pan wiedzieć.

Kiedy Saracen skończył mówić, Archer pochylił się na fotelu i ukrył twarz w dłoniach.

– Przykro mi – powiedział cicho lekarz.

Archer z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Dżuma? Moja żona zmarła na dżumę?

– Niestety tak.

– Ależ ta choroba zanikła setki lat temu! – zaprotestował Archer.

– W Wielkiej Brytanii, owszem. Ale w wielu punktach świata, nadal istnieją jej ogniska.

Także w Afryce.

– Ale ja się nie zaraziłem!

– Istotnie – przyznał Saracen. – Proszę mi jednak powiedzieć, czy pańska żona rozstawszy się z panem pojechała prosto do Anglii?

– Nie. Przez około tydzień podróżowała po kraju odwiedzając naszych starych przyjaciół. Chciała się pożegnać i tak dalej...

Saracen pokiwał głową.

– Ano właśnie. Gdzieś po drodze musiała ulec zarażeniu.

Archer milczał. Po chwili wzdrygnął się i energicznie zatarł ręce.

– Boże, jak tu zimno – mruknął. Wstał i podszedł do regulatora ogrzewania. Przez chwilę kręcił gałkami, wreszcie wymamrotał, że to i tak na nic; w tym mieszkaniu zawsze jest zimno.

Saracen uśmiechnął się ze współczuciem. Wypełniwszy swoją powinność, poczuł ulgę. Cieszyła go także spokojna reakcja Archera. Ten człowiek miał jednak klasę.

– Czy ma pan już jakieś plany na przyszłość? – spytał.

– Zastanawiam się, czy nie zafundować sobie podróży morskiej. Słońce, nieznanne kraje, nowe znajomości – to pomoże mi się pozbierać.

– Dobry pomysł.

– Ale jeszcze nie teraz. Lato chcę spędzić w Skelmore. Zamierzam zrobić to wszystko, co planowaliśmy z Myrą przed przyjazdem do Anglii.

Saracen uśmiechnął się i pokiwał głową. Odstawił pustą szklanę i wstał. Archer także się podniósł. Podali sobie ręce.

– Dziękuję za wizytę. I za to, że powiedział mi pan prawdę.

Przed domem Saracena stały dwa wozy policyjne: normalnie oznakowana panda i duża, czarna limuzyna, której przeznaczenie zdradzała tylko antena radiotelefonu. Nieco dalej zaparkowany był trzeci samochód i ten wydał się Saracenowi znajomy. Zbliżywszy się, spostrzegł nalepkę BMA* na przedniej szybie; a więc miał rację, wóz należał do Martina Saithe'a.

Swoich gości spotkał na schodach. Schodzili z trzeciego piętra; Saithe na czele. Ujrzawszy Saracena zawołał:

– O, jesteś, James!

Saracen oniemiał. „James”? Tego jeszcze nie było. W jego stosunkach z Saithem nigdy nie zagościł ślad poufałości.

– James, to inspektor Carradyce. Jeśli pozwolisz, chcielibyśmy z tobą porozmawiać.

– Naturalnie – odparł Saracen. Poprowadził gości z powrotem na trzecie piętro i zaprosił do mieszkania. Nieszczery uśmiezek Carradyce'a i udawana serdeczność Saithe'a kazały mu się domyślać, że nie jest to bezinteresowna wizyta. Czegoś od niego chcieli. Zastanawiał się – czego.

– Chodzi nam o tę okropną historię z doktorem Gartenem – zagał policjant.

– Obawiam się, że powiedziałem wam wszystko, co wiem na ten temat.

– To prawdziwa tragedia – odezwał się Saithe.

Ten facet zachowuje się tak, jakby ubiegał się o angaż w National Theatre, pomyślał Saracen.

– Bardzo nam pan pomógł, panie doktorze – oznajmił Carradyce i niespokojnie poprawił się na krześle. – Teraz trzeba zminimalizować skutki tego tragicznego wydarzenia. Myślę, że jest to naszym wspólnym celem. Zgodzi się pan ze mną?

– Powiada pan: zminimalizować? – mruknął Saracen.

Saithe z zatroskaną miną pochylił się w jego stronę i rzekł:

– Oczywiście zdajemy sobie sprawę, że dla ciebie, James, było to bardzo nieprzyjemne przeżycie.

* BMA - British Medical Association - związek zawodowy lekarzy, działający w Wielkiej Brytanii.

Saracen nigdy nie widział, aby Saithe choćby udawał, że troszczy się o kogokolwiek. Oto więc stał w obliczu prawdziwego dziwu natury.

– Ale? – powiedział.

– Widzisz, Mildred bardzo się wtedy zdenerwowała. A potem... strach pomyśleć, co przeżywała ta biedna kobieta. W jednej chwili straciła wszystko, dosłownie wszystko...

A więc o to chodzi, pomyślał Saracen. Matthew Glendale przystąpił do działania. Chce uchronić córkę przed odpowiedzialnością karną i uniknąć rodzinnego skandalu.

– W gruncie rzeczy broń wypaliła przypadkowo – przypomniał Carradyce.

– To, do czego zmierza pan inspektor... – zaczął Saithe.

Saracen miał już dość tych podchodów.

– Wiem, do czego zmierza pan inspektor. Chcecie, aby śmierć Nigela Gartena została uznana za wypadek. Wolelibyście także, by nikt nie dowiedział się o tych dwóch przypadkach dżumy i oczywiście o tym, że Mildred nastawała na moje życie. Zgadza się?

– Mniej więcej – z pewnym zakłopotaniem przyznał Saithe. Carradyce również zrobił zażenowaną minę.

– Nie zrozum nas źle, James. Wiemy, że postępowanie Mildred zasługuje na najwyższe potępienie, ale...

– Ale Matthew Glendale wolałby uniknąć skandalu – dokończył Saracen.

– Całe miasto wolałoby uniknąć tego skandalu, James – poprawił Saithe.

Saracen wstał, odwrócił się plecami do gości i podszedł do okna. Najgorsze w tym wszystkim było to, że Saithe miał rację. Publiczny skandal nikomu nie przyniósłby pożytku, a mógł wyrządzić wiele szkód. Należało jak najszybciej zapomnieć o całej sprawie.

– Doskonale – powiedział, odwracając się od okna. – Zgadzam się.

Na twarzach Saithe'a i Carradyce'a uwidoczniła się głęboka ulga. Saithe pozwolił sobie nawet na szczery uśmiech, zupełnie inny niż grymasy, jakimi wcześniej próbował zjednać sobie Saracena.

– Pozostała jeszcze kwestia tego niefortunnego zawieszenia, James. Przyjmij moje przeprosiny. Jestem pewien, że wyrażę uczucia wszystkich pracowników Skelmore General, jeśli powiem: James, jesteś nam potrzebny. Im szybciej wrócisz do pracy, tym lepiej. Myślę nawet, iż mogę zaryzykować twierdzenie, że kiedy na porządku dziennym stanie sprawa wyboru nowego ordynatora Oddziału Przypadków Nagłych, nie będziemy musieli daleko szukać.

Saracen poczuł, że robi mu się niedobrze. Miał wrażenie, że oto pozwolił się kupić tym ludziom.

– Jeśli to już wszystko... – wymamrotał. – Zechcą panowie wybaczyć...

– Ależ oczywiście – powiedział Saithe, podnosząc się z krzesła. Wyciągnął rękę, a Saracen uściśnął mu dłoń. Następnie podał rękę policjantowi. Kiedy wyszli, poczuł się jeszcze gorzej.

– Czy to znaczy, że nic jej nie zrobią? – z niedowierzaniem spytała Jill.

– Tak będzie najlepiej – odparł Saracen. – Im prędzej wszystko wróci do normy, tym lepiej.

Jill z gniewną miną popijała whisky. Milczała. Saracen delikatnie zanurzył rękę w jej włosach, a ona ujęła jego dłoń i przytrzymała przy piersi.

– Mimo wszystko nie wydaje mi się, żeby to było w porządku – powiedziała.

– Najważniejsze, że już po wszystkim.

– Może masz rację. – Z tonu Jill wynikało, że wcale nie jest o tym przekonana. – A co z twoim zawieszeniem?

– Odwołane. Jutro wracam do pracy.

Jill uśmiechnęła się po raz pierwszy tego wieczora.

– No, nareszcie jakaś dobra wiadomość.

– Może powinniśmy to uczcić? Chodźmy gdzieś na kolację.

– Chińską czy hinduską?

– Nie; ani chińską ani hinduską. Co powiesz na Station Hotel?

Jill szeroko otworzyła oczy.

– O jejkule! Do takiego eleganckiego hotelu?! – zawołała z akcentem wiejskiej dziewczuchy, robiąc do tego odpowiednią minę. – Czy nie powinnam ufarbować sobie włosów na niebiesko i obwiesić się świecidełkami jak choinka?

– Przydałoby się, ale jeśli będziemy się porządnie wysławiać, może nas wpuszczą.

– Muszę się przebrać.

– Ja też. Ale najpierw zarezerwuję stół. – Saracen podszedł do telefonu, ale zanim podniósł słuchawkę, aparat zaczął dzwonić. Telefonował Dave Moss ze szpitala okręgowego.

– Wiem, że to zabrzmiało idiotycznie, ale muszę z kimś porozmawiać – zaczął.

– Wal.

– Dziś wieczorem zmarł jeden z moich pacjentów.

– Mów dalej.

– Umarł na zapalenie płuc, ledwie cztery godziny po przyjęciu do szpitala.

– Starzy ludzie często umierają w ten sposób, przecież wiesz o tym – zauważył Saracen.

– Ale on nie był stary. To silny, trzydziestoletni mężczyzna. Podałem mu milion jednostek penicyliny i spodziewałem się, że do wieczora jego stan się ustabilizuje. Tymczasem zgasł, jak wypalona świeczka. Zaburzeniom oddechu towarzyszyła sinica o niesamowitym natężeniu. Pod koniec jego skóra była prawie czarna.

Saracen poczuł, że zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Jak w koszmarnym śnie, wiedział, co za chwilę się stanie.

– Istotnie, to niezwykle – powiedział wolno.

– Nie weź mnie za wariata... Wiem, że będziesz się śmiał, ale uważam, że ten człowiek

umarł na... dżumę płucną!

Saracen zamknął oczy. A więc nic się nie skończyło. W Skelmore nadal grasowała Czarna Śmierć.

– James? Jesteś tam?

– Tak. Czy twój pacjent mieszkał w Palmer's Green?

– Zaczekaj chwilę.

Stuknęła odkładana słuchawka i przez chwilę Saracen słyszał szelest papieru.

– Nie, nie mieszkał. Dlaczego pytasz?

– A gdzie?

– Na Madox Road. Ale o co chodzi?

– Rany boskie! – szepnął Saracen, usłyszawszy nazwę ulicy znajdującej się na przeciwnym krańcu miasta.

– Czegoś mi nie mówisz! – niecierpliwił się Moss.

– Myra Archer i Leonard Cohen zmarli na dżumę. Garten ukrył ten fakt, uważając, że to odosobnione przypadki, i że skończy się na dwóch ofiarach. Ci dwoje mieszkali w Palmer's Green. Zachorowanie kogoś z drugiego końca miasta oznacza, że sytuacja robi się poważna.

Mossa dosłownie zatkało ze zdumienia.

– Skąd, na litość boską, dżuma w Skelmore? – wykrztusił wreszcie.

– Myra Archer wróciła niedawno z Afryki. I stamtąd musiała przywlec chorobę. Cohen był jej sąsiadem.

– I Garten to wszystko chciał zachować w tajemnicy?

– Doszedł do wniosku, że jeżeli ta historia przedostanie się do prasy, zaszkodzi to planom rozwoju Skelmore. Japończycy mogą się wycofać i jego teść straci na swoich inwestycjach budowlanych.

– Poczciwy stary Nigel – westchnął Moss. – Zawsze zapatrzony w czubek własnego nosa.

– Czy mówiłeś komuś o swoich podejrzeniach odnośnie do tego pacjenta?

– Chciałem najpierw sprawdzić, jak na tę wiadomość zareaguje któryś z przyjaciół.

– A co z próbami do badań laboratoryjnych?

– Puściłem je zwykłą drogą. Jako wstępną diagnozę podałem ciężkie zapalenie płuc.

– Może powinieneś ostrzec laboratorium, żeby ostrożnie obchodzili się z tymi preparatami – podsunął Saracen.

– Tak zrobię. Swym ludziom każę trzymać język za zębami. Wiesz coś na temat zalecanych metod leczenia w takich przypadkach?

– Przypuszczam, że stosuje się streptomycynę i tetracyklinę. Lepiej jednak sprawdzić. Co pamiętam na pewno, to że w leczeniu dżumy całkowicie bezużyteczna jest penicylina.

– To wyjaśnia, dlaczego mój pacjent zupełnie na nią nie reagował – powiedział cicho Moss.

– Skąd miałeś wiedzieć. Na twoim miejscu każdy przepisałby penicylinę.

- Dzięki.
- Zawiadomisz kogo trzeba, czy ja mam to zrobić? – zapytał Saracen.
- Zawiadomię. Musimy jak najszybciej skontaktować się z rodziną zmarłego.
- Zadzwońię do Ogólnego. Może uda mi się złapać kogoś z kierownictwa. Dam ci znać, co ustalono. – Saracen przerwał połączenie, a następnie wybrał numer telefonu Saithe’a.
- Czy to jest pewna informacja?
- Nie ma jeszcze wyników badań laboratoryjnych, ale odnoszę wrażenie, że Moss wie co mówi.
- Jasny gwint! – mruknął Saithe. – Tak czy inaczej musimy działać ostrożnie, żeby nie wywołać zbędnej paniki.
- Ma pan rację, tyle, że Moss już zawiadomił służby sanitarne.
- Ach tak... – Saithe najwyraźniej zastanawiał się już nad czymś innym. – Myślę, że wiem, co powinniśmy zrobić – powiedział z namysłem. – Trzeba powołać komisję nadzwyczajną, która na bieżąco będzie kontrolować sytuację.
- Saracen uniósł wzrok do sufitu.
- Jeśli pan tak uważa...
- Taak, kogo powinniśmy do niej wciągnąć... – zastanawiał się na głos Saithe, jakby zapomniał, że rozmawia z Saracenenem.
- Jakiegoś specjalistę od dżumy – wtrącił Saracen.
- Co, co? Co pan powiedział?
- Proponuję, żebyśmy do tej komisji poszukali jakiegoś specjalisty od dżumy. Nikt z nas nie wie za dużo na temat tej choroby. Chyba tylko tyle, co wyczytaliśmy z podręczników podczas studiów.
- Słusznie – rzekł Saithe. – W okolicy na pewno nie ma zbyt wielu takich specjalistów.
- A w Skelmore ani jednego – dodał Saracen.

Dwie godziny później Saithe zawiadomił Saracena, że powołano komisję nadzwyczajną. Oprócz Saithe’a weszli do niej doktor Braithwaite – lekarz urzędowy hrabstwa, komendant Carradyce, David Moss, John Laird – lekarz naczelny Szpitala Okręgowego, dyrektorzy administracyjni Ogólnego i Okręgowego oraz przełożone pielęgniarek obu szpitali. Saracena także zaproszono do udziału w komisji. Co najważniejsze, z państwowego ośrodka badawczego w Porton Dawn wyruszył do Skelmore niejaki MacQuillan. Spodziewano się go około ósmej. Pierwsze posiedzenie komisji wyznaczono na dziewiątą. Saracen obiecał, że będzie na nim obecny.

Za dziesięć dziewiąta Saracen opuścił Oddział Przypadków Nagłych, udając się do sali wykładowej we wschodnim skrzydle szpitala, gdzie miało się odbyć posiedzenie komisji. Przedtem spotkał się z Tremaine’em i zawiadomił go, że rano wraca do pracy. Młody lekarz wyglądał na wykończonego. Jeśli na posiedzeniu nie wyniknie nic nieprzewidzianego –

myślał Saracen – przejmę od niego nocną zmianę. Tremaine będzie mógł wreszcie pójść do domu i się wyspać. Saithe mówił coś o przydzieleniu Pogotowiu dodatkowego stażysty. Saracen zanotował sobie w pamięci, że musi mu o tym przypomnieć; koniecznie!

U wejścia do wschodniego skrzydła spotkał Dave'a Mossa. Przytrzymał mu otwarte drzwi i zapytał:

- Co słyhać?
- Niedobrze. Przyjeliśmy żonę zmarłego dziś pacjenta.
- Z tymi samymi objawami?
- Na to wygląda.

Saracen zaklął pod nosem.

- Co gorsza – ciągnął Moss – ona jest kucharką w szkole podstawowej w Maxton.

Zatrzymali się przed wejściem do audytorium. Moss otworzył drzwi, cofnął się i przepuścił Saracena.

– Dobry wieczór. – Martin Saithe przywitał wchodzących spojrzeniem znad okularów. Następnie zerknął na zegarek. – Myślę, że jesteśmy już wszyscy. – Z namaszczeniem rozejrzał się po sali, jakby liczył obecnych.

Saracen nie lubił sal wykładowych Skelmore General. Panował w nich wieczny półmrok, dokuczliwy zwłaszcza wieczorem, kiedy pojedyncze żarówki osłonięte metalowymi kloszami zdawały się rozsiewać cień zamiast światła. Sprzęt do projekcji slajdów stanowił tu jedyne ustępstwo na rzecz nowoczesności. Półkole ławek z ciemnego drewna, wznoszących się na kształt schodów ku sufitowi otaczało centralnie usytuowaną katedrę. Dokładnie tak wyglądały sale do pokazów anatomicznych w szkołach epoki wiktoriańskiej. Stół, za którym zasiadał obecnie Saithe był świadkiem setek żenujących przedstawień, podczas których nieszczęśliwi, schorowani ludzie wystawiali na pokaz swoje ułomności, a wszystko to dla dobra edukacji „młodych dżentelmenów”.

– Muszę państwa przeprosić za to, że spotykamy się dzisiaj w takim miejscu, ale doktor MacQuillan przygotował dla nas kilka slajdów.

Niski, łysawy jegomość o sumiastych wąsach, odziany w tweedowy garnitur, potraktował słowa Saithe'a jako sygnał dla siebie i podniósł się z ławki. Zajął miejsce na katedrze i sięgnął po pilota projektora. W jego postawie Saracen dostrzegał oznaki czupurności: MacQuillan stał na szeroko rozstawionych nogach, trzymając pilota w wyciągniętej ręce.

Znów odezwał się Saithe:

– Doktor MacQuillan był tak uprzejmy, że zgodził się uzupełnić luki w naszej wiedzy o *Yersinia pestis*, mikroorganizmie, który wywołuje dżumę. Pan doktor jest bakteriologiem, a badanie pałeczek dżumy należy do jego specjalności.

MacQuillan przejął inicjatywę. Chrząknął tytułem wstępu, podniósł ze stołu wskaźnik i włączył pierwszy slajd.

- Oto oskarżony – oznajmił.

Szkocki akcent i niedbała wymowa pasowały do jego powierzchowności. Saracen zdecydował, że mają do czynienia z zadziornym Szkotem o praktycznym umyśle. I bardzo dobrze. Nie będzie marnowania czasu na bzdury.

MacQuillan stuknął wskaźnikiem w ekran i rzekł.

– Ta pałeczkowata bakteria to *Yersinia pestis*. Jej długość nie przekracza dwóch mikronów. Z pozoru niczym nie różni się od innych bakterii, ale w czternastym wieku to maleństwo wymordowało około jednej czwartej mieszkańców ówczesnej Europy. – MacQuillan urwał, jakby spodziewał się, że usłyszy jęk grozy słuchaczy. Okazało się jednak, że przemawia do wyrobionej publiczności, na której nie tak łatwo zrobić wrażenie. – Jak na ironię – podjął – człowiek nie jest zasadniczym celem tego zarazka. Jego rezerwuarem są szczury, a roznoszą go pchły, żerujące na zarażonych gryzoniach. Jeśli szczur zdycha, pchły szukają sobie nowego żywiciela. Napatoczy się człowiek... hyc! i już złapał dżumę.

MacQuillan pstryknął pilotem i na ekranie pojawił się potwór, jak z filmu science-fiction.

– *Xenopsylla cheopis*; pchła szczurza. A oto w skrócie droga, jaką przebywa pałeczka dżumy: pchła gryzie zakażonego szczura i wraz z jego krwią wchłania zarazki, które rozmnażają się w jej układzie pokarmowym. Następnie wraz ze śliną owada, bakterie przenikają do organizmu kolejnej ofiary; najczęściej także szczura, choć nie zawsze.

– Ale to nie jest jedyna forma infekcji, prawda? – spytała Phoebe Kendal, przełożona pielęgniarek Szpitala Ogólnego.

– W rzeczy samej – przytaknął MacQuillan. – Opisany przed chwilą proces dotyczy rozprzestrzeniania się dymienicznej postaci dżumy. Istnieje inna postać tej choroby, zwana dżumą płucną. I z nią właśnie mamy do czynienia w Skelmore. W zaawansowanym stadium dżumy płucnej, organizm chorego wytwarza znaczne ilości krwawej plwociny, zawierającej niezliczone ilości mikrobów. Kaszląc lub kichając chory wydalą tę plwocinę w postaci tysięcy kropelek i staje się źródłem zakażenia. Mówimy wtedy o zakażeniu na drodze kropelkowej.

– Rozumiem. Dziękuję – powiedziała Phoebe Kendal.

MacQuillan zmienił slajd.

– Oto dymienicza postać dżumy. Pacjent na zdjęciu jest bliski śmierci. Proszę zwrócić uwagę na powiększone węzły chłonne. A tu – stuknięcie wskaźnika o ekran – w dole pachwinowym, mamy rozwijającą się dymienicę. Są to zmienione zapalnie węzły chłonne, najczęściej właśnie pachwinowe, pachowe i szyjne. – Znow pstryknął pilot i na ekranie pojawił się kolejny pacjent. – Ten człowiek ma dżumę płucną; umrze za mniej więcej trzy godziny. Proszę zwrócić uwagę na kolor skóry – jest niemal czarna. I stąd wzięła się potoczna nazwa dżumy: Czarna Śmierć.

– Jaka jest śmiertelność wśród chorych na dżumę? – zapytał Moss.

– Nie leczona dżuma płucna jest śmiertelna w blisko stu procentach; dymienicza, w pięćdziesięciu do siedemdziesięciu pięciu.

– Powiedział pan „nie leczona” – odezwał się Saracen.

– Owszem. Zastosowanie nowoczesnych antybiotyków radykalnie odменя szansę chorego. Leczenie tetracykliną pozwala obniżyć śmiertelność wśród chorych z dżumą dymienicza do około jednego procenta. Ta sama terapia jest wysoce skuteczna także w przypadkach dżumy płucnej, jeśli zostanie podjęta na czas.

– Na czas?

– Po upływie dwunastu godzin nie leczony pacjent jest nie do uratowania.

Saithe zapytał o okres inkubacji choroby.

– Jeden do sześciu dni. Zależy od stopnia zakażenia.

Saracen zastanawiał się, dlaczego nie zabiera głosu Braithwaite, było nie było lekarz urzędowy hrabstwa. Już miał podzielić się swoim spostrzeżeniem z Mossem, kiedy MacQuillan powiedział:

– Rozmawiałem z doktorem Braithwaite'em. Jego zespół już pracuje nad powstrzymaniem epidemii. Myślę, że nie zgrzeszę nadmiernym optymizmem jeśli powiem, iż niebawem będzie po wszystkim.

– Czy mogę spytać na czym polega ta „praca”? – zapytał Moss.

– To pytanie do doktora Braithwaite'a, nie do mnie – oświadczył MacQuillan i usiadł.

Braithwaite podniósł się z wysiłkiem zrozumiałym u tak otyłego człowieka i zwrócił się twarzą ku zebranych. Zmarszczył nos i przymrużył oczy, jakby raziło go światło, ręce trzymał w kieszeniach obszernych spodni.

– W chwili obecnej – zaczął i urwał, by chrząknąć bez wyraźnej potrzeby – naszym głównym zadaniem jest zidentyfikowanie osób, które miały kontakt z chorymi i natychmiastowe poddanie ich leczeniu.

– Czym?

– Tetracykliną.

– A jeśli to będą dzieci? – spytał Moss.

– Wiem, do czego pan zmierza, doktorze, ale myślę, że w tej sytuacji musimy podawać tetracyklinę również dzieciom, nie zważając na skutki odkładania się leku w kościach i zębach.

Nikt nie zgłosił sprzeciwu.

– Co z ochroną personelu szpitali?

– Szczepionka przeciw dżumie i surowica odpornościowa są już w drodze – odparł Braithwaite.

– Dla moich ludzi także? – spytał Carradyce.

– Oczywiście.

– Ale nie przewiduje pan masowych szczepień – odezwał się Saracen.

Braithwaite skrzywił się.

– Nie – odparł – nie widzę takiej potrzeby. Nie chcemy wywoływać zbędnego poruszenia, a poza tym mam wrażenie, że poradzimy sobie bez sięgania do tak drastycznych środków jak

szczepienia masowe.

– Czy to znaczy, że ustalono już, co łączyło człowieka, który zmarł w Okręgowym z panią Archer lub Leonardem Cohenem?

Braithwaite niespokojnie przestąpił z nogi na nogę i raz jeszcze chrząknął.

– Myślę, że tak – odrzekł. – Ten człowiek był pracownikiem administracji osiedla Palmer's Green. Można więc z dużym prawdopodobieństwem założyć, iż zetknął się z którąś z wymienionych przez pana osób.

– To musiał być Cohen – powiedział Saracen.

Braithwaite zrobił zdziwioną minę. MacQuillan pośpieszył mu z pomocą.

– Zważywszy na okres inkubacji choroby, ma pan niewątpliwie rację, kolego. Pani Archer zmarła zbyt dawno, to nie ona zaraziła tego człowieka. Zakażenie musiało nastąpić w ciągu minionych sześciu dni. Nie ma wątpliwości, że chodzi o Cohena.

– Czy ktoś próbuje to udowodnić? – zapytał Saracen.

– Poczyniono pewne kroki w tym kierunku, ale sprawa jest oczywista. – Braithwaite najwyraźniej nie zamierzał dłużej dyskutować na ten temat.

– Jak rozumiem, trzeba nam teraz sześciu dni bez dalszych zachorowań. Czy tak? – zapytał Moss.

– Powiedzmy... ośmiu. Na wszelki wypadek. Osiem dni bez przypadku dżumy i Skelmore będzie można uznać za wolne od wszelkich zagrożeń – oświadczył MacQuillan.

– Pod warunkiem, że wszystkie nasze przypuszczenia są słuszne – dodał Saracen.

– Obawiam się, że nie rozumiem – chłodno odrzekł Braithwaite.

– Powiedziałem: jeśli nasze przypuszczenia są słuszne. Mam na myśli przypuszczenia odnośnie do sposobu rozprzestrzeniania się infekcji.

– Ma pan jakieś propozycje, doktorze?

– Chcę tylko przypomnieć, że mając do czynienia z taką chorobą jak dżuma, niczego nie możemy zostawić przypadkowi. Każdy szczegół musi zostać zbadany.

– To bardzo głębokie spostrzeżenie, panie kolego. Jako lekarz z zaledwie trzydziestoletnim stażem jestem panu wdzięczny za radę.

Saracen nie mógł nie zauważyć, że jedna z obecnych na spotkaniu pielęgniarek zasłania dłońią twarz z trudem powstrzymując się od śmiechu. Przytyk Braithwaite'a zawstydził go i zirytował.

– O co tu chodzi? – szepnął Moss, kiedy na prośbę dyrektora administracyjnego Skelmore General zaczęto się zastanawiać, jak przystosować pomieszczenia szpitalne do wymagań kwarantanny.

– Sam nie wiem – przyznał Saracen. – Ale mam wrażenie, że oni zbyt lekko traktują tę sprawę. Coś mi tu śmierdzi.

– Ale co?

Saracen wzruszył ramionami.

– Ba! Żebym to ja wiedział.

Głos zabrał Saithe:

– Ostatnia kwestia: prasa. Sądzę, iż powinniśmy przestrzegać zasady, że wszelkie informacje przekazywać będą dziennikarzom wyłącznie nasi oficjalni rzecznicy prasowi.

Sala przyjęła oświadczenie Saithe'a pomrukiem aprobaty. Moss chciał wiedzieć kto konkretnie zostanie owym rzecznikiem.

– Administratorzy szpitali i doktor Braithwaite, jako lekarz urzędowy hrabstwa – odrzekł Saithe. – Proszę, by wszyscy mówili o tym jak najmniej. Jeśli przez tydzień, czy osiem dni, zdołamy uniknąć wszelkich pytań, będziemy mogli mówić o tej sprawie w czasie przeszłym.

10.

Wróciwszy na oddział, Saracen zapoznał Tremaine'a z wynikami posiedzenia.

– Kamień spadł mi z serca. Teraz, kiedy powołano komisję, możemy spać spokojnie – ironicznie zauważył stażysta.

– Oczywiście – przytaknął Saracen. – Masz na to słowo naszego lekarza urzędowego.

– W takim razie może lepiej zrobię wyjeżdżając za granicę.

– Ach ci młodzi! Żadnego szacunku dla autorytetów! No dobrze, jeśli zechcesz przedstawić mi teraz raport, będziesz mógł pójść do domu i położyć się spać.

– Poważnie?! – zawołał Tremaine.

– Jak najbardziej.

– Jeśli liczyłeś na to, że zaprotestuję, to popełniłeś błąd. – Tremaine wyraźnie odzyskał humor. Sięgnął po notatnik i zaczął odczytywać dane dotyczące sytuacji na oddziale. – Wypadek drogowy: przyjęto dwoje poszkodowanych. Mężczyznę ze złamaniem kości czaszki, trzech żeber i lewej kości udowej. Leży w sali numer trzy. Kobieta, z ranami ciętymi twarzy i złamaną kością nadgarstka: sala numer trzynaście. Dalej: chłopiec po upadku na rowerze – drobne potłuczenia i naderwanie stawu skokowego. Jeden pijany z dziesięciocentymetrową raną ciętą twarzy; w robocie był kufel do piwa. Singh zszywa go na stole numer cztery. I wreszcie kobieta z wysypką na całym ciele. Dostała jej podczas kolacji w restauracji. Prawdopodobnie chodzi o uczulenie na coś, co jadła. Dobrze reaguje na leki przeciwhistaminowe.

– I to wszystko?

– Wszystko.

– A więc do zobaczenia rano – powiedział Saracen. – Aha, czy wszyscy wzięli tetracyklinę?

– Co do jednego. A ty?

– Zaraz wezmę.

– Tylko nie zapomnij – ostrzegł Tremaine i pomaszerował do wyjścia.

Saracen zaaplikował sobie tetracyklinę i zaczął szukać dziennika dyżurów. Nie znalazłszy go w zwykłym miejscu poszedł po ratunek do siostry Lindeman.

– Położyłam go na biurku doktora Gartena. Myślałam, że pan będzie teraz używał jego gabinetu...

– Ach tak, dziękuję. – Saraceniowi jakoś nie przyszło to do głowy. Okazało się, że siostra Lindeman nie tylko książkę dyżurów, ale i znaczną część jego rzeczy osobistych przeniosła do dawnego pokoju Gartena. Saracen zastanawiał się na czym polega tajemnica tej kobiety. Nie miał wątpliwości, że Moira Lindeman stanowiła ucieleśnienie wszelkich pielęgniarskich cnót; była cicha, dyskretna, doskonale przygotowana zawodowo i na dodatek sprawna i pracowita. Nie koniec na tym. Miała dar przewidywania i dzięki temu z góry wiedziała, co należy zrobić w danej sytuacji. W każdym innym zawodzie mogłaby zejść Bóg wie jak wysoko. W Pogotowiu jej zdolności i poświęcenie przechodziły nie zauważane.

Saracen kończył właśnie przeglądać dziennik dyżurów, kiedy usłyszał pukanie i w uchylonych drzwiach pojawiła się twarz pielęgniarki.

– Panie doktorze, zamykają puby. Potrzebujemy pana w zabiegowym.

Do Pogotowia zaczęły napływać pierwsze ofiary „Wesołej Godzinki”, jak Saracen nazywał godzinę bezpośrednio po zamknięciu lokali z wyszynkiem. Wtedy to dawały o sobie znać animozje niedawnych kompanów od kieliszka, a metodą rozstrzygnięcia sporów była zwykle przemoc.

– Co się stało?

Wysoki, mocno zbudowany mężczyzna z twarzą zalaną krwią przyciskał do głowy brudną chustkę do nosa.

– To nie moja wina, doktorze. To wszystko przez tamtego sukinsyna. Idę sobie spokojnie, nikogo nie zaczepiam, a ten...

Saracen nie słuchał. Stara śpiewka. Zawsze winien był ten drugi. Przygotował ranę do szycia, ale nie zdążył jeszcze sięgnąć po igłę, kiedy mężczyzna złapał go za ramię i spytał ochryplym głosem.

– Czy to będzie bolało?

– Mam nadzieję – odparł Saracen.

Okolo drugiej nad ranem w izbie przyjęć zapanował wreszcie względny spokój. Dla personelu Pogotowia nastąpiła chwila upragnionego odpoczynku. Mieszkańcy Skelmore rozstrzygnęli już swoje spory i poszli spać. Korzystając z chwili wytchnienia Saracen wypił kubek herbaty i zjadł kilka sucharków, które zresztą zupełnie rozmiękły od długiego leżenia na talerzu. Dla zabicia czasu zaczął rozwiązywać krzyżówkę w *Guardianie* i akurat wpisywał w kratki słowo ARCHIMEDES, kiedy zadzwonił telefon. Odezwał się David Moss.

– Ta kobieta umarła. Przed chwilą przyjęliśmy czworo nowych chorych.

– Skąd?

– Z osiedla Maxton. Kobieta z trójką dzieci.

– Ustaliliście z kim się kontaktowali?

– Jeszcze nie. Zajęli się tym ludzie Braithwaite’a. Ale w tej chwili mam większe zmartwienie. Dostałem właśnie wyniki badań laboratoryjnych.

– I...?

– To dżuma, co do tego nie ma wątpliwości. Udało im się wyodrębnić pałeczki *Yersinia pestis*, ale są jakieś kłopoty z ustaleniem antybiogramu.

– Jakże znowu kłopoty? MacQuillan zapewniał nas, że leczenie tetracykliną jest absolutnie pewne.

– W laboratorium też tak uważają, a mimo to nie są zadowoleni z wyników prób. Chcą, żeby sprawdzono je w Porton Down.

– A co tu jest do sprawdzania? Szczep albo jest wrażliwy na tetracyklinę albo odporny, a pałeczki dżumy są zawsze wrażliwe. Tak w każdym razie twierdzi MacQuillan.

– To samo mówią podręczniki, ale w laboratorium stwierdzono, że jakkolwiek tetracyklina spowalnia rozmnażanie się tych bakterii, to jednak ich nie zabija.

– Może coś jest nie tak z lekami użytymi do prób – podsunął Saracen.

– Może – bez przekonania zgodził się Moss.

– No dobrze, a więc czym mamy leczyć chorych do czasu ustalenia antybiogramu?

W głosie Mossa pojawił się cień niepewności.

– Sęk w tym, że wszystkie przebadane leki działają w ten sam sposób. Spowalniają namnażanie bakterii, ale ich nie zabijają.

Minęła dłuższa chwila, nim sens słów Mossa dotarł do świadomości Saracena.

– Ależ to znaczy, że jesteśmy bezbronni! – zawołał wreszcie.

– To prawda.

– Jeśli tetracyklina hamuje rozwój bakterii, powinno to zwiększać skuteczność naturalnego systemu odpornościowego pacjenta. Pytanie tylko, czy w stopniu wystarczającym do zwalczania choroby.

– A owszem – mruknął Moss. – Ale odpowiedzi na to pytanie może nam dostarczyć jedynie obserwacja chorych. Jak dotąd wszyscy pacjenci trafiali do nas w kilka dni po zakażeniu, z objawami zaawansowanej choroby, gorączką i tak dalej. Tylko personel szpitala i znane nam osoby, które miały kontakt z chorymi, dostali tetracyklinę przed wystąpieniem objawów zakażenia. I na razie, odpukać, wszyscy są zdrowi.

– Kiedy poznamy wyniki badań przeprowadzonych w Porton Down?

– Za jakieś dwa dni. Ta sprawa ma absolutne pierwszeństwo.

– Tak więc nie pozostaje nam nic innego jak czekać i mieć nadzieję – stwierdził Saracen.

– Ano tak.

Odłożywszy słuchawkę, Saracen siedział bez ruchu zapatrzony w przestrzeń. Z zamyślenia wyrwał go głos siostry Lindeman.

– Przepraszam panie doktorze, ale mamy pewien kłopot...

– Tak? Co się stało? – ożywił się Saracen.

– Wąchacze kleju. Czterech smarkaczy. Policjanci przyłapali ich na budowie w osiedlu Palmer's Green.

W oddechu chłopców wyraźnie czuło się zapach rozpuszczalnika. Jak wiele pokrewnych zapachów – smoły, nafty, środków dezynfekcyjnych – w małym stężeniu nie był on nieprzyjemny, ani tym bardziej szkodliwy. Co innego jednak, jeśli włożyło się pojemnik z klejem do polietylenowej torby i jej wylot zacisnęło wokół nosa i ust. A tak właśnie zabawiali się ci czterej chłopcy sprowadzeni do Pogotowia. Saracen zbadał ich po kolei, kręcąc głową na widok umazanych klejem ust i nieprzytomnych oczu.

Jeden z tej czwórki, kudłaty wyrostek o wyglądzie ulicznego cwaniaka, w wyświechtanych dżinsach i trykotowej koszulce, wydawał się mniej zatruty od pozostałych. Wydawszy więc odpowiednie dyspozycje co do sposobu detoksykacji, Saracen postanowił zadać mu kilka pytań. Zapytał chłopca, ile ma lat.

– Dwanaście – padła opryskliwa odpowiedź.

– Dlaczego to robisz?

– Nie ma tu nic innego do roboty.

– Gówno prawda! – powiedział Saracen.

Chłopiec wyglądał na nieco zbitego z tropu.

– Kiedy tak jest – wymamrotał.

– A ja ci mówię, że to gówna prawda. Czy ty myślisz, że ja nie mam co robić, tylko cackać się z bandą kretynów, którzy łążą z plastikowymi workami na łbie?

– Nie wolno panu tak mówić! Jest pan lekarzem! – zaprotestował chłopiec.

– Wolno mi mówić co zechcę – odparł Saracen. – Gdzie kupiliście klej?

– Nie powiem.

Saracen spojrzał na policjanta, który przyprowadził chłopców do szpitala, ale ten tylko wzruszył ramionami.

– Zadałem ci pytanie – lekarz ponownie zwrócił się do pacjenta.

– I co z tego? – odburknął chłopiec.

Saracen przez chwilę mierzył go wzrokiem, wreszcie oznajmił:

– W takim razie, synu, myślę, że dobrze ci zrobi mała lewatywka.

– Że co?

Saracen pochylił się i szepnął chłopcu do ucha:

– Najpierw ta miła siostrzyczka przyniesie taką długą rurę, a potem...

Opis metod wykonywania lewatywy wywarł na chłopcu odpowiednie wrażenie. Oczy zaokrągliły mu się ze zdumienia, miejsce agresji zajął paniczny strach.

– Nikt mi tego nie będzie robił! – wyjąkał.

Saracen z ponurą miną pokiwał głową.

– Zrobiją ci to, zrobiją – powiedział. – I to wodą zimną jak lód.

Chłopak zerwał się, jakby z myślą o ucieczce, ale dłoń policjanta przykuła go do krzesła.

– Taak. Może gdybyś odpowiedział na moje pytanie, zastanowiłbym się nad zastosowaniem innej kuracji – mruknął Saracen, z zainteresowaniem oglądając swoje paznokcie.

Do chłopca dotarła wreszcie przykra prawda, że nie ma wyboru.

– To jest szantaż! – pisnął.

– Też mi się tak zdaje – przyznał Saracen.

Chłopiec skapitulował.

– U Bartoka, na Weaver's Lane – szepnął. – Mieliśmy nikomu o tym nie gadać.

– Jasne. – Saracen spojrział na policjanta. – Mówi to coś panu?

Posterunkowy skinął głową.

– Znamy tego Bartoka – powiedział. – Stary, chciwy sukinsyn... – tu ugryzł się w język, ale już było za późno. Zaczerwienił się i jął przeproszać siostrę Lindeman.

– Słyszeliśmy tu gorsze rzeczy – odparła.

– Porozmawiacie z tym człowiekiem? – spytał Saracen.

– Spróbujemy go przycisnąć, ale co z tego. Będzie się zaklinał, że sprzedał chłopakom klej, bo chcieli zbudować model samolotu.

– Mimo wszystko, niech pan spróbuje coś z tym zrobić.

Policjant podniósł się z krzesła, włożył kask.

– Domyślam się, że tym czterem obwiesiom nic nie grozi?

Saracen pokiwał głową.

– Tym razem jeszcze im się upiekło.

– Zatrzyma ich pan w szpitalu?

– Tamci trzej niech lepiej zostaną do rana. Ten może iść do domu.

– Dobrze, w takim razie pojedziesz ze mną – zwrócił się policjant do chłopca. – Odwiozę cię do domu i przy okazji zamienię słówko z twoim ojcem.

– Niech pan tego nie robi, proszę. On mnie zabije! – zaskomlał chłopak.

– Gdzie mieszkasz? – spytał Saracen.

Chłopiec podał adres w najgorszej części osiedla Maxton. Saracen spojrział na policjanta. Wzruszył ramionami i uśmiechnął się, jakby prosząc o wyrozumiałość dla smarkacza. Policjant odpowiedział uśmiechem i rzekł:

– No dobrze, mając na uwadze chęć współpracy, jaką okazał nam ten młodzieniec oraz fakt, że już nigdy nie dopuści się podobnego czynu...

– Nigdy! Słowo honoru!

– W porządku. Zaczekaj tutaj, muszę wziąć z rejestracji dane twoich kolegów. – Policjant wyszedł.

– A przy okazji: co wyście robili na tej budowie? – zapytał Saracen.

– Bawiliśmy się.

– Przyszliście aż z Maxton, żeby pobawić się w Palmer's Green?

Chłopiec spuścił głowę. Lekarz czekał, przyglądając mu się z uśmiechem.

– Jeden chłopak z naszej szkoły powiedział, że na tej budowie można znaleźć skarb.

– Skarb?

– Tak powiedział?

– Jaki znowu skarb?

– Złoto.

– Złoto? Na budowie.

– Naprawdę! – z uporem powtórzył chłopiec. – Edwards znalazł tam złoty krzyż. Właśnie na budowie.

– Gdzie konkretnie?

– Tego nam nie powiedział.

– I dlatego postanowiliście zbadać rzecz sami?

– Aha.

– Znaleźliście coś?

– Jeszcze nie.

Saracen uśmiechnął się, rozbawiony chłopięcą determinacją.

– Budowa to nie jest bezpieczne miejsce do zabawy. Jeśli Edwards znalazł tam krzyżyk, prawdopodobnie zgubił go któryś z pracowników. Należałoby go zwrócić.

– Nie, to nie był taki krzyżyk. Mówię panu, że to skarb!

– Skarb nie skarb, na przyszłość trzymaj się z dala od tego miejsca. Słyszysz?

Chłopiec skinął głową, ale umknął oczyma przed wzrokiem Saracena. W tym momencie wrócił policjant.

W czwartek rano odbyło się dodatkowe posiedzenie komisji nadzwyczajnej. Otrzymawszy wezwanie Saracen domyślił się, że jego tematem będzie omówienie wyników badań z Porton Down. Zebranie rozpoczęło się z dziesięciominutowym opóźnieniem, gdyż wszyscy czekali na Dave'a Mossa. Ostatecznie Saithe zdecydował, że zaczną bez niego i natychmiast przekazał głos MacQuillanowi.

– Za pozwoleniem państwa od razu przejdę do rzeczy – zaczął MacQuillan. – Porton Down potwierdza ustalenia tutejszego laboratorium. Nie da się ukryć, że to poważny problem. – MacQuillan przerwał, czekając aż ucichnie szmer na sali. Saracen jako jeden z niewielu zwrócił uwagę na sposób, w jaki bakteriolog wymówił słowo „problem”. Nie poprawiło mu to humoru.

– Wygląda na to, że pałeczki dzumy, z którymi mamy tu do czynienia uległy pewnego rodzaju mutacji. Objawia się ona zmianą struktury błony komórkowej, istotną zarówno dla

biernego jak i dla czynnego rozprzestrzeniania się zarazka.

– Może dla tych z nas, którzy nie są naukowcami, zechciałby pan... – zaczął Saithe.

– Oczywiście, przepraszam. Otóż uległa zmianie ściana komórkowa bakterii, stała się nieprzenikalna dla pewnej grupy substancji.

– Czy do tych „substancji” należą antybiotyki? – zapytał Saracen.

– Między innymi – cichym głosem odparł MacQuillan. W sali podniósł się głośny szum i Saithe musiał poprosić o ciszę.

– Czy zatem nie dysponujemy żadnym skutecznym lekarstwem przeciw tej chorobie? – spytał znów Saracen.

– Pewien skutek daje stosowanie antybiotyków – odparł MacQuillan. – Zwłaszcza tetracyklina spowalnia rozmnażanie się mikroorganizmów.

– Ale wcześniej czy później...

– Tak, ostateczny rezultat zakażenia jest nieunikniony. Rokowania odnośnie do przypadków leczonych są takie same jak do nieleczonych. Należy spodziewać się śmiertelności bliskiej stu procent.

– Oczywiście to tylko teoria – wtrącił Braithwaite. – Jeśli moi ludzie dostatecznie szybko odizolują osoby, które miały kontakt z chorymi, a nie wątpię, że tak się stanie, nie widzę powodu do zmartwienia.

– Nie zgadzam się – spokojnie oświadczył Saracen.

W sali zapanowało niezręczne milczenie. Przerwał je Saithe:

– Zechce pan uzasadnić swoje stanowisko, doktorze Saracen.

Saracen podniósł się z ławki.

– Nie możemy być tak pewni siebie. Proponuję natychmiastowe podjęcie działań mających na celu ustanowienie kordonu sanitarnego wokół Skelmore. Miasto musi zostać odizolowane od reszty kraju.

– Wypowiedź Saracena zebrani przyjęli pomrukiem dezaprobaty. Na twarz Braithwaite’a wypełził pogardliwy uśmiezek.

– Myślę, że ostrożność kolegi Saracena jest ze wszech miar godna pochwały, ale drodzy państwo, nie żyjemy w średniowieczu! W dzisiejszych czasach nie można lekkomyślnie podejmować decyzji o poddaniu kwarantannie całego miasta. Ekonomiczne konsekwencje takiego kroku mogłyby się okazać nie do naprawienia. Nie wspomnę już o tym, że oznaczałoby to koniec nadziei Skelmore na przyszły rozwój. Przypuszczam, że większość tu zebranych zgodzi się ze mną, iż w obecnym stanie rzeczy nie ma podstaw do stosowania tak drastycznych środków.

Reakcja sali była jednoznaczna. Większość członków komisji podzielała opinię Braithwaite’a.

Saracen nie zamierzał jednak ustąpić bez walki, chociaż nie miał wątpliwości, że znajduje się na z góry straconej pozycji.

– Być może nie żyjemy w średniowieczu – powiedział – ale to, co dzieje się w mieście, dziwnie przypomina mi średniowieczną zarazę. A z tego, co mówił doktor MacQuillan wnoszę, że możemy jej przeciwstawić niewiele więcej niż czternastowieczni medycy.

Po tych słowach znów zapadło milczenie. W ciszy rozległ się głos MacQuillana.

– Obawiam się, że w tym co mówi doktor Saracen jest sporo prawdy.

– Ale chyba nie sądzi pan, że powinniśmy objąć miasto kordonem sanitarnym! – wykrzyknął Braithwaite.

MacQuillan poprawił okulary i rzekł z namysłem:

– Jak zwykle w takich przypadkach, najważniejsze jest ustalenie źródła epidemii. My, jak sądzę, znamy to źródło; była nim pani Archer. To ona przywiozła chorobę, zaraziwszy się nią w Afryce. Dlatego nie widzę potrzeby poddawania kwarantannie całego miasta.

– Proponuję więc zamknąć dyskusję na ten temat – powiedział Braithwaite, zadowolony, że MacQuillan stanął jednak po jego stronie.

– Jak rozumiem, odpowiednie władze i służba sanitarna tego afrykańskiego kraju zostały poinformowane o przypadku Myry Archer? – zapytał jeszcze Saracen.

– Oczywiście – rzucił Braithwaite, ale widać było, że nie ma ochoty rozmawiać na ten temat.

Saracen drażył jednak dalej:

– Czy już otrzymał pan od nich odpowiedź?

– Nie; i prawdę mówiąc, wcale się tego nie spodziewałem – z widocznym rozdrażnieniem odparł Braithwaite. – Jest rzeczą powszechnie znaną, że dżuma należy do chorób endemicznych, typowych dla Afryki. Sugeruję, żeby zapoznał się pan z raportami Światowej Organizacji Zdrowia na ten temat.

– Nie zamierzam podawać w wątpliwość statystyk WHO. Chcę tylko wiedzieć, czy w ciągu ostatnich kilku miesięcy zanotowano przypadki dżumy w kraju, z którego przybyła Myra Archer.

– Afryka to nie Anglia, panie kolego – warknął Braithwaite. – Ludzie przemieszczają się z miejsca na miejsce, rodzą się i umierają i nikt się tym nie interesuje. Tamtejsze władze nie prowadzą ewidencji ludności. Dane, jakimi dysponują, są z reguły fragmentaryczne i mało wiarygodne.

Znów zapadła cisza. Zebrani pograżyli się w pełnym zadumy milczeniu.

– Czy ktoś z państwa, poza doktorem Saracensem, popiera ideę objęcia miasta kordonem sanitarnym? – zapytał Saithe.

Nikt się nie odezwał.

– Doskonale. A zatem będziemy kontynuować obecnie prowadzone działania.

Wróciwszy do Pogotowia Saracen niezwłocznie zadzwonił do Szpitala Okręgowego, do Mossa, ciekaw przyczyn jego nieobecności na zebraniu.

– Rano przywieziono nam szczepionkę przeciw dżumie – powiedział Moss. – Uznałem, że ważniejsze jest rozpoczęcie szczepień personelu. Działo się coś ciekawego?

Saracen opowiedział o ustaleniach laboratorium w Porton Down.

– A więc jednak. Ten cholerny mikrobia jest odporny na tetracyklinę.

– Nie tylko. MacQuillan twierdzi, że skutkiem jakiejś zmiany struktury błony komórkowej jest odporny na wszystko, albo na prawie wszystko.

– W imię Ojca i Syna...

Jeszcze jedna myśl nie dawała Saracenowi spokoju.

– Ciekaw jestem, czy w Porton Down zbadano antygenową strukturę tych bakterii.

– Dlaczego?

– Bo jeśli nasz mikrobia ma zmienioną pod względem właściwości ścianę komórkową, może być niewrażliwy na przeciwciała wytwarzane pod wpływem antygenów innych szczepów *Yersinia pestis*.

– Jezu! Chcesz powiedzieć, że szczepionka, którą nam dostarczono, może być bezużyteczna?

– Tylko się zastanawiam.

– Tego nam jeszcze brakowało – jęknął Moss.

– Chyba porozmawiam z MacQuillanem – powiedział Saracen. – Możesz mi podać numer serii tej szczepionki?

– Chwileczkę.

Saracen sięgnął po długopis i czekając na powrót Mossa, zaczął rysować liść koniczyny w górnym rogu czystej strony notatnika.

– Mam. WHO 83 YP 761. Zapisaleś?

Saracen potwierdził i żegnając się z Mossem obiecał, że zaraz zadzwoni do MacQuillana.

Już miał wykręcić numer jego telefonu, kiedy przez oszklone drzwi gabinetu spostrzegł Jill Rawlings. Szła korytarzem w towarzystwie innej pielęgniarki. Saracen uchylił drzwi i zawołał ją po imieniu.

– Możesz poświęcić mi chwilę czasu? – zapytał.

– Oczywiście. – Jill zawróciła, gestem ręki odsyłając koleżankę.

– Przepraszam, że tak długo się nie odzywałem – usprawiedliwiał się Saracen, zamykając za Jill drzwi gabinetu.

– Nie przepraszaj. Wiem, jaka jest sytuacja. Ale gdybyś czegoś potrzebował, jestem w pobliżu.

– Potrzebuję cię – powiedział Saracen.

Te proste słowa najwyraźniej zrobiły na Jill wrażenie.

– No, no doktorze. W ustach Jamesa Saracena to już jest coś, prawda?

– Poniekąd – przyznał Saracen. – Zobaczymy się dziś wieczorem?

– Kończę dyżur o ósmej trzydzieści. Później jestem wolna.

– Dobrze. Może wybierzemy się gdzieś na kolację i...

Jill przerwała mu, kładąc palec na ustach.

– Nie – powiedziała. – Dziś w nocy miałeś dyżur.

– Owszem, ale...

– A poprzedniej nocy?

– Czuję się doskonale, naprawdę – przekonywał Saracen.

Bez rezultatu.

– Zostań w domu – rozkazała Jill. – Przyjdę do ciebie prosto z dyżuru. Zjemy coś, wypijemy po szklaneczce, a potem pokochamy się i pan doktor pójdzie spać. Zrozumiano?

Saracen zajął w roześmiane oczy Jill i powiedział:

– Jesteś niezwykłą kobietą.

– Do zobaczenia – odrzekła, otwierając drzwi.

Saracen zadzwonił do MacQuillana i podzielił się z nim swoimi obawami odnośnie do skuteczności szczepionki.

– Czy mógłby pan poprosić Porton Down, żeby to sprawdzili? – zapytał. – Mam numer seryjny dostarczonej nam partii.

– Próby są już w toku – odparł bakteriolog. – Pomyśleliśmy o tym natychmiast po otrzymaniu informacji o nietypowej budowie ściany komórkowej.

– No tak. Powinienem się domyślić. – Saracen poczuł się trochę głupio.

– Zawiadomię pana, kiedy otrzymamy wyniki.

– Mam jeszcze jedno pytanie... – niepewnym tonem zaczął Saracen.

– Tak?

– Co będzie, jeśli szczepionka okaże się nieskuteczna?

– Sporządzi się nowe antyserum i nową szczepionkę ze szczepu Skelmore – odrzekł MacQuillan.

– Tak po prostu?

– Owszem. Oczywiście trochę to potrwa, ale przygotowanie szczepionki bakteryjnej nie stanowi problemu. Możemy być wdzięczni Bogu, że dżumę wywołują bakterie, nie wirusy. Szczepionki wirusowe to już zupełnie inna para kaloszy.

– Powiedział pan: i antyserum, i szczepionkę?

– Ponieważ mamy problemy ze skutecznością działania antybiotyków, możemy zaszczerpić miejscową bakterię zwierzętom laboratoryjnym i użyć ich antyserum do leczenia ludzi. Istnieje zawsze ryzyko związane z możliwością wystąpienia objawów uczulenia, nawet anafilaksji, ale lepsze to niż nic.

– Bez wątplenia.

O szóstej Saracen wyszedł ze szpitala. Mimo niepewnej pogody zdecydował się zostawić wóz na parkingu i do domu wrócić na piechotę; pooddychać świeżym powietrzem. Nie

spodziewał się Jill przed dziewiątą, toteż mógł się nie śpieszyć. Wybrał okreśną drogę, przez Coronation Park. Na chwilę usiadł na ławce pod drzewami i pogrążył w ponurych rozmyślaniach. W zasadzie nie miał powodu do zmartwienia, ale dręczyły go złe przecucia – czarne, jak to niebo nad głową. Może wszystkiemu jest winna pogoda, myślał. W ciężkim, wilgotnym powietrzu drzewa stały nieruchomo, jakby wstrzymując oddech w oczekiwaniu czegoś strasznego. Niebo ciemniało z każdą chwilą. Nieliczni spacerowicze przyspieszali kroku. Niebawem na ścieżkę spadły pierwsze krople deszczu.

Saracen dotarł do domu przemoczony do suchej nitki, tym bardziej, że wcale nie starał się schować przed deszczem. Owszem, początkowo miał chęć, jak wszyscy, rzucić się do ucieczki, ale nagle ogarnęła go taka słabość, takie poczucie niemożności, że nie bacząc na ulewę człapał bez pośpiechu po rozmiękłych alejkach parku. Tak czy inaczej, w domu czekała nań gorąca kąpiel i suche ubranie.

W łazience okazało się, że zawiódł automatyczny wyłącznik podgrzewacza wody i na gorącą kąpiel trzeba będzie poczekać. Saracen wytarł się z grubsza ręcznikiem i usiadł przed kominkiem. Dopiero po dwudziestu minutach mógł wejść do wanny wypełnionej letnią wodą. Na mydelniczce ustawił sobie szklanekę z solidną porcją whisky i oddał się relaksowi.

O ósmej trzydzieści zadzwoniła Jill; wydawała się roztrzęsiona.

– Coś się stało Mary Travers. Zemdlała podczas obchodu.

– Ale dlaczego?

– Jeszcze nie wiadomo. Zostanę przy niej, dopóki wszystko się nie wyjaśni.

– Oczywiście – odparł Saracen. – Czy mogę ci w czymś pomóc?

– Nie sądzę. Jeśli pozwolisz, wpadnę nieco później.

– Czekam.

Siedząc przed telewizorem Saracen przerzucał kanały, dopóki jego uwagi nie przyciągnął program krajoznawczy o Amazonii. Jednak po kilku minutach zmęczenie wzięło górę nad zainteresowaniem podróżą przez tropikalną dżunglę. Syczenie gazowego palnika i monotony głos lektora działały jak dobry środek nasenny. Saracen zapadł w sen.

Obudził go dzwonek telefonu. Podskoczył na fotelu, aż zatrzeszczało mu w karku. Spojrzał na zegarek – było kwadrans po dziewiątej.

– James? Tu Jill. Jestem jeszcze w szpitalu.

Minęło kilka sekund, nim Saracen oprzytomniał i pozbierał myśli. – Co się stało? – spytał.

– Mary jest bardzo chora. Doktor MacQuillan uważa, że lepiej abym na razie nie opuszczała szpitala.

Saracen poczuł się nagle całkiem rozbudzony.

– Co w szpitalu robi MacQuillan? – zapytał niespokojnie. Słyszał przyspieszony oddech Jill, nerwowe drżenie w jej głosie. – Co tam się dzieje? Weź głęboki oddech, uspokój się, i

powiedz mi o co chodzi.

– Oni myślą, że Mary jest chora na dżumę!

Uczucie pustki w żołądku i jednocześnie mętlik w głowie; w ostatniej chwili Saracen powstrzymał cisnący mu się na usta okrzyk. Należało zachować spokój i spróbować myśleć logicznie. Mary Travers pełniła dyżur pielęgniarski w ambulansie, który przywiózł Myrę Archer. Jak wszyscy, zapobiegawczo dostała tetracyklinę. Wychodziło na to, że lek jedynie spowalniał rozwój choroby, wydłużył okres inkubacji. Epidemia zachorowań wśród tych, którzy mieli kontakt z chorymi wydawała się nieunikniona.

– James, jesteś tam jeszcze?

– Przepraszam. Powiedziałaś, że zostajesz w szpitalu?

– Doktor MacQuillan uważa, że wszyscy, którzy stykali się z Mary, przez jakiś czas nie powinni wychodzić na zewnątrz. Dwudziestkę przerabiają na salę izolacyjną. Szukali ochotników do obsługi. Pomyślałam, że skoro i tak mam tu zostać...

– Zgłosiłaś się na ochotnika. – Saracen na moment zamknął oczy. – Uważaj na siebie – powiedział miękko.

– Ty też.

– Czy mógłbym jeszcze porozmawiać z MacQuillanem?

– Zaczekaj chwilkę.

Kilka sekund później w słuchawce rozległ się głos MacQuillana.

– Doktor Saracen?

– Siostra Rawlings powiedziała mi o chorobie Mary Travers. Wygląda na to, że zaczynają chorować osoby, które miały kontakt z wcześniej zarażonymi.

– Niestety, ma pan rację.

– Znaczy to, że mamy w Skelmore około pół tuzina nosicieli dżumy. To jak sześć bomb zapalających w sągu drewna.

– Ludzie Braithwaite'a ściągną ich do szpitala. Rodziny zostaną poddane kwarantannie.

– Czy trochę nie za późno?

– Oczywiście nie ma pewności, że to poskutkuje. Sytuacja może nam się wymknąć spod kontroli i dlatego zażądałem interwencji władz. Wydano odpowiednie zarządzenie.

– Zarządzenie władz?

– Od jutra, od szóstej rano nikt nie będzie mógł wjechać do miasta ani go opuścić.

– Czy policja da radę wyegzekwować przestrzeganie takiego zarządzenia?

– Tym zajmie się wojsko – odparł MacQuillan. – W Skelmore wprowadza się stan wyjątkowy.

– Wielkie nieba! – zawołał Saracen. – Już samo to określenie wywołuje fatalne skojarzenia.

– Nie ma innego wyjścia.

– Dowiedziałem się o uruchomieniu oddziału izolacyjnego. Siostra Rawlings powiedziała

mi, że jego personel mają stanowić ochotnicy.

– Zastanawia się pan, dlaczego?

– Tak.

– Musieliśmy jakoś rozstrzygnąć pewien dylemat moralny. Otóż wiemy, że pacjenci przyjmowani na oddział izolacyjny prawie na pewno umrą. Niemniej musimy zapewnić im opiekę. Z drugiej strony mamy wątpliwości, co do efektywności szczepionki, którą proponujemy personelowi jako zabezpieczenie. Dopóki te wątpliwości nie zostaną rozstrzygnięte, uważam, że musimy ograniczyć się do zatrudniania ochotników.

– Czy w sprawie ochrony personelu...? – zaczął Saracen.

– Poczyniono już pewne kroki. Do ministerstwa obrony wystosowałem prośbę o niezwłoczne dostarczenie nam kombinezonów i masek ochronnych – mają nadejść jutro rano. Siostrę Travers musieliśmy chwilowo umieścić w namiocie z plastikowej folii.

– Czy ma pan dla mnie jakieś zadanie? Czy mogę coś zrobić? – zapytał Saracen.

– Dopóki to możliwe, niech pan się wyśpi na zapas – odparł MacQuillan. – A jeśli wierzy pan w Boga, nadszedł czas, aby się pomodlić.

Saracena obudziły dźwięki hymnu narodowego. Wstał z fotela, rozcierając zdrętwiałą szyję i wyłączył telewizor. Poczłapał do okna i popatrzył na moknącą w deszczu, uśpioną ulicę. Miał przeczucie, że więcej nie pośpi.

O drugiej zadzwonił Moss.

– Gdzie jesteś? – zapytał Saracen.

– W domu. Właśnie telefonowali ze szpitala; przyjęli kolejne cztery osoby, które zaraziły się od Myry Archer. Dżuma w zaawansowanym stadium.

– Kto to?

– Dwóch sanitariuszy, policjant i jeden z naszych portierów.

– Co z ich rodzinami?

– Publiczna służba zdrowia robi co może, żeby dotrzeć do nich na czas.

– Nie zazdroszczę im tej roboty.

– Braithwaite szaleje.

– Czy ustalono jakiś związek między zmarłym robotnikiem, a pozostałymi przypadkami w Maxton?

– Kobieta miała z nim romans. Braithwaite objął kwarantanną jego rodzinę, ale nikt nie powiedział mu o kochance. Wiesz jak to jest: wszyscy wiedzą, ale nikt nie chce mówić.

– A dzieci?

– Dwoje to dzieci tej kobiety. Trzecie chodziło z nimi do szkoły i akurat przyszło się pobawić.

– Jezu, co za bajzel!

– Myślę, że „błędne koło” byłoby właściwszym określeniem.

- Słyszałeś o ustanowieniu kordonu sanitarnego?
 - Tak. Od szóstej.
 - Nie wiesz, kiedy podadzą to do wiadomości publicznej?
 - Rano, kiedy już zablokują drogi wyjazdowe z miasta i za późno będzie na złożenie niezapowiedzianej wizyty cioci z Birmingham.
 - Niegłupio to rozegrali.
 - Dowództwo policji spotkało się z kierownikami lokalnych stacji telewizyjnych i radiowych. Ustalono, że decyzję o wprowadzeniu kwarantanny przedstawi się jako wyraz zwykłej ostrożności. Wspomni się o potrzebie szkolenia oddziałów Obrony Cywilnej, zaapeluje do angielskiego poczucia miary, zdrowego rozsądku i tak dalej...
 - Trudno uwierzyć, że to się dzieje naprawdę – powiedział Saracen.
- Moss przytaknął niewyraźnym mruknięciem.

Leżał na łóżku z rękami pod głową i słuchał dudnienia kropli o parapet. Za oknem stała wietrzna, kwietniowa noc. O zaśnięciu nie było nawet mowy. Zaklął półgłosem i wstał z łóżka.

11.

Na widok Saracena wkraczającego na Oddział Przypadków Nagłych, Tremaine zrobił zdziwioną minę. Spojrzał na zegarek – dochodziła piąta rano.

– Nie mogłem zasnąć – wyjaśnił Saracen.

– Kiepskie samopoczucie?

– I będzie gorsze. Jak spisywał się nowy?

– W porządku. Poszedł właśnie na herbatę.

Pytanie Saracena dotyczyło Malcolna Jamiesona, jednego z dwóch stażystów, przydzielonych do Pogotowia na miejsca Gartena i Chenhui Tang.

– Kiedy przyjedzie ten drugi? – spytał Tremaine.

– Jutro, jeśli wpuszczą go do miasta. O szóstej zaczynają obowiązywać przepisy kwarantanny.

– Claire będzie zachwycona – mruknął Tremaine. – Zamierzała wyjechać na kilka dni do Londynu.

– Nic na to nie poradzi. Wezmę tylko prysznic i pójde porozmawiać z Jamiesonem.

Saracen przekręcił kurek i po dłuższej chwili z sitka popłynął nędzny strumyczek wody; zanim to nastąpiło, musiała odbyć długą i hałaśliwą podróż przez płataninę zardzewiałych rur. Kabiny z natryskami mieściły się w wysokim przynajmniej na trzy metry pomieszczeniu, wyłożonym białą glazurą. Kafelki były jednak tak popękane, że wydawały się brązowe. Wentylator nie działał od kilku miesięcy, w chłodne dni z zaparowanych szyb woda ściekała na podłogę.

Saracen przyglądał się, jak kłęby pary unoszą się ku sufitowi, przenikają żebrowane obudowy lamp i okrywają przewody instalacji elektrycznej. Jeśli człowieka nie wykończy tu

choroba legionistów^{*}, to zginie porażony prądem, pomyślał Saracen. Ubrał się szybko i wrócił na oddział, poszukać Jamiesona.

Nowy stażysta był wysokim młodzieńcem o rudych włosach i poważnym wyrazie twarzy. Wstał, kiedy Saracen wszedł do pokoju służbowego. Wyglądał na zakłopotanego faktem, że przełożony zastał go przy herbacie. Saracen kazał mu usiąść i zapytał:

- Czy podano panu szczepionkę?
- Doktor Tremaine zrobił to wczoraj wieczorem.
- Wie pan, dlaczego?

Jamieson skinął głową i odparł, że dowiedział się od Tremaine'a.

- Trochę mnie to wszystko zaskoczyło – dodał.
- Żałuje pan, że tu przyjechał?
- Tego nie powiedziałem.

– Istotnie, nie powiedział pan – przyznał Saracen. Zawiadomił stażystę o ustanowieniu kordonu sanitarnego.

- A więc sytuacja jest aż tak poważna?

– I owszem. Dlatego chciałem z panem porozmawiać. Proszę mieć się na baczności. Niech pan nie zapomina, że mamy do czynienia z dżumą. Nie wolno niczego lekceważyć. Nie każdy, kto wymiotuje na ulicy, musi być pijakiem; nie każdy, u kogo stwierdzi pan skurcze i zimne poty, narkomanem. Pozory mogą mylić. Nikt z nas nie ma zbyt wielkiego doświadczenia, jeśli chodzi o tę chorobę.

- Sądziłem, że leczenie dżumy to obecnie żaden problem...

– Teoretycznie. Ale my mamy do czynienia z praktyką, a poza tym istnieje pewna dodatkowa okoliczność, komplikująca sytuację.

- Jaka?
- Chwilowo nie dysponujemy skutecznym lekarstwem.
- Mówi pan poważnie? – młody człowiek zrobił zdziwioną minę.
- Jak najbardziej.

Jamieson zbladł. Próbował pokryć zmieszanie niepewnym uśmiechem.

- A to dopiero – mruknął, strzepując ze spodni nie istniejący włos.

– Organizujemy oddzielną izbę przyjęć, do której kierowani będą pacjenci podejrzani o zarażenie dżumą. Niemniej może się zdarzyć, że chory z niewłaściwie rozpoznanymi lub nietypowymi objawami trafi tutaj.

- Będę uważał – obiecał Jamieson.

Do wpół do ósmej, kiedy to zjawił się Prahaz Singh, Saracen był na oddziale sam. Przez ten czas miał tylko jednego pacjenta: pracownika gazowni, który w drodze do pracy spadł z roweru i złamał rękę w nadgarstku. Saracen udzielił Singhowi takich samych instrukcji jak

^{*} Groźne zapalenie płuc, wywołane przez bakterie *Legionella pneumophila*. Choroba po raz pierwszy opisana w USA w latach sześćdziesiątych. Wystąpiła w formie epidemii w hotelu, gdzie zakwaterowani byli uczestnicy zjazdu kombatantów II wojny światowej - stąd nazwa.

Jamiesonowi i upewnił się, że Pakistyńczyk dobrze go zrozumiał. Dopiero wtedy przekazał mu dyżur i wrócił do swojego gabinetu. Musiał popracować nad projektem nowej izby przyjęć.

Problem polegał na znalezieniu sposobu transportowania chorych na oddział izolacyjny, czyli do sali numer dwadzieścia tak, by ominąć resztę szpitala. Koncepcja Saracena polegała na wykorzystaniu pomieszczenia znajdującego się bezpośrednio pod dwudziestką, w którym obecnie składowano puste butle po tlenie. Zgodnie z planem szpitala istniały schody, prowadzące stamtąd do sali na pierwszym piętrze. Jeśli tak, pomieszczenie to, po dokonaniu niezbędnych zabiegów adaptacyjnych, byłoby idealną izbą przyjęć dla oddziału izolacyjnego. Saracen postanowił skontaktować się z administratorem szpitala. Należało sprawdzić, czy owe schody są wystarczająco szerokie, aby pomieścić nosze. Okazję po temu stwarzało wyznaczone na siódmą kolejne zebranie sztabu kryzysowego.

Wszedłszy do sali wykładowej we wschodnim skrzydle szpitala, Saracen ze zdziwieniem spostrzegł, że skład komisji uległ znacznemu poszerzeniu. Dwaj z nowych członków mieli na sobie mundury wojskowe, pozostałych Saithe przedstawił jako kierowników wydziałów administracji lokalnej. Następnie rzekł:

– Proszę teraz o zabranie głosu podpułkownika Beasdale’a. Od godziny szóstej rano pan pułkownik stanowi formalnie najwyższą władzę w Skelmore.

Oficer uśmiechnął się i chrząknął, jakby nieco zażenowany.

– Chciałbym na wstępie oświadczyć, że wcale nie cieszy mnie ta sytuacja. – Uśmiechnął się ponownie, a nie doczekawszy się żadnej reakcji ze strony zebranych, ciągnął: – Nic nie sprawi mi większej przyjemności, niż zakończenie mojej misji w Skelmore i powrót cywilnej władzy. Na razie jednak, korzystając z przyznanych mi uprawnień, zarządzam, co następuje: nikt nie może wjechać do miasta ani zeń wyjechać bez mojego pozwolenia. Po drugie: przejmuję nadzór nad przestrzeganiem prawa i porządku na terenie Skelmore. – Beasdale powiódł wzrokiem po sali, ale nikt się nie odezwał. – W praktyce oznacza to, że wszystko będzie biegło normalnym trybem. Władze cywilne będą jak zwykle wypełniać swoje obowiązki. Zadania moich ludzi ograniczą się do egzekwowania zarządzeń stanu wyjątkowego. Właściwie pozostaną poza miastem, jeśli nie liczyć operacji transportowych.

Ktoś zapytał, o jakie operacje transportowe chodzi.

– Podstawowe artykuły konsumpcyjne, przywożone do Skelmore, będą na granicy miasta przeładowywane na pojazdy wojskowe i dalej transportowane przez moich ludzi. Cywilnych samochodów dostawczych nie przepuścimy.

– Co się stanie, jeśli ktoś uprze się, by opuścić miasto? – spytała przełożona pielęgniarek Szpitala Okręgowego.

– Moi ludzie wyjaśnią mu, dlaczego nie jest to możliwe i grzecznie zawrócą z drogi.

– A jeśli nadal będzie obstawał przy swoim?

– Nie wypuszczą go z miasta.

– W jaki sposób?

Beasdale nerwowym gestem potarł czoło i odparł:

– W razie potrzeby użyjemy siły. Jesteśmy zobowiązani strzec nienaruszalności kordonu sanitarnego.

– Dziękuję, panie pułkowniku. – Kobieta usiadła, najwyraźniej ogromnie z siebie zadowolona. Saraceniowi nie bardzo podobało się jej zachowanie. Pułkownik robił wrażenie człowieka rozsądnego. Był chyba zakłopotany sytuacją, w której się znalazł i skłonny raczej do umniejszania swej władzy niż chętny się nią. Beasdale wrócił do tematu.

– Nasze zadania nie mają charakteru czysto wojskowego, jak na przykład w przypadku zamieszek. O naszej obecności w mieście zadecydowały względy medyczne. Dlatego też w swoich działaniach w znacznej mierze będziemy się opierać na opiniach lekarzy. Nie tylko dotyczących rozpoznania bieżącej sytuacji, ale i przewidywań co do kierunku jej rozwoju.

Saracen stwierdził, że Beasdale coraz bardziej mu się podoba. Nigdy nie był entuzjastą wojskowego stylu myślenia, toteż z pewną ulgą odkrył w pułkowniku człowieka nie pozbawionego zdrowego rozsądku. Tym bardziej, że jest to cecha rzadka nie tylko u wojskowych. Nie zawsze bowiem idzie w parze z inteligencją. Tego nie można się nauczyć. Ani na uniwersytecie, ani w akademii wojskowej.

– Zanim przekażę głos doktorowi Braithwaite'owi, muszę państwa zawiadomić, że dzisiejsze zebranie komisji nadzwyczajnej będzie ostatnim w tym składzie.

– Dlaczego? – Pytanie zadała ta sama pielęgniarka, która wymogła na pułkowniku stwierdzenie, że w razie potrzeby użyje siły.

– Komisja spełniła swoje zadanie – powiedział Beasdale. – Nie ma sensu przenosić centrum zarządzania miastem do szpitala, a więc miejsca potencjalnie najbardziej niebezpiecznego.

– Chce pan powiedzieć, że się pan boi, pułkowniku?

Głupia krowa, pomyślał Saracen.

– Jeśli pyta mnie pani jako osobę prywatną, panno...

– Williams.

– ... panno Williams, odpowiem, że owszem. Jak większość ludzi niewiele wiem o dżumie i słowo to brzmi w moich uszach złowieszczo. Mam nadzieję, że pani i pani koledzy pomogą mi ujrzeć problem w bardziej realistycznym świetle. Jednakże moja decyzja nie ma z tym nic wspólnego. Chodzi o to, że jeśli – uchowaj Boże – sprawy przybiorą najgorszy obrót, Skelmore musi mieć skutecznie działającą administrację.

– Gdzie więc będzie pańska kwatery główna, pułkowniku? – zapytał jeden z urzędników miejskich.

Beasdale uśmiechnął się z zażenowaniem.

– Obawiam się, że zanim odpowiem na to pytanie, muszą państwo podpisać dokumenty,

które przygotował dla was mój kolega. – Towarzyszący pułkownikowi oficer wyjął z teczki plik kartek i zaczął je rozdawać zebranym.

– Co to takiego? – wykrzyknął ktoś z pierwszych rzędów.

– Zobowiązanie do przestrzegania tajemnicy państwowej – odparł Beasdale.

Po dopełnieniu formalności związanych z podpisaniem dokumentu, pułkownik oznajmił:

– Na swoją kwaterę główną wybrałem miejskie zakłady wodociągowe.

Sala przyjęła ten komunikat z widocznym rozczarowaniem.

– Niektórzy z obecnych – ciągnął Beasdale – znają powody, dla których wybrałem to miejsce. Dla pozostałych będzie pewnie niespodzianką, jeśli powiem, że na terenie zakładów wodociągowych, dwadzieścia metrów pod ziemią, znajduje się kompleks odpowiednio wyposażonych pomieszczeń, przeznaczonych na siedzibę władz administracyjnych hrabstwa. – Pułkownik umilkł, czekając aż w sali zapanuje spokój.

– Ależ to są bunkry na wypadek ataku nuklearnego, czy czegoś w tym rodzaju!

– Przyznaję, że decyzja o wykorzystaniu tych pomieszczeń może się wydawać przesadzona, ale moi przełożeni uznali, iż nadarza się okazja do sprawdzenia ich przydatności.

– A więc w przyszłości tam się będziemy spotykać?

– Nie. Bezpośredni kontakt personelu medycznego z ośrodkiem dowodzenia zostanie przerwany. Zamiast tego moi ludzie zainstalują dodatkowe linie telefoniczne między zakładami wodociągowymi, a obydwooma szpitalami. Usprawni to łączność, a jednocześnie zapobiegnie przeciekom. Lekarze zaś nie będą musieli opuszczać swych chorych. Czy są jakieś pytania?

Nikt się nie zgłosił.

– W takim razie przekazuję głos doktorowi MacQuillanowi, który przedstawi nam aktualną sytuację.

MacQuillan włączył rzutnik, umieścił w nim slajd i sięgnął po wskaźnik.

– Oto – zaczął – prosty schemat rozprzestrzeniania się epidemii. Jak państwo widzą, ma on kształt piramidy, której wierzchołek stanowi pacjentka Myra Archer. – Bez wyraźnej potrzeby MacQuillan stuknął wskaźnikiem w prostokąt opatrzony inicjałami MA., a następnie sunął nim w dół mówiąc: – Przekazała ona chorobę swemu sąsiadowi, Leonardowi Cohenowi, on zaś niejakiemu Moranowi, pracownikowi administracji osiedla Palmer's Green. W rezultacie powstał łańcuch zakażeń, widoczny na schemacie jako ładna, pionowa linia. Wczoraj jednak sytuacja uległa zmianie. Moran zaraził nie tylko swoją żonę, ale także kochankę. Co najważniejsze, o istnieniu tej kobiety dowiedzieliśmy się zbyt późno. Zdażyła zarazić swoje dzieci i dziecko, które przypadkowo znalazło się w jej domu. W ten sposób podstawa piramidy znacznie się rozszerzyła. – MacQuillan wskazał poziomą linię na schemacie. – Na domiar złego, zachorowało czworo pracowników szpitala, którzy kontaktowali się z Myrą Archer. Wszyscy ci ludzie mają rodziny i przyjaciół, a w przypadku

dzieci, kolegów i koleżanki ze szkoły. Sytuacja w mieście jest, mówiąc ogólnie, niestabilna i stąd konieczność wprowadzenia kwarantanny. – MacQuillan skończył i o zabranie głosu poprosił Braithwaite’a. Lekarz urzędowy hrabstwa podniósł się i powłócząc nogami ruszył w stronę katedry. Saracen miał okazję stwierdzić, że niewiele zostało z pewnością siebie, czy wręcz arogancji, jaką Braithwaite prezentował na poprzednim zebraniu.

– Moi ludzie pracowali przez całą noc, próbując odizolować wszystkich, którzy mieli styczność z chorymi, przyjętymi wczoraj do szpitala. Mam nadzieję, że dotarliśmy do nich na czas, i że nikogo nie pominęliśmy, ale trudno w tym względzie o stuprocentową pewność.

– Jakie konkretnie działania podejmowane są wobec osób podejrzanych o kontakt z chorym? – odezwał się Beasdale.

– Jeśli chodzi o rodziny, to po prostu zalecamy nie opuszczanie mieszkania i czekanie na dalsze instrukcje. Pracownicy pomocy społecznej dostarczają im wszystko, co niezbędne do życia. Chodzi po prostu o to, żeby ci ludzie nie pojawiali się w miejscach publicznych. Najwięcej kłopotów mieliśmy, oczywiście, ze szkołą. Musieliśmy ją zamknąć i objąć kwarantanną rodziny wszystkich dzieci jednej z klas.

– Jak długo musi trwać taka kwarantanna?

– Osiem dni; to okres inkubacji choroby plus dwudniowy margines bezpieczeństwa.

– Przez ten czas tylko czekamy i obserwujemy, tak?

– Tak.

– Powiedzmy, że któraś z osób poddanych kwarantannie zachoruje. Czy to musi oznaczać katastrofę?

– Niekoniecznie – do rozmowy włączył się MacQuillan. – Prawdziwe zagrożenie stwarza niekontrolowany kontakt z chorym, a więc ludzie tacy jak kochanka Morana, o której istnieniu nie mieliśmy pojęcia. Takie osoby mogą roznosić chorobę po mieście dopóki same nie zachorują. Jeśli to się zdarzy, podstawa piramidy może rozszerzyć się do takiego stopnia, że nie będziemy w stanie izolować wszystkich, którzy mieli styczność z chorymi.

– I co wtedy?

– Zamkniemy wszystkie fabryki, szkoły i sklepy z wyjątkiem najniezbędniejszych i każemy ludziom pozostać w domach.

Po tych słowach w sali zapanowało długie milczenie.

– Czy nadeszły już ubrania ochronne? – zapytał wreszcie Saracen.

– Tak, dziś rano – odparł MacQuillan. – Personel oddziału izolacyjnego już ich używa. Pozostali otrzymają je do południa.

– Wojsko także?

– Moi ludzie już je mają – odrzekł Beasdale. – Ale ze względów nazwijmy to, propagandowych, nie będą ich nosić dopóki sytuacja nie stanie się krytyczna. Widok żołnierzy w kombinezonach ochronnych nie natchnie ludzi optymizmem.

– To samo dotyczyć policji – wtrącił komendant Carradyce.

Spotkanie dobiegło końca. Większość obecnych opuszczała salę. W końcu zostało około dwunastu osób; wśród nich Saracen. Siedział pochylony, oparty łokciami o drewnianą barierkę przed sobą i wpatrywał się w piramidę MacQuillana, nadal widoczną na ekranie. Bakteriolog zauważył to i podszedł do lekarza.

– I co pan o tym sądzi? – zapytał.

– To pan jest specjalistą – uśmiechnął się Saracen. – Niech pan powie, co pan sądzi?

MacQuillan zniżył głos.

– Zbyt wiele tu niewiadomych, by z sensownym prawdopodobieństwem przewidzieć dalszy rozwój sytuacji. To jak jazda samochodem pozbawionym hamulców. O tym, czy dojedziemy do celu, zadecydują bogowie.

– Może powinniśmy dokooptować do komisji chociaż jednego księdza?

– Albo astrologa.

Saithe zamknął drzwi i zwracając się do pozostałych w sali członków „sztabu generalnego” komisji zapytał:

– Czy jest jeszcze coś, co powinniśmy omówić zanim wrócimy do swoich obowiązków?

– Organizacja izby przyjęć dla oddziału izolacyjnego – powiedział Saracen. Następnie przedstawił propozycję wykorzystania pomieszczenia znajdującego się pod salą numer dwadzieścia.

– Myślę, że to dobry pomysł – rzekł Saithe. – Do czego obecnie służy to pomieszczenie?

Saracen opowiedział o składziku pustych butli i wspominał o swoich wątpliwościach odnośnie do szerokości schodów.

– Z tym nie będzie problemu, są wystarczająco szerokie – oznajmił Jenkins, administrator Szpitala Ogólnego – niski, ruchliwy człowieczek w okularach w złotej oprawie, znany ze swej słabości do koszul z kołnierzykami w odmiennym kolorze. Aktualnie miał na sobie ciemnoczerwoną koszulę z białym kołnierzykiem.

Saithe zlecił mu nadzór nad przystosowaniem składziku do potrzeb izby przyjęć. MacQuillan chciał wiedzieć, czy nie będzie kłopotów z dojazdem autobusów.

– Nie – odparł Saracen. – Między innymi dlatego wybrałem to pomieszczenie. Wychodzi na dziedziniec. Karetki będą mogły podjeżdżać pod same drzwi.

– Co z obsadą karetek?

– Dwa pojazdy zostaną wyłączone z normalnej służby i przeznaczone wyłącznie do przewozu chorych na dżumę. Po każdym wezwaniu będą odkażane. Ich załogę stanowią ochotnicy, wyposażeni w kombinezony i maski ochronne.

– Brzmi to całkiem nieźle – zauważył MacQuillan, wstając i szykując się do wyjścia. – Pod warunkiem, że liczba zachorowań nie przekroczy pewnego progu. Wtedy dwie karetki z załogami i garść pielęgniarek-ochotniczek nie wystarczą.

Saracen wrócił na Oddział Przypadków Nagłych i zatelefonował do sali numer

dwadzieścia. Dopiero za drugim razem udało mu się uzyskać połączenie i poprosić siostrę Rawlings.

– A kto mówi?

Saracen rozpoznał głos siostry Lindeman. Ta, jak zwykle na pierwszej linii, pomyślał.

– James Saracen.

– Jedną chwilkę, panie doktorze.

– James?

– Cześć. Jak się czujesz? – w głosie Saracena zabrzmiał czuły ton.

– Nie najlepiej. To wszystko jest takie przygnębiające – odparła Jill. – Tak niewiele możemy zrobić dla tych ludzi.

– Jak się czuje siostra Travers?

– Mary zmarła dwie godziny temu.

– Boże, strasznie mi przykro. Naprawdę, nie powinnaś brać teraz dyżuru.

– Co za sens siedzieć beczynn timer i zamartwiać się, skoro tu mogę się na coś przydać. Po prostu chciałabym, żebyśmy mogli zacząć leczyć naszych chorych. Jak na razie staramy się tylko ułatwić im umieranie.

– Wszyscy są w takim złym stanie?

– Bez wyjątku. Rano umarło troje dzieci, później Mary... Do wieczora umrą następni. Jeśli nikogo dzisiaj nie przyjmujemy, jutro sala będzie pusta.

– W jaki sposób zorganizowano wam pracę?

– Podzielono nas na dwie zmiany. Dyżur ma trwać dwanaście godzin. Przydzielono nam pokoje przylegające do dwudziestki. Będziemy mogły oglądać sobie telewizję i grać w warcaby. Wiesz zresztą jak to wygląda.

– Później wpadnę do ciebie.

Po chwili wahania Jill odparła:

– To chyba nie najlepszy pomysł.

– Dlaczego?

– Jak dotąd nie miałeś kontaktu z chorymi. Nie wiadomo, co będzie się działo w mieście. Może lepiej nie ryzykować bez potrzeby?

Saracen, acz niechętnie, musiał przyznać Jill rację.

– Uważaj na siebie – powiedział.

– Ty też.

Tego dnia i nocą, która po nim nastąpiła, w Skelmore nie zanotowano dalszych przypadków dżumy. Za wcześnie było na jakikolwiek optymizm, ale na porannym zebraniu komisji medycznej panowała nieco mniej napięta atmosfera. MacQuillan wymazał ze swojego schematu nazwiska zmarłych pacjentów, ale – i to było w tej chwili najważniejsze – nie dopisał nowych. Beasdale z zadowoleniem wysłuchał raportu Saithe'a i zapytał, czy mogą to być oznaki wygasania epidemii.

– Jeszcze za wcześnie na takie spekulacje – odparł Saithe.

Pojawiły się doniesienia o przypadkach agresywnego zachowania mieszkańców Skelmore w stosunku do stacjonujących na obrzeżach miasta żołnierzy. Na szczęście nie doszło do poważnego naruszenia porządku. Zwykle kończyło się na słownych utarczkach. Większość obywateli wprowadzenie stanu wyjątkowego przyjęła z humorem i wyrozumiałością, traktując to jako jeszcze jeden objaw szaleństwa rządzących. „Moim zdaniem to kompletny idiotyzm” – tak najczęściej komentowano ustanowienie kordonu sanitarnego; ale z reguły słowom tym towarzyszył uśmiech.

Saracen wziął sobie wolny wieczór, żeby zjeść kolację z Tremaine’em i jego siostrą. Nowi stażysci okazali się ludźmi godnymi zaufania i wystarczająco doświadczonymi, aby można ich było na pewien czas zostawić samych. Otrzymali jednak polecenie, by w razie najmniejszych kłopotów kontaktować się z Saracenenem. Mieszkanie Tremaine’a znajdowało się na tyle blisko szpitala, że można było korzystać z pagera.

Claire Tremaine powitała Saracena drinkiem na apetyt i tyradą na temat podłości władz, które zmuszają ją, by tkwiła w Skelmore. A ona tak chciała wyskoczyć do Londynu, „naładować akumulatory”!

– Jeszcze trochę i zwariuję w tej dziurze – oznajmiła.

– Daj spokój. Przecież uwielbiasz to miasto – drażnił się z nią Alan.

Claire chwyciła przynętę.

– Uwielbiam?! – zawołała. – Moi koledzy pracują w Grecji, w Egipcie, w Kolumbii, a ja grzebię się w skelmorskim błocie. Do diabła z takim interesem!

Saracen uśmiechnął się i zapytał jak idzie praca.

– Wcale nie idzie – odparła. – Zaczynamy podejrzewać, że ta mapa jest fałszywa. Nie natrafiliśmy na żaden ślad opactwa.

– Cierpliwości, siostrzyczko. Wiem, że wytrwałość nie jest twoją mocną stroną, ale spróbuj się zmobilizować – wtrącił Alan. Claire pokazała mu język.

Zjedli kolację i właśnie pili kawę, kiedy odezwał się pager Saracena.

– Złe wieści? – spytał Tremaine.

– Na Church Road autobus wjechał w tłum ludzi czekających na przystanku. Karetka jest już w drodze.

Claire wyglądała na zawiedzioną.

– O rany, czy to znaczy, że musisz już iść? – spytała.

– Myślę, że powinienem.

– Mam lepszy pomysł. Ty zostaniesz, a ja pójdę – oznajmił Tremaine.

Saracen wahał się, ale Claire nalegała, żeby przyjął propozycję brata. Kiedy ucichł warkot samochodu Tremaine’a, powiedziała:

– Nie lubisz polegać na innych, prawda, James?

Saracen był nieco zaskoczony.

– Dlaczego tak sądzisz?

Claire uśmiechnęła się na widok jego zmieszania.

– To widać – odparła. – Należysz do ludzi, którzy wszystko muszą zrobić sami. Teraz też cię korci, żeby pognać do szpitala.

Saracen przyznał w duchu, że Claire całkiem nieźle go rozszyfrowała.

– Mogą mnie potrzebować – rzekł tonem usprawiedliwienia.

– Nie, to nie to – pokręciła głową dziewczyna. – Nawet gdyby w Pogotowiu było w tej chwili dwudziestu lekarzy, czułbyś tak samo. Wielu ludzi nazwałoby to poświęceniem, ale ja sądzę, że jesteś zarozumiała.

– Zarozumiała?

– Tak. Uważasz, być może podświadomie, że jesteś najlepszy. Nikt nie wykona roboty tak dobrze jak ty. Bez ciebie nic się nie uda. No, powiedz, czy nie mam racji? – Claire przesiadła się bliżej Saracena.

– Po prostu sądzę, że...

Claire przysunęła się jeszcze bliżej.

– No, przyznaj się.

Saracen zamierzał protestować, ale w ostatniej chwili zrezygnował. Uśmiechnął się ze skrucą i powiedział:

– Niewykluczone, że trochę racji masz.

Claire tryumfowała.

– Jeszcze kawy?

– Proszę.

– Powiedz mi – odezwała się, wróciwszy z kuchni z dzbankiem kawy – co robisz w takiej dziurze jak Skelmore?

– Podoba mi się tutaj – mruknął Saracen, tonem wykluczającym dalszą rozmowę na ten temat.

Claire przyjrzała mu się uważniej i uśmiechnęła się, jakby rozbawiona jego drażliwością.

– Dziwny z siebie facet. Nigdy nie przyznasz, że ci na czymś zależy, prawda? Powiedz mi jeszcze coś. Jaka rolę odgrywa w twoim życiu Jill Rawlings?

– Jesteśmy przyjaciółmi.

– I kochankami?

– Lepiej pilnuj swoich interesów.

Claire zaśmiała się.

– Waśnie to robię. – Usiadła obok Saracena i końcami palców dotknęła jego dłoni. – Nie pytałam o Jill z czystej ciekawości. W tym trójkącie nie jestem stroną całkowicie nie zainteresowaną stanem twoich uczuć.

Saracen spojrział na nią zdziwionym wzrokiem. Nadal głaskała go po dłoni. Uśmiechnęła się i ruchem głowy odrzuciła włosy z twarzy.

– No – szepnęła – co ty na to?

– Musisz się strasznie nudzić, Claire – odrzekł Saracen – jeśli bawią cię takie gierki. Bo też co taka dama z Londynu mogłaby robić w tej, jak to nazwałaś, dziurze.

– Mylisz się. – Claire pokręciła głową, ale nie przestała się uśmiechać. – Podobasz mi się od chwili, kiedy cię poznałam.

Saracen miał wrażenie, że widzi przed sobą swoją byłą żonę, Marion. Ta sama pewność siebie, ta sama bezkompromisowość w dążeniu do zaspokajania kaprysów... Najgorsze jednak, że Claire budziła w nim podobne uczucia co Marion. Trudno mu było zachować obojętność, gdy przed oczyma miał jej krągłe biodra, rysujące się pod obcisłą sukienką z żółtego jedwabiu.

– Uważasz, że nie jestem atrakcyjna?

– Wiesz, że jesteś. Nie musisz mnie o to pytać. – Prawdę mówiąc, Saracen był zdania, że „atrakcyjna” to za słabe określenie.

– A więc o co chodzi? – w głosie Claire pojawił się ton łagodnej perswazji. Próbowwała zapanować nad jego wolą, niczym doświadczony hipnotyzer.

– Obawiam się, że to zabrzmi idiotycznie, ale nie lubię, kiedy się mnie wykorzystuje.

Claire wydeła usta i mruknęła.

– Rano nadal będę cię szanować.

Saracen roześmiał się.

Claire zrobiła poważną minę.

– Naprawdę – powiedziała łagodnie. – Pragnę cię.

Saracen pokręcił głową.

– Chodzi o Jill, tak?

– Może. Sam nie wiem.

– Naprawdę. Straszny z ciebie dziwak.

– Myślę, że będę się już zbierał.

Na widok Saracena wchodzącego na oddział, Tremaine uśmiechnął się, ale powstrzymał się od komentarzy.

– Jak leci – spytał Saracen.

– Panujemy nad sytuacją.

– Pomyślałem, że wpadnę w drodze do domu...

– Aha – mruknął Tremaine, z trudem kryjąc rozbawienie.

– Powiesz mi co się dzieje, czy mam to z ciebie wydusić?

– Nie było tak źle, jak to wynikało z pierwszych doniesień. Część ludzi, których widziano leżących na przystanku, po prostu zemdlą. Najpoważniejsze obrażenia odniosła pewna

sześćdziesięcioletnia kobieta: złamane obie nogi i kość biodrowa. Do tego jeden pacjent z pęknięciem czaszki, dwóch ze wstrząśnieniem mózgu i kilku z pomniejszymi obrażeniami. Jak ten tutaj. – Ruchem głowy Tremaine wskazał mężczyznę w średnim wieku ze świeżo zszutym rozcięciem powyżej łuku brwiowego.

– Bardzo dobrze. Bałem się, że to coś gorszego.

– Gdyby tak było, nie omieszkałbym cię zawiadomić – mruknął Tremaine, wracając do opatrywania pacjenta.

Saracen zrozumiał przytyk; życzył Alanowi dobrej nocy i wyszedł.

W mieszkaniu, jak zwykle, było przeraźliwie zimno. Nie zdejmując płaszcza Saracen zapalił gaz w kominku i nalał sobie szklankę whisky. Następnie rozebrał się i usiadł przed ogniem. Pociągnął łyżeczek trunku i zaczął zastanawiać się, czy przypadkiem alkohol nie odgrywa w jego życiu zbyt wielkiej roli; przynajmniej od pewnego czasu. Szybko jednak odrzucił tę myśl jako pozbawioną sensu, a w każdym razie nie na czasie.

Dla odmiany spróbował myśleć o Jill i Claire. Złościło go, że nie potrafi jasno określić stanu swoich uczuć. Tego jeszcze mu brakowało: problemów emocjonalnych. Do dzisiejszego wieczora był pewien, że udało mu się w końcu zapomnieć o Marion, i że prawie się zakochał w Jill Rawlings. Teraz jednak pojawiły się nowe wątpliwości. Jeszcze w tej chwili miał przed oczyma obraz ud i bioder Claire Tremaine... Zadzwoił telefon, gwałtownie sprowadzając go na ziemię.

– Doktor Saracen? Mówi Malcolm Jamieson. Dzwonię z Pogotowia. Policja ogłosiła właśnie czerwony alarm w związku z sytuacją w Palmer's Green.

– Co się stało? – zawołał Saracen. Czerwony alarm było to hasło kodu policyjnego, którym zawiadamiano szpitale o najpoważniejszych katastrofach: wypadkach kolejowych lub lotniczych, wielkich wypadkach drogowych, kiedy liczba przewidywanych ofiar była dwucyfrowa.

– Dokładnie nie wiadomo – odparł Jamieson. – Alarm ogłoszono piętnaście minut temu. Chwilę później odwołano go, a teraz, dosłownie przed minutą, ogłoszono ponownie. Pomyślałem, że lepiej pana zawiadomię.

– I nie wiadomo, o co w tym wszystkim chodzi? – zdziwił się Saracen.

– Początkowo była mowa o zatruciu gazem z niesprawnej instalacji, ale teraz nikt nic nie wie. Nie przywieziono jeszcze żadnych pacjentów.

– Już jadę. Proszę wezwać Tremaine'a.

– Tak jest.

Saracen odłożył słuchawkę. Telefon znów zadzwonił. Tym razem był to Saithe.

– Kłopoty w Palmer's Green.

– Właśnie dzwonił Jamieson. Co się dzieje?

– Wezwano policję, kiedy wyszło na jaw, że od rana nie można dostać się do budynku.

Policjanci wyważyli drzwi i wtedy okazało się, że wszyscy lokatorzy nie żyją. Dwadzieścia osiem trupów, w tym dozorca domu.

– Jak to się, na miłość Boską, stało?!

– Policja początkowo sądziła, że to skutek awarii instalacji gazowej. Ale kiedy przyjechała pierwsza karetka, sanitariusze od razu połapali się, że to nie gaz. Hemoglobina w krwi zmarłych nie uległa karboksylacji i zwłoki nie były różowe, ale czarne!

– Czarne!?

– Głęboka sinica we wszystkich przypadkach.

– Chce pan powiedzieć, że ci ludzie zmarli na dżumę? – Saracen miał kompletny mętlik w głowie.

– Na to wygląda, chociaż Bóg wie, jak to się stało. Szczęściem załoga ambulansu nie straciła głowy. Niczego nie dotykali, tylko poprosili przez radio o instrukcje. Budynek zostanie opieczętowany do chwili przeprowadzenia oględzin lekarskich.

– Kto ma to zrobić? – spytał Saracen.

Saithe się zawahał.

– O to właśnie chodzi. Oczywiście pojedzie doktor MacQuillan, ale myślę, że powinien mu towarzyszyć ktoś od nas. Nie udało mi się złapać Braithwaite’a, a sam w tej chwili nie bardzo mogę. Pomyślałem, że może pan...

– Zgoda. Jaki jest plan?

Saithe wyraźnie odzyskał pewność siebie.

– Policja wysłała do Palmer’s Green swój wóz sztabowy. Urządzili w nim ruchomy punkt dowodzenia. Tam spotka się pan z doktorem MacQuillanem. Autem policyjnym dostarczą wam ubrania ochronne.

– W porządku. Wszystko jasne. – Saracen odłożył słuchawkę. Szkoda było czasu na dalszą rozmowę z Saithe’em. Poszedł do łazienki, obmył twarz zimną wodą i energicznie rozmasował sobie uszy i szyję ręcznikiem. Czuł się zupełnie trzeźwy, chociaż pamiętał o wypitych w ciągu wieczora drinkach.

MacQuillan czekał już na niego w policyjnym furgonie. Uśmiechnął się, zobaczywszy kogo przysłano mu do pomocy.

– Jak pan sobie załatwił tę fuchę? – spytał.

– Zawsze miałem szczęście.

– Kombinezony gotowe – w drzwiach stanął umundurowany policjant. Lekarze przeszli za nim do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie wdziali białe kombinezony ochronne. Przed włożeniem maski MacQuillan udzielił policjantom instrukcji co do sposobu dokonania dekontaminacji. Kiedy on i Saracen opuszczą budynek, ich kombinezony mają być spryskane bardzo silnym środkiem odkażającym, przywiezionym ze szpitala razem z ubraniami.

– Gotów? – Bakteriolog spojrzał na Saracena.

Ten skinął głową, po raz ostatni sprawdził zamocowanie maski i pomaszerował za

MacQuillanem przez podwórze, w kierunku wejścia do bloku. Nie tak dawno był tutaj, aby opowiedzieć Archerowi o okolicznościach śmierci jego żony. Zastanawiał się czy Archer jest wśród zmarłych. Miał przeczucie, że tak.

W budynku nie było światła, bo podejrzewając awarię instalacji gazowej, policja odcięła dopływ prądu. Lekarzy wyposażono więc w silne latarki; policjanci zwlekali z przywróceniem zasilania do chwili, gdy zostanie stwierdzone ponad wszelką wątpliwość, że w gmachu nie ma gazu lub toksycznych czy łatwopalnych oparów.

Drzwi wejściowe nosiły ślady wyłamania łomem, lub innym podobnym narzędziem. MacQuillan pchnął je i weszli do środka. Drzwi zatrzasnęły się za plecami Saracena, odcinając ich od szumu ulicy. Wewnątrz panowała ciemność i niesamowita cisza; niczym w grobie, pomyślał Saracen. MacQuillan wskazał w prawo, ku wylotowi korytarza. Ruszyli w tamtym kierunku.

Zatrzymali się przed drzwiami pierwszego mieszkania. Saracen czekał cierpliwie, aż MacQuillan wyjmie klucz uniwersalny, który otrzymali od policji. Na koniec drzwi stanęły otworem; weszli do mieszkania. W sypialni odkryli dwa ciała. Kobiety i mężczyzny w wieku około sześćdziesięciu lat. Oboje leżeli w łóżku. Oczy kobiety były zamknięte; mężczyzna martwym wzrokiem wpatrywał się w sufit. MacQuillan zsunął z nich kołdrę, odsłaniając ciała. Wystarczyło szybkie, pobieżne badanie. Nie było wątpliwości. Dżuma.

12.

Rozdzielili się. Saracen sprawdzał mieszkania na pierwszym piętrze, a MacQuillan kontynuował badanie parteru. Wszędzie było to samo: ciemność, milczenie i śmierć. Większość ciał znajdowali w łóżkach; ludzie kładli się, kiedy poczuli się źle i już nie wstawali. Kilka osób umarło gdzie indziej. Pewien mężczyzna skonał przewieszony przez krawędź wanny. Saracen oglądał go właśnie, kiedy zapaliło się światło. Cofnął się odruchowo, uderzony widokiem krwawych wymiocin rozbryźniętych na białej emalii.

Archer umarł w fotelu, tym samym, w którym siedział, przyjmując Saracena. Najwyraźniej próbował zwalczać objawy choroby alkoholem; obok fotela leżała butelka po whisky, którą musiał przewrócić wstrząsany drgawkami agonii. Rozlany alkohol utworzył ciemną plamę na dywanie. Saracen czuł zapach whisky, który jakimś sposobem przenikał przez pochłaniacz maski.

Zauważył, że Archer trzyma coś w ręku. Z początku myślał, że to książka, ale przyjrzawszy się bliżej odkrył w dłoni zmarłego starą, oprawioną w ramkę fotografię. Wyjął ją spomiędzy zaciśniętych palców. Przedstawiała młodą parę w weselnym stroju. W szczupłym młodzieńcu Saracen rozpoznał Archera. Domyślił się, że roześmiana dziewczyna, którą ten trzymał w ramionach, była jego żoną. Tak wyglądała Myra Archer, kobieta, która sprowadziła na Skelmore koszmar Czarnej Śmierci. Na tym zdjęciu wydawała się bardzo młoda i beztroska; promienna – tak napisałby dziennikarz prowadzący rubrykę towarzyską. I rzeczywiście, takie właśnie robiła wrażenie. Saracen delikatnie wsunął zdjęcie w sztywniejącą dłoń Archera i złożył ją na kolanach trupa. Tych dwoje już na zawsze wróciło do Skelmore.

Saracen i MacQuillan stali bez ruchu przed budynkiem, a policjanci w gumowcach i kombinezonach spryskiwali ich środkami dezynfekującymi. Wyplątawszy się wreszcie z plastikowego kokonu, Saracen głęboko odetchnął nocnym powietrzem. Ktoś wcisnął mu w rękę kubek z gorącą herbatą. Po długim oddychaniu przez maskę miał niezwykle wyostrzony zmysł powonienia. Tyle zapachów! Woń nocy, trawy, deszczu, czyjegoś płynu po goleniu,

herbaty, pasty do butów...

– Nie sądziłem, że kiedykolwiek zobaczę coś takiego – powiedział MacQuillan, masując głowę w miejscu, gdzie uciskał ją pasek maski. Saracen wyplukał usta herbatą i wypluł ją na ziemię.

– Jak to się, do diabła, mogło stać?

– Nie mam pojęcia. Wszyscy zarazili się w tym samym czasie i prawie jednocześnie umarli; to jakiś absurd!

– Ale tak było.

– To musi mieć jakieś związkek z Archerami. – MacQuillan myślał na głos. – Tutaj przecież mieszkali. Każde inne wytłumaczenie byłoby zbyt naciągane.

– Zgadzam się, ale Myra Archer umarła trzy tygodnie temu, a jej mąż nie zdradzał najlżejszych objawów choroby.

MacQuillan zastanawiał się przez chwilę.

– Załóżmy, że Timothy Archer był jednak zarażony, ale brał tetracyklinę przeciw, powiedzmy, zapaleniu oskrzeli. Wiemy, że ten lek spowalnia rozwój choroby, a więc teoretycznie Archer mógł roznieść ją po całym domu.

– Owszem, to chyba możliwe – bez przekonania przytaknął Saracen. – Ale jestem prawie pewien, że nie brał żadnych leków. A poza tym, jak mógł zarazić wszystkich lokatorów bloku naraz?

MacQuillan wzruszył ramionami.

– Może miało miejsce jakieś zebranie mieszkańców, na którym wszyscy byli obecni. Jeśli zdarzyło to się w okresie, kiedy Archer był szczególnie groźny dla otoczenia, nie jest wykluczone, że zarazili się wszyscy naraz.

Saracen nadal miał wątpliwości, ale musiał przyznać, że taka możliwość istniała. Znał nawet powód do zwołania hipotetycznego zebrania lokatorów.

– Skarżyli się na stałe niedogrzanie mieszkań.

– No, widzi pan – rzekł MacQuillan, zadowolony, jakby znalazł potwierdzenie swojej teorii.

– Wszystko to nie wyjaśnia jednak dlaczego zakażenie było tak silne i dlaczego wszyscy umarli niemal jednocześnie.

– Istotnie – zgodził się bakteriolog. – Nie wyjaśnia.

– Przepraszam panów. – Do lekarzy zbliżył się inspektor policji. – Chodzi o ciała; musimy je stąd zabrać.

– Budynek trzeba najpierw poddać fumigacji, odkażeniu dymem, a ciała umieścić w plastikowych workach. Dopiero wtedy będzie można je ruszyć – rzekł MacQuillan.

– Potem trzeba przygotować wszystko do pogrzebu...

– Za dużo zwłok – rzucił MacQuillan. Wyglądało na to, że nie zamierza dodać żadnych wyjaśnień.

– Obawiam się, że nie bardzo rozumiem – z nieszczęśliwą miną wystękał policjant.

Saracen czuł, że MacQuillan z trudem panuje nad sobą. Teraz odwrócił się do inspektora, jakby zamierzał nań wrzasnąć, ale powstrzymał się w ostatniej chwili.

– Ciało jest zbyt wiele – powiedział ochrypłym głosem. – Trzeba się ich pozbyć wszystkich naraz.

– Myślisz pan o zbiorowym grobie? – z niedowierzaniem spytał policjant.

– Dokładniej: o zbiorowej kremacji.

– Ale krewni... – tonem sprzeciwu zaczął inspektor.

– Najważniejszą rzeczą jest pozbycie się tych zwłok w możliwie najkrótszym czasie i w możliwie czysty sposób – przerwał mu MacQuillan. – Reszta się nie liczy.

– Nie wydaje mi się, żeby to było w porządku – mruknął policjant.

– Może uda się zorganizować jakieś nabożeństwo żałobne – wtrącił Saracen. Widział, że MacQuillan zaraz wybuchnie i próbował rozładować sytuację.

Inspektor wydawał się zadowolony z tego pomysłu. Tymczasem MacQuillan oznajmił:

– Mogą odprawić swoje czary-mary, ale najpierw mają spalić te zwłoki. – Odwrócił się na pięcie i zniknął w drzwiach furgonu.

– Bezduszny sukinsyn – mruknął inspektor.

– Jemu też nie jest lekko – powiedział Saracen. Martwiła go nie tyle obojętność, czy bezduszność MacQuillana, co wyraz jego twarzy w chwili, gdy opuścili budynek.

Bakteriolog wyszedł z wozu sztabowego.

– Udało mi się skontaktować z Braithwaite'em. Jego ludzie zajmą się fumigacją; zwłoki usunie wojsko.

– Jak to: wojsko? – zawołał inspektor.

– Nie macie przecież w Skelmore dwudziestu ośmiu karawanów – odparł MacQuillan, niepotrzebnie, zdaniem Saracena, z przekąsem. – Żołnierze zapakują zwłoki i wywiozą je ciężarówkami.

– Nie wiem, czy będziemy mieli odpowiednie worki – zauważył policjant.

– Wojsko ma ich pod dostatkiem – rzucił MacQuillan. – Plastikowe worki na zwłoki, takie, jakich używali na Falklandach.

– Ale gdzie złożą tyle ciał?

– Nigdzie ich nie będą składać. Zawiozą je prosto do krematorium.

Inspektor nic nie powiedział, ale na znak dezaprobaty westchnął głośno i odwrócił głowę. To wystarczyło, by wyprowadzić MacQuillana z równowagi.

– Zrozum pan! – rzekł podniesionym głosem. – Temu miastu grozi katastrofa o niewyobrażalnych skutkach. Z dumą nie ma żartów. Jeśli coś pan sknocisz, zabije pana, pańską żonę i dzieci.

Saracena zaniepokoił ton wypowiedzi bakteriologa. Ten człowiek nie tylko znajdował się u kresu wytrzymałości nerwowej. Wydawał się także autentycznie przerażony.

Inspektor pośpiesznie wycofał się z dyskusji. Przybrał urzędową minę i oświadczył:

– W porządku, sir. Moi ludzie zostaną tutaj do przybycia wojska.

MacQuillan skinął głową i zwrócił się do Saracena:

– Nie będzie mi pan dłużej potrzebny. Niech pan idzie do domu. Zobaczymy się rano.

Pierwsza myśl Saracena po wejściu do mieszkania dotyczyła whisky. Oparł się jednak pokusie. Włączył czajnik, wsypał do kubka łyżeczkę rozpuszczalnej kawy, i czekając, aż zagotuje się woda, poszedł do bawialni. Chwilę przebierał w swojej kolekcji płyt, wreszcie zdecydował się na Schumanna. Pił potem kawę, wsłuchując się w tony schumanowskiego „Marzenia” i rozmyślał. Dwadzieścia osiem trupów i ten wyraz twarzy MacQuillana... Poczł dziwną pustkę w żołądku. Wstał z fotela i podszedł do okna. Znow zaczęło padać.

W chwilę po przybyciu na poranne spotkanie Saracen zorientował się, że zdarzyło się coś złego. Saithe siedział skulony za stołem prezydyjnym; Braithwaite wyglądał tak, jakby nie spał przez całą noc. MacQuillan wydawał się zdenerwowany i przygnębiony. Głos zabrał Saithe.

– Nie licząc tragedii w Palmer’s Green, w nocy odnotowaliśmy osiem kolejnych przypadków dżumy. Chorzy ci zostali przyjęci na oddział izolacyjny Szpitala Okręgowego. Kierownictwo Okręgowego zgodziło się przyjmować ofiary epidemii do chwili, gdy w Ogólnym zostanie uruchomiona nowa izba przyjęć. Przewidujemy, że nastąpi to dzisiaj po południu.

– Skąd pochodzili ci nowi chorzy? – zapytał Saracen.

– Wszyscy mieszkają w osiedlu Maxton.

– Czy kontaktowali się ze znanymi nam chorymi?

Saithe zwlekał z odpowiedzią. Wreszcie odetchnął głęboko i rzekł:

– Czterech z nich, owszem. Pozostali nie.

– A więc znow musimy szukać – stwierdził Saracen. – Jakie są szanse odnalezienia tych nowych zarażonych?

– W obecnej sytuacji, żadne.

– Nie rozumiem. – Saracen był zdziwiony jawną bezradnością Braithwaite’a.

– Otrzymaliśmy złe wiadomości. – Odezwał się MacQuillan. – Laboratorium w Porton Down ustaliło, że używana przez nas szczepionka jest nieskuteczna w przypadku szczepu Skelmore.

– W tych okolicznościach nie mogę prosić ludzi o kontynuowanie pracy bez żadnego zabezpieczenia – dodał Braithwaite.

– Nie, oczywiście, że nie – mruknął Saracen.

Zapadło milczenie. Przerwał je administrator szpitala.

– I co teraz?

– Wprowadzamy powszechną kwarantannę. Zamkniemy wszystkie szkoły, sklepy i zakłady przemysłowe, z wyjątkiem niezbędnych do funkcjonowania infrastruktury miasta. Ludziom każemy, by nie opuszczali domów. W razie potrzeby, będziemy egzekwować te zarządzenia przy pomocy policji i wojska.

– Czy Porton Down pracuje nad nową szczepionką? – spytał Saracen.

– Oczywiście; nad surowicą odpornościową także. Ale to trochę potrwa.

– Czy pułkownik Beasdale wie o tym wszystkim? – zwrócił się Saracen do Saithe’a.

– Już mu powiedziałem. Właśnie czekam na odpowiedź.

Niebawem za pośrednictwem wojskowej linii telefonicznej Beasdale zawiadomił ich o swoich decyzjach. Zgodnie z sugestiami doradców medycznych ogłosił wprowadzenie w Skelmore ścisłej kwarantanny. W południe wchodziły w życie przepisy nakazujące zamknięcie szkół, kin, większości zakładów przemysłowych i sklepów. Mieszkańcom Skelmore zasugerowano, by przebywali w domach, chociaż na razie zalecenie to nie miało formy nakazu. Zabroniono natomiast wszelkich publicznych zgromadzeń.

O jedenastej trzydzieści treść nowych zarządzeń miała zostać podana do wiadomości publicznej przez lokalną rozgłośnię radiową. Od tej chwili programy radiowe zawierać miały wyłącznie oficjalne komunikaty i porady dla ludności związane z sytuacją w mieście. Na wszelkie pytania można uzyskać odpowiedź pod numerem telefonu radiostacji, gdzie dyżurować będzie zespół złożony z przedstawiciela wojska, dwóch urzędników miejskich i lekarza naczelnego Szpitala Okręgowego.

– Czy są jakieś pytania? – zapytał na koniec Beasdale.

– Czy pańskich ludzi poinformowano, że szczepionka którą dysponujemy jest nieskuteczna? – odezwał się Saracen.

– Pośrednio – odparł Beasdale. – Odwołałem rozkaz dotyczący używania odzieży ochronnej. Od tej chwili żołnierze pełniący służbę w mieście będą ubrani w kombinezony. Ogłosimy, że chodzi o rutynowe sprawdzenie elementów wyposażenia wojskowego. To powinno uspokoić mieszkańców.

– Jeśli będą na tyle głupi, żeby w to uwierzyć – zauważył MacQuillan.

– Sądzi pan, że nie uwierzą?

– A pan by uwierzył?

– Prawdopodobnie niepozbawionym wyrazu głosem stwierdził pułkownik. – Ale takie są moje rozkazy.

Saracen uśmiechnął się ze zrozumieniem. Jedwabne rękawiczki na dłoniach nie przeszkadzały Beasdale’owi huknąć pięścią w stół.

– A teraz, panowie – ciągnął pułkownik – proszę o wyjaśnienie. Poznałem już fakty i cyfry. Dwadzieścia osiem osób zmarło w jednym domu. Tej samej nocy przyjęto do szpitala ośmiu nowych chorych. Chciałbym wiedzieć, co się dzieje.

W imieniu zebranych głos zabrał MacQuillan:

– Nas także zaskoczyło to, co się stało w Palmer’s Green. Rozumując zgodnie z zasadami epidemiologii nie mogliśmy przewidzieć takiego rozwoju wydarzeń. Myślę, że tę sprawę musimy uznać za tragiczny przypadek, skutek wyjątkowego zbiegu okoliczności. Jesteśmy prawie pewni, że miało to jakiś związek z Archerami, ale nie znamy jeszcze mechanizmu rozprzestrzeniania się zakażenia. Zresztą jest to w tej chwili problem czysto teoretyczny. Bardziej powinien martwić nas fakt, że czworo z nowo przyjętych chorych nie figurowało na liście znanych nam osób, które miały kontakt z zarażonymi. Oznacza to, iż możemy spodziewać się dalszych zachorowań.

– Czy straciliśmy panowanie nad sytuacją? – zapytał wprost Beasdale.

– Nie – odparł MacQuillan.

– A panujemy nad nią?

– Nie.

– Czy określenie „chwijna równowaga” odpowiada aktualnemu układowi sił?

– Jak najbardziej.

– Dziękuję panu. Proszę na bieżąco informować mnie o rozwoju wypadków. Proszę mnie też zawiadomić, kiedy Ogólny będzie gotów do przyjęcia kolejnych chorych. Zgoda? – Oczywiście – odpowiedział Saithe.

O drugiej Saracen obejrzał nowo otwartą izbę przyjęć. Towarzyszył mu Jenkins, administrator szpitala. Pomieszczenie było urządzone funkcjonalnie i czysto. Wszędzie wisiały tabliczki zabraniające wstępu osobom nie upoważnionym. Zgodnie z tym, co obiecywał Jenkins, schody były wystarczająco szerokie, aby pomieścić nosze.

– Wygląda na to, że wszystko gra – stwierdził Saracen.

– A więc Ogólny może ruszać do boju.

Jenkins odszedł, a Saracen zadzwonił do Mossa, aby osobiście zawiadomić go o uruchomieniu nowego obiektu.

– Cholera, w sama porę – westchnął Moss.

– Wiedziałem, że się ucieszysz. Co słyszać?

– Dziś rano przyjęliśmy trzech.

– Z kim mieli styczność?

– Z nikim z listy Braithwaite’a.

– Fatalnie.

– Żeby nie powiedzieć gorzej.

– Słyszałeś o szczepionce?

Moss odparł, że owszem, słyszał.

O czwartej po południu miasto wyglądało jak wymarłe. Były to skutki wejścia w życie zarządzeń pułkownika Beasdale’a. O tej właśnie porze Saracen otrzymał sygnał, że do

Szpitala Ogólnego zostanie przyjęty pierwszy pacjent podejrzany o zakażenie dżumą. Ambulans był już w drodze. Nazwisko pacjenta, czterdziestopięcioletniego mężczyzny, nie figurowało na liście Braithwaite'a. Stwierdziwszy to, Saracen zaklął pod nosem. Następnie włożył ubiór ochronny i skierował się do izby przyjęć. Towarzyszyła mu tylko jedna pielęgniarka, także w ochronnym kombinezonie i masce.

Karetka zatrzymała się tuż przed oszklonymi drzwiami nowej izby przyjęć. Sanitariusze-ochotnicy, niezgrabni w swoich plastikowych strojach, położyli pacjenta na wózku i wwieźli go do środka. Odstąpili od noszy, czekając, aż Saracen zbada chorego. Nie zajęło mu to dużo czasu. Jego obawy, że trafi na jakiś nietypowy przypadek, że będzie miał kłopoty z postawieniem diagnozy – okazały się bezpodstawne. Oto miał przed sobą niemal podręcznikowy przypadek dżumy płucnej.

Skinął na sanitariuszy i ci – wbrew normalnie obowiązującej procedurze – odwieźli chorego do sali izolacyjnej. Uniknęło się w ten sposób konieczności poszukiwania ochotników wśród personelu niewykwalifikowanego, a konkretnie portierów, którzy zwykle wykonywali tę pracę. Saracen był w pewnym sensie zadowolony, że pacjent jest zbyt chory, by zdawać sobie sprawę, co się wokół niego dzieje. Widok masek ochronnych, kombinezonów, czerwonych tablic ostrzegawczych, nie podniósłby go na duchu.

Do godziny ósmej wieczorem Szpital Ogólny przyjął na oddział izolacyjny sześciu pacjentów. Dalszych dwóch trafiło do Okręgowego.

Następnego dnia wypadł piątek. O dziewiątej trzydzieści, kiedy to odbyło się kolejne posiedzenie komisji, w sali numer dwadzieścia przebywało czternastu pacjentów. Na oddziale izolacyjnym Szpitala Okręgowego było ich dwudziestu dwóch.

MacQuillan zjawił się blady i roztrzęsiony.

– Nie rozumiem, nic z tego nie rozumiem – żalił się. – Przecież na liście Braithwaite'a nie ma nawet tyłu nazwisk! Wygląda na to, że w mieście znajduje się Bóg wie ilu zarażonych, o których nie mamy pojęcia.

– A propos, co się dzieje z doktorem Braithwaite'em? – Saithe spojrział na zegarek.

– Słyszałem, że nie czuje się dobrze – odparł MacQuillan a spostrzegłszy, że niektórzy z zebranych zareagowali na jego słowa dziwnymi minami, dodał: – Nie, nie, jest po prostu przepracowany.

– Musimy zdecydować, co powiedzieć pułkownikowi Beasdale'owi – oznajmił Saithe. – Nie ma wątpliwości, że sytuacja uległa pogorszeniu.

Nikt nie zakwestionował tej diagnozy.

– Dysponując taką jak obecnie liczbą personelu (mówię o ochotnikach), oba nasze szpitale są w stanie przyjąć około stu dziesięciu pacjentów. Wydaje się rzeczą pewną, że najpóźniej za trzy dni będziemy ich mieli znacznie więcej.

– Trzeba, oczywiście, wziąć poprawkę uwzględniającą tempo rotacji pacjentów – wtrącił

Saracen.

Jenkins już miał zapytać, co to znaczy, ale Saithe uprzedził jego pytanie:

– Doktor Saracen chce powiedzieć, że za trzy dni większość chorych w tej chwili przebywających w szpitalach umrze. Rotacja poniekąd ograniczy wzrost liczby chorych.

– Czy nie będzie problemów ze zwłokami? – spytała Olive Riley, przełożona pielęgniarek.

– Jeśli nawet, siostró, nic nam do tego – odparł Saithe. – Ośmielam się sądzić, że pułkownik Beasdale poradzi sobie z tym problemem. – Tu Saithe przypomniał zebranym, że muszą uzgodnić treść komunikatu, jaki przekażą pułkownikowi.

– Proszę mu powiedzieć, że sytuacja pogorszyła się, ale jeszcze nie wymknęła nam się spod kontroli – zaproponował MacQuillan.

– Nie ma sprzeciwu? – spytał Saithe.

Nikt się nie odezwał.

Saithe złożył meldunek Beasdale'owi. Zapytany o rokowania na najbliższą przyszłość, odrzekł:

– Trudno powiedzieć. Zanim zaczną się polepszać, może być jeszcze gorzej.

– A kiedy zaczną się polepszać?

– Nie umiem powiedzieć.

Z opresji wybawił Saithe'a MacQuillan, pytając:

– Jaka jest sytuacja w mieście, pułkowniku?

– Po wczorajszym zaostrzeniu przepisów kwarantanny wzrosła liczba chętnych do opuszczenia Skelmore. Moi ludzie, oczywiście, ich zawrócili, ale to nie poprawiło atmosfery. Straciliśmy sympatię ludności, ale obawiam się, że to było nieuniknione. Ludzie zaczynają się bać. To małe miasto. Wiadomości szybko się tu rozchodzą. W tej chwili wszyscy mówią o stosach trupów, zbiorowych mogiłach i tak dalej.

– Może pomogłoby ogłoszenie jakiegoś apelu przez radio? – podsunął Jenkins. – Trzeba ludziom dodać odwagi.

– Z tym dodawaniem odwagi też nie można przesadzać – odparł Beasdale. – Pomijam fakt, że krążące po mieście plotki są w zasadzie zgodne z prawdą. Chodzi o to, że strach działa na naszą korzyść. Ludzie przestrzegają zarządzeń w obawie o własną skórę. Nie chcę wprowadzać godziny policyjnej, czy oczyszczać ulic; zresztą to i tak pewnie by się nie udało. Musimy dążyć do zapewnienia sobie dobrowolnej współpracy mieszkańców Skelmore. Strach może nam w tym dopomóc. Musimy jednak dobrze wyważyć swoje działania: przyciśniemy za mocno – wywołamy panikę; za słabo – napotkamy na jawny opór.

– Całe to cholerne miasto tańczy na linie – mruknął MacQuillan.

– Miejmy nadzieję, że nic nie zakłóci jego równowagi – rzekł Beasdale.

Wyznaczona przez Saithe'a teoretyczna granica stu dziesięciu pacjentów została

przekroczona jeszcze tego samego dnia około siódmej wieczorem. O ósmej Saracen musiał zażądać pomocy wojska do przewożenia pacjentów. Załogi ambulansów goniły resztkami sił. Z ciężkim sercem przyglądał się, jak przed drzwiami izby przyjęć podjeżdża pierwsza wojskowa ciężarówka z ofiarami epidemii – czwórką mieszkańców osiedla Maxton.

Żołnierze, w plastikowych kombinezonach i maskach przeciwigazowych podobni do przybyszów z obcej planety, przekazali swój ładunek i odjechali bez słowa. Saracen patrzył za nimi takim wzrokiem, jakim rozbitek żegna statek niknący za linią horyzontu. Wzdrygnął się mimowolnie i wrócił do swoich pacjentów.

O dziewiątej dyżur w izbie przyjęć oddziału izolacyjnego miał przejąć Tremaine. Za piętnaście dziewiąta Saracen zadzwonił do sali numer dwadzieścia i poprosił Jill. Kiedy odezwała się, w jej głosie wyczuł znużenie.

– Co słyhać? – zapytał.

– Sala jest przepełniona; dosłownie nie ma się gdzie ruszyć. Ale o tym pewnie już wiesz... Od początku mojego dyżuru umarło siedemnaście osób. Pozostali czekają na swoją kolej, a my nie możemy nic zrobić. Mój Boże, wszędzie tylko krew i wymiociny...

– Niedługo będzie lepiej – łagodnie powiedział Saracen. – Lada moment przywiozą surowicę.

– Mam nadzieję. Nie wiem, czy długo wytrzymam... – głos Jill załamał się; Saracen też czuł, że coś ścisza mu gardło, ale próbował ją pocieszyć. Zapytał o siostrę Lindeman.

– Ta kobieta to prawdziwy anioł – odparła Jill. – Ona chyba wcale nie odpoczywa. Stale przy chorych. Jeśli ktoś umiera, nawet jeśli prawie nie ma kontaktu z otoczeniem, siostra Lindeman stara się, żeby nie czuł się opuszczony. Któraś z nas musi być przy każdym umierającym i najczęściej jest to właśnie ona. Nie wiem, w jaki sposób jeszcze się trzyma.

– Spróbuj ją przekonać, że powinna choć trochę odpocząć.

– Próbowałam. Bez skutku.

– Uważaj na siebie.

– Ty też.

Tremaine zjawił się punktualnie. Powiedział, że w drodze do szpitala dzwonił na Oddział Przypadków Nagłych.

– Co u nich słyhać? – spytał Saracen.

– Spokój. Mniej ludzi na ulicach, mniej bójek i wypadków. A poza tym, nikomu w tej chwili nie śpieszy się do szpitala.

Wysłuchawszy sprawozdania Saracena odnośnie do sytuacji na oddziale izolacyjnym, Tremaine spuścił głowę i powiedział przyciszonym głosem:

– Wiesz, aż do tej chwili nie brałem pod uwagę możliwości, że przegramy tę walkę. Czy wyobrażasz sobie, co by się działo, gdybyśmy całkowicie stracili kontrolę nad sytuacją?

– Nie wiem – odparł Saracen. – Po prostu nie mam pojęcia. Ja też nie potrafię sobie tego wyobrazić. – Odwrócił się i odszedł do szatni, żeby wziąć prysznic i przebrać się przed

wyjdę do domu.

O trzeciej trzydziści nad ranem wyrwał go ze snu pisk pagera. Chwilę później usłyszał w słuchawce głos Jamiesona. Stażysta meldował, że do Pogotowia przywieziono grupę ludzi z ranami postrzałowymi.

– Jak to się stało?

– Próbowali opuścić Skelmore i wojsko otworzyło ogień.

Saracen zaklął.

– Nigdy nie miałem do czynienia z ranami tego rodzaju, więc pomyślałem, że lepiej zadzwonię do pana... – mówił Jamieson.

– Już jadę – przerwał mu Saracen.

W poczekalni Oddziału Przypadków Nagłych panowała atmosfera powszechnego oburzenia na wojsko.

– Faszyci, sukinsyny! – warczał mężczyzna z przestrzelonym udem.

– Ludzie, jak Boga kocham, jesteśmy przecież w Anglii! – żalił się inny.

– A ja wam powiadam, że to są Ruski! – oznajmiła gruba kobieta, kiwając głową z miną osoby, którą niełatwo wyprowadzić w pole. – Napadli nas Ruski. Dlatego noszą te głupie ubrania. Żebyśmy ich nie poznali.

Saracen nie wtrącał się do rozmowy, by nie dolewać oliwy do ognia, za to przystąpił z Jamiesonem do czyszczenia i opatrywania postrzałów. Nie miał wielkiego doświadczenia w tym względzie, ale zorientował się, że nie są to rany spowodowane przez pociski o dużej energii. Przy tym wszyscy ranni mieli uszkodzone dolne kończyny, co znaczyło, że żołnierze starali się nie wyrządzić im zbyt wiele krzywdy.

Niemniej sam fakt zaistnienia takiej sytuacji budził niepokój. Saracen zastanawiał się, jakie są nastroje w mieście. Wybuch społecznego niezadowolenia groził powszechnym chaosem. Radio nadawało uspokajające komunikaty, zapewniając obywateli Skelmore, że niebawem dostarczona zostanie surowica, i wzywając do zachowania spokoju. Dzięki Bogu takich pyskaczy nie było wielu. A rano spodziewano się wiadomości z Porton Down. Oby pomyślnych.

Saracen przybył na spotkanie jako jeden z pierwszych. Na sali zastał już MacQuillana, zajętego uzupełnianiem swojego schematu rozprzestrzeniania się epidemii. Bakteriolog był nie ogolony, bez marynarki. Na widok Saracena rzucił długopis i przetarł zmęczone oczy.

– Szkoda czasu – powiedział. – To już nie ma sensu. Ci ludzie nie znają się nawzajem, nie mieszkają blisko siebie, nie pracują razem, nie mają wspólnych znajomych, a mimo to wszyscy złapali dżumę. Niepotrzebnie zwracałem sobie głowę tymi schematami...

– Są jakieś wieści z Porton Down?

– Nic a nic.

– Bodaj to wszyscy diabli – mruknął Saracen. Opowiedział MacQuillanowi o niedoszłych uciekinierach. Do sali zaczęli napływać pozostali uczestnicy narady.

– Po spotkaniu jeszcze raz zadzwonię do Porton – powiedział bakteriolog.

Saithe otworzył zebranie.

– Na początek dane liczbowe – rzekł. – Mimo, iż w nocy zmarło trzydziestu dziewięciu chorych, obecnie w obu szpitalach mamy stu dwudziestu pacjentów z rozpoznaniem dżumy.

– Z tego wniosek, że wprowadzenie ścisłej kwarantanny niczego nie zmieniło – zauważył Jenkins.

– Tego dowiemy się dopiero za cztery dni – odparł Saithe, a uchwyciwszy zdziwione spojrzenie Jenkinsa, wyjaśnił: – Okres inkubacji choroby wynosi maksimum sześć dni. Chorzy przyjęci do szpitala wczoraj ulegli zakażeniu przed wprowadzeniem ścisłej kwarantanny. Podobnie będzie z przyjmowanymi dzisiaj i jutro. Możemy spodziewać się spadku liczby zachorowań dopiero po upływie sześciu dni od ogłoszenia nowych zarządzeń.

– Ale do tej pory liczba zgonów...

– Ano właśnie – przerwał Jenkinsowi Saithe. – Wolałbym swoje rachuby na poprawę sytuacji opierać na informacjach z Porton Down. – I zwrócił pytające spojrzenie w stronę MacQuillana.

Ten pokręcił głową.

– Nadal nic – rzekł.

– W takim razie – powoli zaczął Saithe – myślę, iż musimy przyznać, że tracimy kontrolę nad epidemią. Już teraz brakuje nam personelu i miejsc w szpitalach, a wszystko wskazuje na to, że będzie jeszcze gorzej.

– Moglibyśmy wykorzystać salę numer osiem – odezwał się Jenkins. – Przygotowywaliśmy ją do remontu, ale w tych okolicznościach...

– Nic z tego – odparł Saithe. – Nie chodzi o pierwszą lepszą salę. Ósemka znajduje się niemal w centrum szpitala.

– Istotnie. Nie pomyślałem o tym. Przepraszam. Obawiam się, że nie dysponujemy odpowiednim pomieszczeniem.

– Wiem – rzekł Saithe – i dlatego zaproponuję pułkownikowi Beasdale’owi zorganizowanie tymczasowych szpitali w szkołach. Dwie z nich zlokalizowane są na wydzielonym terenie, w pewnej odległości od budynków mieszkalnych. To rozwiązuje problem izolacji.

– Niezła myśl – przyznał Saracen.

MacQuillan także poparł pomysł.

– Będziemy jednak potrzebowali personelu – zauważyła Olive Riley.

– Istotnie, siostro – uśmiechnął się Saithe. – Będziemy potrzebowali więcej pielęgniarek-ochotniczek.

– Jestem pewna, że moje koleżanki staną na wysokości zadania – oświadczyła siostra

Riley.

– Nigdy w to nie wątpiłem – rzekł Saithe.

– A co z wyposażeniem – spytał Jenkins.

– Szczerze mówiąc, tu nasze potrzeby są skromne. Bez surowicy niewiele możemy zrobić dla naszych pacjentów... Staramy się, by umierali godnie, w miarę możliwości bez cierpień i w znośnych warunkach. To wszystko.

– Rozumiem.

– A więc zgadzamy się, co do wykorzystania szkół? – Saithe zwrócił się do ogółu zebranych.

Nikt nie zgłosił obiekcji. Saithe połączył się z pułkownikiem Beasdale'em i przekazał mu codzienny raport. Kiedy skończył, pułkownik zapytał:

– Czy jest tam doktor MacQuillan?

Bakteriolog odchrząknął.

– Jestem – rzucił.

– Co z tą surowicą, doktorze?

– Za chwilę będę rozmawiał z Porton Down.

– Proszę mnie zawiadomić o wynikach tej rozmowy. – Połączenie zostało przerwane.

Uczestnicy zebrania byli wyraźnie zdziwieni oschłością Beasdale'a.

– Myślę, że wszyscy jesteśmy zainteresowani rezultatem tej rozmowy – odezwał się Saithe. – Proponuję, żebyśmy poczekali.

MacQuillan wyszedł zatelefonować do Porton Down. Po niecałej minucie był z powrotem.

– Zadzwoń do mnie po południu.

– To wszystko? – spytał Saithe.

– Tak.

Saracen jak wszyscy, był zawiedziony; ale nie tylko. Z niepokojem spostrzegł na twarzy MacQuillana ten sam wyraz śmiertelnego przerażenia, wręcz zgrozy, który po raz pierwszy widział w Palmer's Green.

13.

Saracen znalazł Tremaine'a w szatni. Stażysta siedział ze zwieszoną głową i nawet nie podniósł wzroku, słysząc kroki wchodzącego kolegi. Wyglądał na tak przygnębionego, że Saracen nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Czekał, aż Alan odezwie się pierwszy.

– Bóg wie, co my z nimi wszystkimi zrobimy – nie odrywając wzroku od podłogi mruknął Tremaine. – Przywożą ich jednego za drugim, jak do jakiejś poczekalni przed cementarzem. Nic nie mogłem dla nich zrobić... – Podniósł głowę i Saracen ujrzał w jego oczach łzy rozpacz. – Zupełnie nic. Równie dobrze mógłbym być hydraulikiem albo listonoszem...

– Nikt z nas nie może i nie będzie mógł nic zrobić, dopóki nie dostaniemy surowicy – rzekł Saracen, kładąc dłoń na ramieniu Alana. Następnie opowiedział mu o zamiśle uruchomienia szpitali w szkołach. W obliczu rosnącej liczby pacjentów było to jedyne wyjście. Zamierzał prosić Tremaine'a o pozostanie na dyżurze, ale ujrawszy go w takim stanie, rozmyślił się. Postanowił, że sam zajmie się izbą przyjęć oddziału izolacyjnego, a Jamiesona poprosi o wzięcie dodatkowego dyżuru na Oddziale Przypadków Nagłych. Do pomocy będzie miał Prahesha Singha.

Saracen stwierdził, że lista osób, które miały kontakt z zarażonymi, nie była uzupełniana od dwóch dni. Zadzwoił do Wydziału Zdrowia, chcąc się dowiedzieć – dlaczego. Nie otrzymawszy połączenia, skontaktował się z Saithe'em. Okazało się, że zaniechano prowadzenia listy.

– Doktor Braithwaite cierpi na głęboki rozstrój nerwowy – oznajmiła sekretarka Saithe'a. Co najmniej czterech pracowników biura lekarza urzędowego zachorowało na dżumę. Tak więc siłą rzeczy Wydział Zdrowia przestał funkcjonować.

– Cudownie. Szlag by trafił... – mruknął Saracen.

Przed południem otrzymał wiadomość, że chce się z nim skontaktować siostra Rawlings. Czując, że chodzi o coś ważnego, Saracen przy pierwszej sposobności zadzwonił do sali

numer dwadzieścia.

– James? Dzięki Bogu, że się wreszcie odezwałeś. Chodzi o Moirę Lindeman. Zemdlała dziś rano. To chyba dzuma... Myślę, że my wszystkie niedługo będziemy chore!

– Uspokój się Jill. – Saracen mówił spokojnym głosem, chociaż niepokój skręcał mu wewnątrz. – Jeśli siostra Lindeman istotnie się zaraziła, to znaczy, że była nieostrożna. I nic dziwnego, zważywszy jak się przepracowywała. Musiało się tak skończyć.

– Kiedy to właśnie ona podnosiła nas wszystkie na duchu. To ją próbowałyśmy naśladować... – głos Jill przeszedł w urywany szloch.

– Wiem, wiem – uspokajał ją Saracen. – Postaram się przyjść do was i zobaczyć się z nią. Spróbuję też zorganizować wam kilka godzin prawdziwego odpoczynku. Najwyższa pora, żebyście trochę odetchnęły.

Minęły dwie godziny, nim Saracen znalazł wolną chwilę i mógł odwiedzić siostrę Lindeman. Przez ten czas pierwszą ze szkół przygotowano na przyjęcie pacjentów. Kierowano tam chorych za pośrednictwem izby przyjęć Szpitala Okręgowego. W ten sposób Ogólny zyskał kilka godzin wytchnienia; do chwili uruchomienia izby chorych w drugiej szkole.

Jill zauważyła Saracena, kiedy tylko wszedł na oddział izolacyjny i wyszła mu naprzeciw. Podobnie jak on, miała na sobie kompletny strój ochronny. Na powitanie uśmiechnęła się słabo. Saracen odpowiedział niepewnym uśmiechem.

Szybko przekonał się, że na oddziale izolacyjnym panują wręcz nieludzkie warunki: tłok, powietrze przesycone odorem wymiocin, zewsząd dochodzące jęki konających...

– Brakuje nam czystej pościeli – mówiła Jill. – Pracownicy pralni boją się dotykać naszej bielizny, chociaż najpierw przechodzi przez sterylizator. – Otworzyła jakieś drzwi i wprowadziła Saracena do mrocznego pomieszczenia. Przez szpary w opuszczonych roletach przenikało jednak dość światła, by można było dostrzec leżące na podłodze zwłoki przykryte prześcieradłami. Dwa rzędy ciał; w sumie osiemnaście trupów.

– To nasza tymczasowa kostnica – wyjaśniła Jill. – Opróżniono ją trzy godziny temu.

Saracen pokręcił głową, niezdolny wydusić z siebie ani słowa. Jill poprowadziła go korytarzem do następnego pomieszczenia.

– Tu był pokój siostry Lindeman – powiedziała. – Uznałyśmy, że powinna w nim zostać.

Przy łóżku chorej siedziała młoda pielęgniarka, przemywając jej twarz wilgotną gąbką. Wstała, kiedy Jill i Saracen weszli do pokoju.

– Proszę zostawić nas na chwilę samych, dobrze? – poprosił lekarz i Jill z koleżanką wyszły na korytarz. Saracen spojrzał na wymizerowaną twarz Moiry Lindeman, na jej błyszczące od potu czoło, drżące usta. Siadł na zwolnionym przez pielęgniarkę krześle i delikatnie starł pot, zalewający oczy chorej. Uniosła powieki, a w jej wzroku pojawił się błysk świadomości. Rozpoznała go. Sprawilo mu to radość. Uśmiechnął się, ona zaś powiedziała z trudem:

– Nie powinien... pan... przychodzić...

– Nie mogłem nie przyjść – odparł Saracen. Zorientował się, że chora go nie słyszy. Zdjął maskę i okulary ochronne i powtórzył to, co powiedział przed chwilą. Widząc, że pielęgniarka chce zaprotestować, machnął ręką i rzekł łagodnie.

– Proszę nic nie mówić. Tyle razy w życiu chciałem coś powiedzieć, a kończyło się na niczym, bo odpowiednia chwila minęła, a ja nie potrafiłem znaleźć drugiej sposobności. Pomyślałem, że tym razem musi być inaczej. Nie wiem, co to dla pani znaczy, ale chcę, żeby pani wiedziała, iż uważam ją za najlepszą pielęgniarkę, jaką kiedykolwiek spotkałem, i za szlachetnego człowieka.

W kącikach ust siostry Lindeman pojawiło się coś jak zapowiedź uśmiechu; pozostały jednak nieruchome.

– To dla mnie... znaczy... bardzo dużo – wyszeptała z najwyższym trudem, a potem powieki znów jej opadły.

– Teraz proszę odpocząć – powiedział Saracen, wstając i na palcach ruszając w stronę drzwi. – Proszę zasnąć.

Opuszczając oddział izolacyjny zastanawiał się, czy zobaczy jeszcze siostrę Lindeman żywą. Bardzo w to wątpił. Ta myśl pogłębiła jeszcze depresję, narastającą w nim niczym rak. Zadzwoił do Saithe'a, próbując przekonać go o konieczności odciążenia, choć na pewien czas, pielęgniarek z sali numer dwadzieścia. Niewiele jednak zyskał. Saithe stwierdził, że i on i Olive Riley są świadomi powagi sytuacji, ale wszystkie pielęgniarki, które ostatnio zgłosiły się do pracy zostały skierowane do obsługi izb chorych w szkołach. Tak więc nic nie da się zrobić.

– Czy pułkownik Beasdale wie, że brakuje nam personelu pielęgniarskiego?

– Pułkownik zna wszystkie fakty dotyczące naszej sytuacji.

– A więc nie powinno być problemów ze ściąganiem ochotniczek spoza Skelmore.

– Tego bym nie powiedział – z wahaniem odparł Saithe.

– A to dlaczego?

– Z powodu nastawienia władz, które zdecydowane są nie dopuścić do rozpowszechnienia informacji o tym, co dzieje się w Skelmore. Zamierzają wykorzystać doświadczenia zdobyte podczas epidemii tyfusu w Aberdeen w latach sześćdziesiątych. Jest rzeczą oczywistą, że jeśli zaczniemy na cały kraj nadawać apele o pomoc, wszystko się wyda i dżuma w Skelmore przestanie być wydarzeniem o charakterze lokalnym.

– Do czego wcześniej czy później i tak dojdzie – ze złością rzucił Saracen.

– Rząd wolałby, żeby to było później.

– To znaczy?

– Kiedy otrzymamy surowicę. Teoretycznie w ciągu kilku dni powinniśmy wtedy uzyskać radykalną poprawę sytuacji.

– Ale gdy ludzie zaczną wracać do zdrowia, tym bardziej będziemy potrzebowali pielęgniarek!

– Owszem, ale wtedy publiczny apel o pomoc nie zabrzmiał tak dramatycznie. Władze łatwiej to przełkną, bo równocześnie z naszym komunikatem pada się do wiadomości publicznej, że dysponujemy skutecznym lekarstwem, co wyeliminuje ryzyko paniki. Przyzna pan, że to brzmi logicznie.

– Miejmy nadzieję, że pielęgniarki z oddziału izolacyjnego będą tego samego zdania.

– Porozmawiam jeszcze z Olive Riley. Może coś wymyślimy. – Saithe najwyraźniej próbował udobruchać Saracena.

– Niech pan pamięta, że one tam są z własnej woli. Mają prawo w każdej chwili zrezygnować – przypomniał lekarz.

– Nie wyobrażam sobie takiej sytuacji – odparł Saithe. – A pan?

– Nie, do diabła! Oczywiście, że nie. Ale nadużywanie ich dobrej woli uważam za nieetyczne. A poza tym niektóre z nich są bliskie załamania. Po prostu nie będą w stanie dłużej wykonywać swoich obowiązków.

– Postaram się, żeby wszyscy zdali sobie sprawę z wagi problemu – zakończył Saithe.

O drugiej trzydziści otwarto izbę chorych w drugiej szkole. Uzgodniono, że przez pierwsze trzy godziny wszyscy chorzy podejrzani o zarażenie dżumą kierowani będą do Ogólnego, aby umożliwić odpoczynek personelowi Szpitala Okręgowego. Pacjenci z rozpoznaną dżumą mieli być przewożeni z izby przyjęć Ogólnego do szkoły. W ciągu pierwszej godziny Saraceni zbadali dwadzieścia dwie osoby, w żadnym przypadku nie miał wątpliwości. Wszyscy ci ludzie – mężczyźni, kobiety i dzieci z terenu całego miasta – mieli dżumę. Niemożność dotarcia do wszystkich, którzy zetknęli się z już zarażonymi, udaremniało wszelkie próby zahamowania postępów epidemii.

Zawiadomiono Saracena, że od pół godziny próbuje się z nim skontaktować Jamieson, pełniący dyżur na Oddziale Przypadków Nagłych. Korzystając z krótkiej przerwy w napływie pacjentów umył się pośpiesznie i zwałił na krzesło obok telefonu, aby zadzwonić do Pogotowia. Nogi miał jak z ołowiu i niewiele brakowało, a zasnąłby, czekając aż Jamieson podejdzie do aparatu.

– Chciałbym, żeby rzucił pan okiem na jednego z moich pacjentów – oznajmił stażysta.

– Co takiego?! – warknął Saraceni.

– Zanim zaczniesz mnie pan ochrzaniać, proszę posłuchać: wiem, że jest pan zajęty i nie zawracałbym panu głowy bez istotnej przyczyny...

– To znaczy jakiej? – już spokojniejszym tonem spytał Saraceni.

– Naprawdę uważam, że powinien pan przyjść – spokojnie powiedział Jamieson.

– No dobrze – po chwili namysłu odparł Saraceni – będę za pięć minut.

Ściągnął kombinezon ochronny, jeszcze raz, już dokładniej umył się i pośpieszył na

Oddział Przypadków Nagłych.

– Tam. – Jamieson wskazał łóżko w rogu izby przyjęć. Podał Saraceni wypełnioną kartę chorego. Ten czytał ją idąc: Francis Updale, trzydzieści siedem lat, inżynier ciepłownictwa, Bread Street 22, Skelmore; leczony na mononukleozę zakaźną; kilka godzin temu jego stan gwałtownie się pogorszył i żona, nie mogąc skontaktować się z lekarzem rejonowym wezwała pogotowie.

– Ale dlaczego nie zabrano go do Okręgowego? – zdziwił się Saraceni. – Chorzy z gorączką mieli być kierowani do nich.

– W Okręgowym mają kłopoty – odrzekł Jamieson. – Przed godziną wstrzymali przyjęcia i zażądali, żebyśmy przyjęli wszystkie nagłe przypadki.

Saraceni nie wierzył własnym uszom.

– Jakże znowu kłopoty?

– Zdaje się, że doktor Moss i kilka innych osób z personelu zarazili się dżumą – powiedział stażysta.

Saraceni znieruchomiał w pół kroku. Jakże złowieszcze wydały mu się słowa Jamiesona.

– Zarazili się? – powtórzył bezwiednie. – O Boże!

– Pan Updale leży tam dalej – powiedział Jamieson, chyba tylko po to, żeby wyrwać starszego kolegę z osłupienia.

Chory był przytomny, choć najwyraźniej bardzo osłabiony. Saraceni odkrył go i przystąpił do badania. Wydał kilka uspokajających pomruków, obliczonych na podniesienie pacjenta na duchu, ale prawdę mówiąc, działał zupełnie odruchowo, niemal jak automat. Aż do chwili, kiedy w jego głowie rozdzwięczały się dzwonki alarmowe: nie znajdował objawów, które spodziewał się znaleźć.

– To nie jest mononukleozą – szepnął.

– Tak właśnie myślałem. Dlatego do pana zadzwoniłem. Pamiętałem, co mi pan mówił: żeby nie dać się zwieść pozorom.

Saraceni czuł, że serce bije mu przyspieszonym rytmem.

– Ale tu nie ma, jak u innych, zaburzeń płucnych; on jest... – Saraceni zbadał pachwiny chorego. To, co odkrył, potwierdziło jego obawy. – Wie pan, co to jest? – spytał Jamiesona.

– Zauważyłem to wcześniej, ale nigdy czegoś takiego nie widziałem. Co to jest?

– Pierwotna dymienica – rzekł Saraceni. – Ten człowiek nie jest chory na dżumę płucną; to dżuma dymienicza.

Jamieson zadawał jeszcze jakieś pytania, ale jego słowa nie docierały do świadomości Saraceni, całkowicie pochłoniętego zmaganiem się z nowym koszmarem.

– Pacjent z dżumą dymienicza?! – zawołał MacQuillan, kiedy Saraceni zakończył swoją relację. – Jest pan zupełnie pewien?

Saraceni potwierdził.

– I przyjęto go na zwykły oddział? Nawet nie zakaźny?

– Nikt nie rozpoznał objawów. On nie wyglądał jak inni chorzy na dżumę.

– Koniec świata – wymamrotał MacQuillan. – Jak on, u diabła, złapał dżumę dymienicza?

– Szczury. Czyż nie tak? – spytał Saracen.

Po długim milczeniu MacQuillan odparł.

– Chorobę może roznosić nie tylko pchła szczurza, ale i ludzka. Jeśli ten gość mieszkał gdzieś w slumsach...

– To inżynier termotechnik; mieszka z żoną i córką w czystym domu w dobrej dzielnicy i dotąd nie miał żadnej styczności z chorymi na dżumę w jakiegokolwiek postaci.

– W takim razie nic nie rozumiem.

Mimo przygnębienia, wręcz rozpacz, chwilami przeradzającej się w agresję, Saracen powstrzymał się od wytknięcia bakteriologowi z Porton Down, że od początku epidemii w Skelmore specjaliści jakoś podejrzanie często przyznają się do niewiedzy. Zamiast tego spytał:

– Co się dzieje w Okręgowym?

– Już pan coś słyszał?

– Przejęliśmy ich pacjentów.

– Zachorowało pięć osób z białego personelu.

– Moss?

– Niestety.

Saracen odłożył słuchawkę. „Niestety, niestety, niestety”, powtarzał szeptem. Wziął się wreszcie w garść i wrócił do izby przyjęć, aby załatwić z Jamiesonem przeniesienie Updale’a do sali numer dwadzieścia.

– Nie zechciałby pan porozmawiać z jego żoną? – spytał Jamieson.

Saracen zgodził się.

– Pani Updale, czy mąż pani nie zetknął się w pracy z kimś, kto później zachorował na dżumę?

– Frank pracował sam. Prowadził własne przedsiębiorstwo.

– Czy wykonywał ostatnio jakieś zlecenia w osiedlu Maxton?

– Nie, miał kontrakt na wykonanie instalacji w hotelu na Beverley Road. Pracował tam, kiedy to wszystko się zaczęło.

– Nigdzie indziej?

– Nie.

Saracen wzruszył ramionami i westchnął. A więc znów pudło.

– Chwileczkę... przypominam sobie, że któregoś dnia Frank robił coś innego. Zadzwoił jakiś mężczyzna i powiedział, że znalazł nasz telefon w książce telefonicznej. Prosił, żeby Frank zobaczył co się dzieje z ogrzewaniem w jego mieszkaniu. Frank początkowo nie chciał

się zgodzić, ale tamten tak nalegał, że w końcu zrobił sobie dzień przerwy w hotelu i pojechał do niego.

– Nie wie pani gdzie to było?

Mary Updale pokręciła głową.

– Nie pytałam, a Frank mi chyba też nie mówił. Czy to ważne?

– Prawdopodobnie nie – odparł Saracen. – Ale gdyby pani sobie przypomniała, proszę mnie zawiadomić.

O czwartej przyszedł Tremaine. Był skruszony i przepraszał za swoje zachowanie sprzed kilku godzin. Saracen nie widział powodu do przepraszenia. Powiedział, że zostanie w szpitalu do rana, kiedy to MacQuillan miał otrzymać wiadomość z Porton Down. Tak więc kiedy nadszedł meldunek, że w drodze są dwa wojskowe ambulansy wiozące dwie całe rodziny podejrzane o zarażenie, przyłączył się do Alana w izbie przyjęć oddziału izolacyjnego.

– Nie mam pewności, co jest z tym chłopcem – powiedział w pewnym momencie Tremaine; Saracen kończył właśnie badanie ostatniego pacjenta. – Mógłbyś rzucić okiem?

Saracen podszedł do stołu, na którym leżał badany pacjent.

– Nie rozumiem. Jego matka, ojciec i ośmioletnia siostra mają wręcz podręcznikowe objawy dżumy. A tu nic się nie zgadza.

Chłopiec, mniej więcej dwunastoletni, był półprzytomny. Stan jego należałoby określić jako bardzo ciężki. Saracenowi wystarczył jeden rzut oka, by postawić diagnozę.

– To już drugi – powiedział, z trudem wydobywając głos ze ściśniętego gardła.

– Drugi?

– Drugi dzisiaj przypadek dżumy dymienicznej.

Upewniwszy się, że jego rozpoznanie jest prawidłowe, Saracen niezwłocznie zadzwonił do MacQuillana. Pacjenci z ostatniego transportu zostali odwiezieni do szkoły. Dwunastoletni chłopiec miał jednak pozostać w Szpitalu Ogólnym.

Rozmawiając z MacQuillanem, Saracen odniósł wrażenie, że bakteriolog słucha go tylko z obowiązku, że najchętniej w ogóle nie odebrałby tego telefonu.

– Nie przychodzi panu do głowy żadne wyjaśnienie?

– Prawdopodobnie można by dowieść, że chłopiec złapał dżumę dymieniczną, a następnie zaraził rodzinę, u której choroba przybrała postać płucną. Ale w jaki sposób on sam uległ zakażeniu, po prostu nie wiem.

Saracen nie był pewien, czy się nie przesłyszał.

– Ależ jeśli tego nie ustalimy, to miasto może się zmienić w jeden wielki cmentarz! – syknął.

– Istotnie – z absolutnym spokojem przyznał MacQuillan. Saracenowi na chwilę odjęło

mowę. Bakteriolog zachowywał się naprawdę dziwnie.

– Czy dobrze się pan czuje? – spytał.

MacQuillan odpowiedział nieartykułowanym warknięciem.

– Rozmawiał pan z Porton?

– Najlepiej będzie, jak pan do mnie wpadnie. – I MacQuillan odłożył słuchawkę.

– James! – dobiegł z izby przyjęć okrzyk Tremaine'a.

Chory chłopiec stracił przytomność. Jego dłonie kurczowo zaciskały się na jakimś przedmiocie zawieszonym na szyi. Początkowo Saracen myślał, że to klucz. Przyjrzał się bliżej i stwierdził, że palce chłopca obejmują coś w rodzaju medalionu. Zdjął go pośpiesznie i rzuciwszy nań okiem podał Tremaine'owi; sam zajął się pacjentem. Medalion miał kształt prostokąta o długości około pięciu centymetrów. Widniała na nim litera „S” otoczona prostym motywem roślinnym.

Tremaine był zaskoczony ciężarem metalowej tabliczki.

– To musi być bardzo stare – powiedział.

– Tak sądzisz? – Saracen nie zdradzał zainteresowania dziwnym przedmiotem.

– Wiesz, gdzieś już widziałem ten wzór i to niedawno. Ale gdzie...

Upewniwszy się, że chłopcu nic chwilowo nie grozi, Saracen zadzwonił do sali numer dwadzieścia i poprosił o zabranie pacjenta. Przy okazji zapytał o stan siostry Lindeman.

– Jest bardzo słaba. To już długo nie potrwa.

– Na biurku Claire! – zawołał Tremaine.

Saracen mył właśnie ręce i w pierwszej chwili nie zorientował się, czego dotyczy okrzyk Alana.

– Co? Co na biurku Claire?

– W jednej z jej książek o opactwie Skelmoris widziałem podobny motyw.

– Chyba ci się zdaje.

– Nie, jestem pewien – upierał się Tremaine.

– Teraz myślny raczej o czym innym. Mamy już dwa przypadki dżumy dymienicznej. Czuję, że to stanowi klucz do tego koszmaru.

– Ale ten medalion może być ważny – nie ustępował Tremaine. – Jeden z chorych miał go na szyi. Mógłby to być jakiś trop. Może w drodze do domu podrzuciłbyś go Claire. Zobaczymy, co ona na to powie.

– No dobrze. – Saracen nie miał ochoty na wizytę u Claire, ale też nie miał siły się spierać. – Najpierw jednak muszę zobaczyć się z MacQuillanem.

Tremaine wrzucił medalion do zlewki ze środkiem odkażającym, następnie opłukał pod kranem i podał Saracenowi. Ten wrzucił go do kieszeni.

Drzwi gabinetu MacQuillana były uchylone. Bakteriolog stał przy oknie i Saracen widział tylko jego plecy. Chrząknął, wtedy MacQuillan odwrócił się powoli; w dłoni trzymał

szkłankę whisky, a jego wygląd niedwuznacznie wskazywał, że nie była to pierwsza szklanka. Saracen przyglądał mu się zdziwiony.

– Napije się pan? – MacQuillan uśmiechnął się smutno.

Saracen pokręcił głową.

– Jakie wieści z Porton Down? – spytał.

MacQuillan przez dłuższą chwilę patrzył na niego w milczeniu. Wreszcie powiedział:

– Ta surowica, na którą tak czekamy... nie nadejdzie. – I jednym haustem opróżnił szkłankę.

– Co to, do cholery, znaczy: nie nadejdzie? – ochryplym szeptem zapytał Saracen.

– Nie ma surowicy i nie będzie – uśmiechnął się gorzko MacQuillan. – Laboratorium w Porton Down twierdzi, że szczep Skelmore ma tak słabe właściwości antygenowe, iż nie nadaje się do produkcji przeciwciał. Nie mogą uzyskać surowicy; nie mogą wyprodukować szczepionki. *Finito*.

Saracen powoli osunął się na krzesło.

– Jezu Chryste! – wyszeptał.

– Wiem z doświadczenia, że jest zwykle bardzo zajęty, kiedy go potrzebujemy.

Saracen nie zareagował. Irytujący był ten pijacki cynizm MacQuillana.

– A więc będziemy musieli po prostu poczekać, aż epidemia wygaśnie sama. – Saracen mówił jakby do siebie.

– Nic tu „samo” nie wygaśnie – mruknął bakteriolog. – Ten przeklęty mikrobia wygrał – jak zawsze.

– Jeśli otrzymamy pomoc z zewnątrz i nie dopuścimy do paniki, możemy go jeszcze pokonać. Nie wolno tracić nadziei.

MacQuillan pokręcił głową, jakby słuchał dziecka dowodzącego, że ziemia jest płaska.

– Nie ma żadnej nadziei – powiedział. – To już koniec.

W jego słowach Saracen wyczuł coś więcej niż tylko cynizm.

– Co pan ma na myśli – szepnął.

MacQuillan ponownie napełnił sobie szkłankę.

– Nie będzie pomocy z zewnątrz, ponieważ nikt jej nie zażąda. Ta bakteria jest odporna na wszystkie leki, jakimi dysponuje medycyna. Wszelkie zasady epidemiologii biorą w tej sytuacji w łeb. Beasdale wie o tym. Wie, że jesteśmy bezradni i jedynym wyjściem jest powrót do tradycyjnych metod i środków.

– Co to za „tradycyjne środki”?

– Ogień – krótko odparł MacQuillan.

Saracen w pierwszej chwili nie zrozumiał. Kiedy jednak pojął, w jakim kierunku zmierza rozumowanie bakteriologa, ogarnęła go złość.

– Pan chyba zwariował! Czy pan wie, co pan sugeruje?

– Beasdale ma odpowiednie rozkazy, które musi wykonać, jeśli stwierdzi, że sytuacja

wymknęła się spod kontroli. A to się właśnie stało.

– Na Boga! Chyba nie traktuje pan poważnie możliwości zniszczenia miasta. To jest Anglia! Rok 1990!

MacQuillan milczał i to milczenie było bardziej wymowne niż wszystko, co mógł powiedzieć. Saracen nerwowo krążył po pokoju, kręcąc głową, jakby nie wierzył własnym uszom.

– To obrzydliwe! – wybuchnął wreszcie. – Niemoralne! To jest...

– Praktyczne – odezwał się MacQuillan.

– Ale jak można zetrzeć z powierzchni ziemi całe miasto!

– Mówiłem panu. Ogniem.

– Ogniem?

– Och, nie mam na myśli żołnierzy biegających po ulicach z pochodniami. Chodzi mi o nowoczesny ogień, ogień naukowy, płynny, wszystkożerny, chemiczny ogień.

– Skąd pan to wszystko wie?

– Pozwoli pan, kolego, że przypomnę, iż nie pracuję u Woolwortha. – Pod wpływem alkoholu MacQuillan zaczął mówić z wyraźniejszym szkockim akcentem.

– Wiem. Pracuje pan w Porton Down i pańska praca ma związek z obronnością kraju.

– Obronnością! Niech mnie pan nie rozśmiesza. Zauważył pan, że ostatnio wszyscy mówią o obronie? Ale jeżeli nikt nie myśli o napaści, to przed kim tu się bronić? – widać było, że ta myśl wydała się MacQuillanowi nadzwyczaj odkrywczą.

– Skąd pan wie? – powtórzył Saracen.

– Istnieją plany działania w tego rodzaju sytuacjach. Przewidziana w nich procedura sprowadza się do hasła: odizolować i zniszczyć.

– Odizolować i zniszczyć – powtórzył Saracen. – Całe miasto?!

– Takie są zasady.

– Jak rząd wytłumaczyłby opinii publicznej zniszczenie miasta?

– Możliwości jest wiele: tragiczny wypadek, będący konsekwencją panującego w mieście chaosu, wybuch w jakiejś fabryce, na przykład w gazowni...

– Nikt w to nie uwierzy.

– Każdy wierzy w to, w co chce wierzyć.

– Nie rozumiem.

– Pewnego dnia władze zaczną stopniowo ujawniać prawdę o tym, co dzieje się w Skelmore. Plotki o epidemii nieuleczalnej choroby zaczną krążyć po kraju. Bardzo szybko nasi zacni rodacy osiągną taki stan umysłu, w którym akceptuje się wszelkie środki likwidujące zagrożenie.

– Cyniczny z pana drań, MacQuillan.

– Jestem po prostu realistą – mruknął bakteriolog. – Jak pan myśli, co ludzie na to powiedzą? „Niezbadane są wyroki opatrności”. Albo „To cud, że skończyło się tylko na

tym”. Odprawia nabożeństwa dziękczynne i wróca do rozmów o pogodzie...

– Pan jest pijany – z niesmakiem stwierdził Saracen.

– W rzeczy samej, ale to nie zmienia faktu, że dziś po południu Beasdale zredukował do minimum liczbę pracowników administracji miasta obecnych w jego bunkrze i zablokował dostęp do zakładów wodociągowych. Nikt nie może tam teraz wejść ani stamtąd wyjść. Niech pan też nie zawraca sobie głowy dzwonieniem dokądkolwiek. Automatyczne linie międzymiastowe zostały odcięte. Możliwe są tylko rozmowy miejscowe.

Saracen miał dość. Odwrócił się na pięcie i wyszedł. Wsiadł w samochód i pojechał do mieszkania Tremaine’a.

– Wyglądasz upiornie – powiedziała na jego widok Claire.

– Jestem tylko zmęczony – odparł. – Alan uważa, że powinnaś to zobaczyć. – I podał jej medalion.

Claire uważnie zbadała go w świetle stojącej na stole lampy.

– Skąd wyście to, u licha, wytrzasnęli?! – zawołała.

Saracen opowiedział o chorym chłopcu, kończąc zapewnieniem, że medalion został odkazony. Claire podeszła do biurka i wróciła z jakąś książką. Otworzyła ją i wskazując palcem jedną z ilustracji mruknęła:

– Ten sam znak. – A potem, z rosnącym podnieceniem dodała: – Najważniejsze jednak, co to za znak. To godło opactwa Skelmoris! Tego klasztoru, którego bezskutecznie szukamy!

– No, no – Saracen spróbował wykrzesać z siebie choć odrobinę entuzjazmu. Claire to jednak nie wystarczyło.

– Nie rozumiesz? Nie widzisz, jakie to ważne?

– Oczywiście, przepraszam – mruknął, zastanawiając się, czy dowiedziawszy się tego, co mu dziś powiedział MacQuillan, Claire nadal uważałaby swoje odkrycie za tak ważne. – Nie myślę zbyt jasno.

– Czy mógłbyś ustalić, gdzie ten chłopiec to znalazł? – oczy Claire pały entuzjazmem.

– On jest chory na dżumę, Claire. Umiera.

Claire zagryzła wargi.

– Cholerny świat! Być tak blisko i nie móc nic zrobić – mruknęła. Po chwili zorientowała się, że Saracen przygląda jej się wzrokiem pełnym dezaprobaty. Całkiem świadomie zrobiła zażenowaną minę. – Przepraszam. Zachowuję się okropnie. Wiem, że dla ciebie to jest głupie i pozbawione znaczenia; prawdopodobnie masz rację, ale zobaczyć ten znak i... – ścisnęła medalion w dłoni. – To najbardziej podniecający moment w mojej karierze archeologa. Ten przedmiot dowodzi ponad wszelką wątpliwość, że opactwo Skelmoris istniało naprawdę.

Saracen pokiwał głową. Zawodowy entuzjazm Claire uważał za godny szacunku, ale jakoś nie umiał się przejąć jej problemami. Wstał, szykując się do wyjścia.

– Zostań – poprosiła Claire.

Pokręcił głową.

– Muszę się trochę przespać.

– To śpij tutaj.

Saracen zaczął protestować, ale Claire już rozwiązywała mu buty. Usiadł na kanapie, opierając głowę o poduszkę. Czuł, że oczy same mu się zamykają. Usłyszał jeszcze szept Claire.

– Nie bój się Jamesie Saracen. Nie wykorzystam cię, nawet jeśli jeszcze nie wiesz, jak bardzo ją kochasz.

Obudził się przestraszony i przez chwilę rozglądał się nieprzytomnym wzrokiem, nie wiedząc gdzie się znajduje.

– Przepraszani. Obudziłam cię. Upuściłam książkę. – Głos Claire przywołał go do rzeczywistości. Zapaliła światło, podeszła do kanapy i przykryła go kocem.

– Jak długo spałem? – zapytał.

– Cztery godziny.

– Muszę wracać do szpitala.

– Nie, śpij. Potrzebujesz odpoczynku.

Saracen potrząsnął głową, usiadł i ziewnął.

– Nadal ledwo się ruszasz – zauważyła Claire.

– Dzięki tobie udało mi się przespać cztery godziny. Jestem ci bardzo wdzięczny. – Wstał sztywno i sięgnął po marynarkę.

– Nie wiesz przypadkiem, co się dzieje z telefonami? – spytała Claire.

Zimny dreszcz przebiegł Saracenowi po plecach.

– A o co chodzi?

– Próbowałam dodzwonić się do Londynu – bez skutku.

– To się czasem zdarza.

– Ale ja próbowałam połączyć się z kilkoma różnymi numerami i nic.

– Może jakaś awaria w centrali. Z powodu epidemii nie miał jej kto usunąć... – zmyślał Saracen.

– Może.

14.

W drodze do szpitala Saracen nie napotkał ani jednego pojazdu. Jego wóz przemierzał całkowicie wymarłe, mokre od deszczu ulice. Dopiero skręciwszy w podjazd wiodący ku szpitalnej bramie, ujrzał dwa wojskowe ambulanse. Musiał zjechać na bok, aby je przepuścić. Minęły go. Ich terenowe opony miały w powietrze rozpylone błoto, w świetle lamp pozycyjnych tworzące pomarańczowe chmury. Przez okna widać było zakapturzone sylwetki sanitariuszy w kombinezonach ochronnych.

Na początek Saracen udał się na Oddział Przypadków Nagłych. Zmartwiła go panująca tam atmosfera.

– Wieczorem zmarła siostra Lindeman – zawiadomiła go pierwsza napotkana pielęgniarka.

Saracen z rezygnacją pokiwał głową.

– Była naprawdę dobrą kobietą – powiedział cicho.

Pielęgniarka przytaknęła i zapytała:

– Kiedy dostaniemy surowicę odpornościową? Zdaje się, że tam w Porton Down za bardzo się nie śpieszą.

– Niedługo – odparł Saracen; było mu przykro, że musi skłamać, ale nie miał innego wyjścia. – Co tam się dzieje? – zapytał, wskazując grupę mężczyzn opatrywanych w gabinecie zabiegowym.

– Pokaleczyli się, włamując się do sklepu monopolowego.

Saracen pokiwał głową. Reszty mógł się domyślić. Puby w Skelmore zostały zamknięte na mocy zarządzenia wprowadzającego kwarantannę. Skutkiem czyjś niedopatrzania, sklepów monopolowych nie zaliczono do placówek niezbędnych do funkcjonowania miasta; jakby władzom potrzebne były jeszcze kłopoty związane z niespodziewanym ustanowieniem prohibicji. Beasdale naprawił błąd swoich podwładnych i wydał rozkaz, by sklepy monopolowe otwierano na dwie godziny dziennie. Ale ów rozkaz miał wejść w życie dopiero jutro.

– Jest dla pana jakaś wiadomość – powiedziała pielęgniarka. – Położyłam kartkę na pańskim biurku.

Na kartce widniały słowa: „Telefonowała pani Updale. Proszę do niej zadzwonić”. I numer telefonu, który Saracen od razu wykrecił, nawet nie sprawdzając która godzina. Przypuszczał, że Mary Updale wie równie dobrze jak on, iż tego rodzaju ograniczenia przestały obowiązywać.

– Chciał pan się czegoś dowiedzieć o tej dodatkowej pracy Franka, prawda?

– Tak.

– Frank zapisał to w swoim notatniku. Klient nazywał się Archer, mieszkał w Palmer’s Green. Czy to coś panu pomoże?

– Niewykluczone. – Saracen z trudem zdobył się na spokojną odpowiedź.

Raz jeszcze potwierdził się związek między Archerami, a rozprzestrzenianiem się choroby. Tyle, że to odkrycie jedynie zwiększało liczbę pytań. Na przykład: W jaki sposób Archer mógł zarazić Updale’a dżumą dymieniczą? W grę wchodził także czynnik czasu. Z pośpiesznie dokonanych obliczeń wychodziło Saracenowi, że w dniu spotkania z Updale’em, Archer musiał być już poważnie chory. Czy Updale będzie w stanie to potwierdzić?

Wszedłszy do sali numer dwadzieścia nie zauważył Jill i przez chwilę czuł, że na jego wnętrznościach zaciska się zimna ręka strachu. Uspokoila go przechodząca pielęgniarka mówiąc, że siostra Rawlings odpoczywa w swoim pokoju.

Updale miał płytki, przyspieszony oddech i wyglądał jak człowiek, który kończy długi bieg wiedząc, że nie może wygrać.

– Trzyma się pan?

Updale przytaknął nieznacznym ruchem głowy i urywanym sapaniem.

– Muszę zadać panu kilka pytań. Od pańskich odpowiedzi może bardzo dużo zależeć.

Inżynier nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w sufit, nie dając żadnego znaku, że rozumie, co się do niego mówi.

– Wykonał pan jakieś zlecenie w mieszkaniu mężczyzny nazwiskiem Archer, w osiedlu Palmer’s Green.

Chory oblizał wargi i poruszył głową.

– ... ogrzewanie – powiedział z wyraźnym trudem.

– Tak, chodziło o ogrzewanie. Czy pan Archer był chory, kiedy się pan z nim widział?

Updale pokręcił głową, nie podnosząc jej z poduszki.

– Nie – szepnął. – Nie był chory.

– Proszę się zastanowić. To bardzo ważne.

– Nie był chory. Zdrowy... był całkowicie zdrowy.

Saracen westchnął ciężko. Dodał dwa do dwóch i wyszło mu pięć. Jeśli Archer był zdrowy, w jaki sposób zaraził Updale’a? Odpowiedź na to pytanie była prosta, wręcz

oczywista, ale Saracen nie chciał przyjąć jej do wiadomości. Niemniej musiał wziąć pod uwagę możliwość, że Updale nie zaraził się od Archera, ale gdzieś indziej. Nazwisko Archera wypłynęło przypadkowo. MacQuillan też nie chciał wierzyć w żadne wyjaśnienie śmierci lokatorów domu w Palmer's Green, nie uznające Archera za źródło zakażenia. Uważał, że byłby to zbyt dziwny zbieg okoliczności i Saracen się z nim zgadzał. Teraz jednak czuł, że w tym rozumowaniu tkwił jakiś elementarny błąd.

– W Palmer's Green spędził pan tylko ten jeden dzień, prawda? – zapytał Updale'a.

– Myślałem, że to będzie prosta sprawa... zapchała się kratka w przewodzie wentylacyjnym... przeczyściłem ją, ale ciąg nadal był słaby... woda tkwiła gdzieś w głównym szybie... za duża robota dla mnie... wymieniłem tylko filtry, żeby poprawić przepływ, zanim Archer nie skontaktuje się z jakąś większą firmą...

– I już nie wracał pan do Palmer's Green?

– Nie.

– Czy będąc tam, rozmawiał pan z kimś poza Archerem?

– Z dozorcą.

– Był chory?

– Nie.

– I z nikim więcej?

– Z nikim.

Saracen podziękował i odszedł cicho. Minąwszy szklane drzwi jeszcze się obejrzał. Updale znów wpatrywał się w sufit, a jego pierś unosiła się i opadała poruszana oddechem. Chory podjął nierówną walkę z chorobą.

W sąsiedniej salce leżał Philip Edwards, chłopiec z medalionem i drugi z dwójki chorych na dżumę dymieniczą. Saracen wszedł do środka i zbliżył się do łóżka, chcąc sprawdzić, czy chłopiec śpi. Nie spał. Philip Edwards nie żył.

Kiedy Saracen powiedział o tym siostrze oddziałowej, zareagowała wybuchem żalu.

– Och, nie – jęknęła. – Zaglądałam do niego kilka minut temu i trzymał się całkiem dobrze. Musiałam pomóc siostrze Rivers w drugim końcu oddziału. Już nie mogę... to wszystko jest takie... – nerwowym gestem przyłożyła rękę do czoła.

– Tak, wiem – mruknął Saracen.

Schodząc po schodach zastanawiał się, gdzie słyszał nazwisko „Edwards”. Miał wrażenie, że powinno mu ono coś mówić, ale w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć – co?

Zadzwoił MacQuillan.

– Przed chwilą w szpitalu Okręgowym zmarł Dave Moss.

Saracen spokojnie przyjął tę wiadomość; od dawna był na nią przygotowany.

– Czy może wymyślił pan coś w sprawie tych przypadków dżumy dymieniczej? – spytał.

– Nic – odparł MacQuillan. – Gra skończona. Ponieśliśmy kieskę.

Saracen z trzaskiem odłożył słuchawkę.

– Do diabła z nim – mruknął. Nastawienie MacQuillana doprowadzało go do furii. Zaniechawszy pracy nad swoim schematem, bakteriolog pozbawił ich ostatniej szansy. Bez ustalenia w jaki sposób działa mechanizm rozprzestrzeniania się choroby nie mieli szans doczekać chwili, gdy epidemia wygaśnie w sposób naturalny. Czarna Śmierć opanuje całe miasto, jeśli nie ubiegnie jej Beasdale ze swoim chemicznym ogniem.

Saracen sięgnął po pióro i jął spisywać wszystkie znane sobie fakty dotyczące epidemii, w nadziei, że pomoże mu to uchwycić jakąś prawidłowość. Po półgodzinie pracy nie posunął się ani o krok naprzód. Nadal jedynym wytłumaczeniem wydawała się teoria MacQuillana. Tylko te dwa przypadki dżumy dymienicznej! One tu nie pasowały i kazały wątpić w słuszność całego rozumowania. Saracen postanowił odrzucić wszelkie dotychczasowe ustalenia i raz jeszcze zacząć od początku. Załóżmy – tylko załóżmy – że epidemia wcale nie zaczęła się od Myry Archer...

Rozluźnił krawat i energicznym szarpnięciem rozpiął górny guzik u koszuli. Wydobyl z szafki karty Myry Archer i Leonarda Cohena i zaczął je uważnie studiować. Czuł, że narasta w nim podniecenie. Myra Archer zmarła szóstego, a więc piątego i prawdopodobnie czwartego była już bardzo chora. Cohena musiała zarazić drugiego lub trzeciego, kiedy czuła się jeszcze stosunkowo dobrze, inaczej jej stan nie uszedłby uwagi sąsiada. Widząc ją chorą, niewątpliwie wezwałby lekarza. Sam Cohen zmarł czternastego. Człowiek w jego wieku, samotny, pozbawiony opieki, musiał ulec chorobie po najwyżej trzech dniach. Z tego wniosek, że pierwsze objawy dżumy wystąpiły u niego jedenastego. Okres inkubacji choroby wynosiłby w jego przypadku dziewięć dni... Za długo! Więcej niż sześć dni. I właśnie to chciała powiedzieć Chenhui Tang; to było przyczyną jej „załamania nerwowego”. Więcej niż sześć dni! Chenhui wiedziała, że Myra Archer nie mogła zarazić Cohena. Dlatego tak bardzo przeżyła jego śmierć.

Saracen wygrzebał z szuflady żółty marker i zaznaczył na swojej liście wszystkie przypadki choroby, rzekomo wywołane kontaktem z Archerami. Co innego łączyło wszystkich tych ludzi? Odpowiedź była prosta. Palmer's Green! Myra Archer nie przywlokła dżumy do Palmer's Green. Bo tam właśnie się nią zaraziła!

Po kolejnej półgodzinie wytężonej pracy umysłowej, Saracen musiał przyznać, że czym innym jest stworzenie nowej teorii, czym innym zaś znalezienie potwierdzających jej słuszność dowodów. W jaki sposób ci wszyscy ludzie zarazili się dżumą przez samo tylko przebywanie w Palmer's Green? Ze złością cisnął pióro w kąt pokoju. Czas uciekał, a on nawet nie zbliżył się do odpowiedzi na to pytanie. I nagle poczuł, że coś zaczyna mu świtać w głowie. Francis Updale! Jego przypadek jako jedyny można było poddać dokładnej analizie. Updale spędził w Palmer's Green tylko jeden dzień. I ten dzień jego życia należało skrupulatnie zrekonstruować. Zrobił wtedy coś, co zakończyło się dlań zarażeniem. Saracen

potrzebował pomocy. Wydział Zdrowia nie istniał: „poległ na polu chwały”. Jedynym potencjalnym sojusznikiem był MacQuillan.

Bakteriolog spał, kiedy Saracen wszedł do jego gabinetu; spał w ubraniu i na kilometr cuchnął whisky.

– Musimy porozmawiać – oznajmił Saracen.

– Nie ma o czym rozmawiać – burknął MacQuillan. – Już na to za późno.

– Nie. Wszystko dopiero się zaczyna. Niech pan spróbuje wytrzeźwieć.

– O czym pan mówi? – mamrotał bakteriolog, drapiąc się po głowie.

– Nie miał pan racji. Wszyscy się myliliśmy. Myra Archer nie była źródłem epidemii. Szukaliśmy osoby, a tymczasem chodziło o miejsce. Tym miejscem jest Palmer's Green. To stamtąd wyszła choroba.

MacQuillan gapił się na Saracena jak na szaleńca.

– Co pan, do cholery, wygaduje?

– Niech pan się doprowadzi do porządku, to porozmawiamy – wypalił Saracen.

– A panu się zdaje, że z kim pan rozmawia! – MacQuillan widocznie postanowił ocalić resztkę godności.

– Sam pan się umyje, czy mam panu pomóc?

Bakteriolog zorientował się, że Saracen nie żartuje i skapitulował. Poczłapał do łazienki, by po pięciu minutach wyłonić się stamtąd w znacznie lepszej formie. Saracen opowiedział mu o swoich odkryciach.

– Powinienem sam na to wpaść – mruknął MacQuillan, kiedy usłyszał o niezgodności dat w kartach Myry Archer i Leonarda Cohena. – Niby o tym wiedziałem, ale nie mogłem w to uwierzyć.

– Problem Wittgensteina – powiedział Saracen. Coś jest prawdziwe, ale na takie nie wygląda.

– No tak, ale na to wszystko jest już za późno.

– Nieprawda. Jeśli uda nam się ustalić źródło epidemii, będziemy mogli zawiadomić Beasdale'a, że niebawem ograniczymy rozprzestrzenianie się choroby.

– Jeśli... – z powątpiewaniem zauważył MacQuillan.

– Nie mamy czasu do stracenia. – Saracen opowiedział o swoim pomysśle skupienia się na osobie Francisa Updale'a. – Przebywał w Palmer's Green tylko jeden dzień, naprawiając ogrzewanie w mieszkaniu Archera.

– Porozmawiam z Beasdale'em.

– Proszę mu powiedzieć, że szukamy projektanta osiedla, budowniczego czy nawet agenta sprzedaży nieruchomości. Kogokolwiek, znającego konstrukcję tamtych domów.

Niespełna godzinę później zjawił się agent sprzedaży nieruchomości z planami osiedla.

Zapytany, co konkretnie go interesuje, Saracen odparł:

– System ogrzewania.

Agent rozłożył na stole kopię planów interesującego ich budynku.

– Proszę mi pokazać przewody wentylacyjne prowadzące do lokalu numer czternaście, mieszkania Myry Archer.

– Oto główny szyb doprowadzający ciepłe powietrze na pierwsze piętro – palec agenta sunął po planie, wyznaczając pionową linię. – Od głównego szybu odchodzą cztery rozgałęzienia, po dwa do każdego mieszkania.

– Po dwa? Jakie jeszcze mieszkanie podłączone jest do tego szybu?

– G 3.

– Kto tam mieszkał?

– Niejaki pan Cohen – odparł agent, zerknąwszy do spisu lokatorów.

– To musi być to – cicho powiedział Saracen. – Nasz mikrob znajduje się w przewodach klimatyzacyjnych. Updaje próbował naprawić ogrzewanie u Archerów i dlatego się zaraził. Zaglądał nawet do głównego szybu.

– Ale jak to możliwe? – zawołał MacQuillan. – Pałeczki dżumy nie mogą przeżyć poza naturalnym rezerwuarem, jakim są gryzonie. To nie jest bakteria wywołująca chorobę legionistów, która potrafi latami żyć w starych zbiornikach wodnych, czy laseczka węgliką, w stanie wysuszonym w glebie zachowująca właściwości chorobotwórcze przez czterdzieści lat.

– Nie wiem jak, ale było to możliwe – z przekonaniem stwierdził Saracen.

– A co pan powie o przyczynach śmierci pozostałych lokatorów tego budynku?

Saracen zwrócił się do agenta: Co się stanie, jeśli z szybu usunie się filtry?

– Zwiększy się ciąg i w rezultacie cały budynek będzie zasilany z jednego kanału.

Tym razem nawet MacQuillan czuł się przekonany.

– Istotnie, to wyjaśnia, dlaczego wszyscy zarazili się jednocześnie – przyznał.

– I dlatego choroba rozwinęła się tak szybko: stale oddychali zakażonym powietrzem.

– Musimy zbadać ten szyb – Saracen ponownie zwrócił się do agenta.

– Teraz? Jest pierwsza w nocy!

– Teraz – odparł Saracen. – Czego będziemy potrzebować?

MacQuillan przekazał zamówienie agenta Beasdale'owi. Saracen pojechał do szpitala po kombinezon ochronny. Kiedy wrócił, wejścia do budynku oświetlały dostarczone przez wojsko lampy łukowe. Trwały prace przy demontażu obudowy kanału wentylacyjnego doprowadzającego ciepłe powietrze do mieszkań Archerów i Cohena.

– Gotowe – powiedział agent, wręczając Saracenowi klucz do nakrętek. – Musi się pan precyzyjnie – wskazał wąską lukę między szybem a ścianą. – Po lewej stronie znajdzie pan pokrywę wziernika, umocowaną czterema śrubami; po to ten klucz. Będzie pan potrzebował także tego – podał lekarzowi długi, cienki pręt. – To do badania drożności szybu.

Saracen założył maskę i wcisnął się w szczelinę. Oczy, oślepienie blaskiem lamp łukowych, powoli przyzwyczajały się do mroku. Bez trudu znalazł wziernik i przystąpił do

odkręcania śrub. W sztywnym, plastikowym kombinezonie i w masce na twarzy, nie było to łatwe. Niebawem poczuł, że pot spływa mu po plecach. Śruby wreszcie ustąpiły i pokrywa z klekotem upadła na posadzkę. Z tyłu dobiegł Saracena pytający okrzyk agenta.

– Wszystko w porządku – odkrzyknął.

Wsuwając pręt do szybu stwierdził, że w prawo wchodzi on bez oporu na całą długość. Spróbował w lewo. W odległości mniej więcej pół metra od wziernika pręt natrafił na jakąś przeszkodę. Saracen wyciągnął go i zagłębił w otworze okrytą gumową rękawicą dłoń. Wyciągniętymi palcami zdołał dotknąć przeszkody. Było to coś miękkiego; zwój szmat... nie, jakby futro... delikatne... Zwierzęce zwłoki! Zmacał coś jakby nogę i jął ciągnąć zwierzę w kierunku wziernika. Po chwili dojrzał w półmroku częściowo rozłożone truchło kota.

Niosąc je w wyciągniętej ręce cofał się tyłem aż do wylotu szczeliny i tam dopiero odwrócił się do MacQuillana oraz agenta i oświadczył:

– Znalazłem przeszkodę. To był zdechły k... – urwał w pół słowa, bo dopiero teraz, w pełnym świetle, zorientował się, że to co trzyma, to wcale nie jest kot, ale dziki czarny szczur.

– Boże wszechmogący! – wyszeptał MacQuillan.

– Czy tego pan szukał? – spytał agent, poruszony wyrazem twarzy bakteriologa.

Ten nawet nie dosłyszał pytania.

– Trzeba natychmiast opieczętować ten szyb i ogrodzić budynek.

Kiedy na powrót znaleźli się w pokoju MacQuillana w Ogólnym, bakteriolog nalał dwie szklanki whisky i jedną podał Saracenowi.

– Dobrze nam to robi – mruknął w odpowiedzi na badawcze spojrzenie lekarza. Saracen skinął głową i przyjął szklankę.

– Czegoś tu nie rozumiem – powiedział. – Jeśli mamy w Skelmore szczury zarażone dżumą, dlaczego tylko dwie osoby zapadły na dżumę dymieniczą? Skąd ta epidemia dżumy płucnej?

– Jedyna logiczna odpowiedź, to że w Skelmore nie mamy zakażonych szczurów. Najprawdopodobniej występuje ona tylko w jednym miejscu, w osiedlu Palmer's Green.

– Ale mały Edwards mieszkał w Maxton.

– Co nie znaczy, że nie mógł znaleźć się w Palmer's Green. Może bawił się na budowie? W tym momencie Saracen przypomniał sobie, skąd zna nazwisko „Edwards”.

– No jasne! – zawołał. – Skarb Edwardsa!

Opowiedział MacQuillanowi o wączaczach kleju i o ich koledze nazwiskiem Edwards, który podobno znalazł w Palmer's Green „skarb”. Jednocześnie uświadomił sobie znaczenie medalionu znalezionej na szyi chłopca. W kilku słowach streścił legendę o opactwie Skelmoris.

– Wszystko więc wskazuje na to, że ten chłopiec odnalazł ruiny opactwa! – zawołał MacQuillan.

Saracen był tego samego zdania.

– Możliwe, że to właśnie dżuma zabiła niecnych zakonników, a potem kładła trupem każdego, kto zjawił się w Skelmoris. Stąd w legendzie mowa o bożej klątwie. Ale w jaki sposób zarazek przetrwał tak długo?

– W szczurach – odparł MacQuillan. – W kolonii szczurów mógł żyć wiecznie, przechodząc z pokolenia na pokolenie.

– A jeśli owa kolonia pozostawała za miastem dopóki przedsiębiorstwa budowlane nie weszły na teren Palmer's Green...

– Wybuch epidemii był nieunikniony – MacQuillan pokiwał głową.

– Czy to jest możliwe? – zapytał Saracen.

– Owszem. Opisano kilka podobnych przypadków, które miały miejsce w Stanach Zjednoczonych i w Chinach. Tam dżuma usadowiła się w niewielkich koloniach dziko żyjących gryzoni. Kiedy w okolicy pojawił się człowiek, wybuchła epidemia.

– Musimy więc zniszczyć tę kolonię szczurów.

– Zniszczyć trzeba nie tylko szczury, ale także żerujące na nich pchły. Wytrucie samych szczurów tylko zmusi owady do szukania nowych żywicieli. Gaz, oto jedyne wyjście.

– Najpierw musimy je znaleźć – przypomniał Saracen.

– Nie możemy porozmawiać z małym Edwardsem?

– On nie żyje.

– A wachacze kleju?

– Wtedy nie wiedzieli, gdzie Edwards znalazł swój skarb. Może jednak później odkryli jego sekret. To nasza jedyna nadzieja.

– Poproszę Beasdale'a, żeby wysłał żołnierzy. Niech ich znajdą.

– Zrobmy to sami – zaproponował Saracen. – Adresy powinny być w książce przyjęć.

W drodze do Maxton dwukrotnie zatrzymywały ich patrole wojskowe. Po sprawdzeniu przepustek, lekarzy przepuszczono z przeprosinami. Wyglądało na to, że coraz większa liczba mieszkańców Skelmore wybiera się na zakupy nocą, posługując się przy tym nie kartami kredytowymi, lecz brukowcami. Włamania do sklepów stały się istną plagą.

– Trzecie piętro – powiedział Saracen, kiedy weszli do obdrapanego budynku na Frith Street. Na klatce schodowej cuchnęło moczem, ściany pokrywały wymalowane sprayem rysunki i napisy. Śmierdziało nie do wytrzymania. Saracen wstrzymywał oddech aż do drugiego piętra, potem musiał skapitulować. Odszukali właściwe drzwi i zapukali. Nic. Saracen zastukał głośniejszy i po chwili zza drzwi doszedł ich odgłos kroków i gniewny kobiecy głos:

– Czego?

Saracen przedstawił się i spytał, czy mogą porozmawiać z synem.

– Co on znowu zrobił? Ukradł coś? Gówniarz przebrzydły. Ze skóry obedrę!

Saracen pośpieszył z zapewnieniem, że chłopiec nie zrobił nic złego, a tymczasem do kobiety za drzwiami dołączył mężczyzna.

– Dwaj lekarze z Ogólnego – słyhać było jej szept. – Chcą rozmawiać z chłopakiem.

– Nie chcę tu nikogo ze szpitala – warknął mężczyzna. – Nie wiesz, cholera co się dzieje na mieście?

– To bardzo ważne – odezwał się Saracen. – Koniecznie musimy porozmawiać z państwa synem.

Dyskusja za drzwiami przeciągała się. Saracen i MacQuillan wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Ostatecznie racje kobiety przeważały. Wprowadzono gości do pokoju, a matka poszła wyciągnąć syna z łóżka. MacQuillan przysiadł na plastikowym krześle, które przechyliło się pod jego ciężarem. Saracen zajął miejsce na kanapie, przepędziwszy z niej kota, który bawił się zapuszczonym papierem po rybie z frytkami.

– Pamiętasz mnie? – spytał lekarz, kiedy zaspany chłopiec stanął w drzwiach pokoju. – Twój kolega, Edwards, umarł wczoraj wieczorem.

Chłopiec nie zareagował. Jego matka wydała za to kilka dźwięków mających chyba wyrażać smutek.

– Powiedziałeś mi, że Edwards znalazł w Palmer's Green skarb, a ja ci nie wierzyłem – ciągnął Saracen.

– To była prawda – mruknął chłopiec.

– Teraz już o tym wiem.

– Skarb? Jaki skarb? – zaskrzeczała kobieta.

Nie zwracając na nią uwagi, Saracen ponownie zwrócił się do chłopca:

– Czy dowiedziałeś się, gdzie Edwards znalazł ten skarb?

Chłopiec pokręcił głową, ale Saracen bez trudu wyczuł, że kłamie.

– Od tego zależy życie wielu ludzi – powiedział. – Naprawdę.

Chłopiec zawahał się chwilę. Saracen z trudem przełknął ślinę, modląc się w duchu, by smarkacz podjął właściwą decyzję.

– No, wiem gdzie on to znalazł.

Saracen odetchnął z ulgą. Jednocześnie uświadomił sobie, że chłopiec może być zarażony, tak jak Edwards.

– Byłeś tam? – zapytał.

– Nie, dozorca nas przegonił. Poszliśmy następnej nocy, ale tam stał spychacz.

– Spychacz? Gdzie?

– Na wejściu do jaskini Edwardsa.

– Do jaskini?

– No, do jaskini, gdzie Edwards znalazł skarb.

– Gdzie ona jest?

Zapisawszy w notesie jak trafić do jaskini, Saracen podniósł się z kanapy.

– Tego właśnie chcieliśmy się dowiedzieć – powiedział i uśmiechnął się do chłopca. –
Możliwe, że właśnie ocaliłeś całe miasto.

Matka chłopca odprowadziła gości do drzwi.

– Przepraszam, że pytam – powiedziała, odsłaniając zęby w grymasie, który widocznie uważała za uśmiech – ale czy za ten skarb to jest może jakaś nagroda?

Wracając do szpitala już z daleka dostrzegli, że dzieje się coś niedobrego. Podjazd blokowały wojskowe ambulanse; warczały motory, migotały żółte światła, żołnierze-kierowcy stali w małych grupkach obok bramy. Saracen czym prędzej odszukał Tremaine'a, żeby dowiedzieć się skąd to zamieszanie.

– Dwudziesta jest pełna, oddział izolacyjny Okręgowego także; podobnie obie szkoły. Nie mamy co zrobić z pacjentami.

– Trzeba wstrzymać przyjęcia – stwierdził Saracen.

– To samo mówi Saithe. Okropne. Co za pomysł! – obruszył się Tremaine. – To przyznanie się do porażki. Wiesz, jak ludzie zareagują, kiedy dowiedzą się, że nie mogą liczyć na pogotowie? Natychmiast zrozumieją, że zostawiono ich samych sobie i każdy będzie się martwił tylko o własną skórę.

Saracen z ponurą miną skinął głową.

– Beasdale na pewno wie, co się tu dzieje – mówił dalej Tremaine.

– O, niewątpliwie.

– Dlaczego więc nie organizuje nowych pomieszczeń dla chorych? Dlaczego nie ściąga ochotników z zewnątrz?

– Ilu chorych mamy w ambulansach przed bramą? – Saracen odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Osiemnastu. Słuchaj, przecież nie możemy odesłać ich do domów! – błagalnym tonem powiedział Tremaine.

– Przyjmiemy ich i na razie umieścimy w izbie przyjęć.

– Ale...

– Nie na długo, w ciągu godziny w salach zwolni się dość miejsc. Więcej jednak nie możemy przyjmować.

– A więc ty też pogodziłeś się z przegraną? – mruknął Tremaine.

– Staram się myśleć praktycznie – odparł Saracen. Odprowadził Alana na stronę i powiedział mu, czego dowiedział się od MacQuillana: nie będzie surowicy, nie będzie szczepionki. Tremaine'a w jednej chwili opuścił wojowniczy nastrój. Usiadł i złapał się za głowę.

– To koniec Skelmore – wyszeptał jakby do siebie.

– Istnieje szansa, że epidemia straci rozpęd, wygaśnie w sposób naturalny. Musimy tylko zlikwidować źródło zakażenia – powiedział Saracen.

- Źródłem zakażenia była przecież pani Archer.
 - Nie. Myliliśmy się. – I Saracen wyjaśnił Alanowi jakie było prawdziwe źródło choroby.
 - Opactwo Skelmoris – wymamrotał stażysta. – Po tylu latach...
 - Klątwa Skelmoris to była dżuma.
 - Czy w legendzie nie ma mowy o spaleniu klasztoru?
 - Prawdopodobnie szczury przetrwały pożar w piwnicach i podziemnych korytarzach.
 - Co zamierzacie teraz zrobić? – spytał Tremaine.
 - Znaleźć kolonię i unicestwić ją.
 - Claire może wam w tym pomóc. Ma odtworzone ze starych zapisków plany opactwa.
- Saracen przyznał, iż te plany mogą mieć dla nich olbrzymią wartość.

Wrócił MacQuillan, który tymczasem skontaktował się z Beasdale'em i lekarze ruszyli z powrotem do Palmer's Green.

- Co powiedział pułkownik? – spytał Saracen.
- Wypytywał o „praktyczne konsekwencje” naszego odkrycia.
- Mam nadzieję, że wytłumaczył mu pan, jak ważne jest zlokalizowanie źródła epidemii.
- Oczywiście, ale odniosłem wrażenie, że zdaniem pułkownika sprawy zaszyły już za daleko.

Odpowiedź MacQuillana przejęła Saracena nagłym chłodem.

- Ale zgodził się nam pomóc? – spytał.
- Tak.

Saracen z notesem w ręku rozglądał się po budowie.

– To musi być ten spychacz – powiedział do MacQuillana, wskazując żółty pojazd stojący w pobliżu zachodniego skraju ciągu nie wykończonych bloków mieszkalnych. Włożyli kombinezony ochronne i zbliżyli się do maszyny zaparkowanej obok niewielkiego betonowego bunkra. Saracen spytał, co to takiego.

– Wlot powietrza systemu ogrzewania mieszkań – z gorzkim uśmiechem odparł bakteriolog.

Saracen schylił się i obejrzał grunt między gaśnienicami pojazdu. Nie znalazł jednak niczego interesującego.

– A więc musimy to przestawić – oświadczył MacQuillan. – Wspiął się na gaśnienicę i zajrzał do kabiny. – Kluczyk jest w stacyjce – zawołał i wgramolił się na siedzenie kierowcy. Powietrze rozdarł wizg startera a potem ryknął silnik i z rury wydechowej strzelił kłęb czarnego dymu. Manipulując wybranymi na chybił trafił dźwigniami MacQuillanowi udało się wprawić maszynę w ruch; przejechała dobre dziesięć metrów, nim odnalazł hamulec. Wyłączył silnik i na budowę powróciła cisza.

– Nic tu nie widzę – powiedział MacQuillan zbadawszy ziemię w miejscu postoju spychacza.

Saracen już miał przyznać mu rację, kiedy jego uwagę przyciągnęło kilka cegieł wgniecionych w piach gąsienicami buldożera. Cegły na budowie to nic niezwykłego. Te jednak najwyraźniej ktoś celowo ułożył. Pytanie: po co? Saracen odrzucił je na bok. Natychmiast zorientował się, że jest na dobrej drodze, bo pod palcami poczuł drewno. Przy pomocy MacQuillana usunął warstwę piasku, odsłaniając kawałek płyty wiórowej. Saracen podważył ją i uniósł; pod nią znajdował się otwór w ziemi.

– No, no – ucieszył się. – A oto i jaskinia Edwardsa.

– Będziemy potrzebowali latarek.

– Za chwilę powinni się tu pojawić ludzie Beasdale’a.

Na budowę wjechał jakiś samochód. Nie byli to jednak żołnierze, ale Claire.

– Dzwonił do mnie Alan – powiedziała. – Przywiozłam plany.

– Dzięki, ale na to jeszcze trochę za wcześnie – odrzekł Saracen. – Jak dotąd znaleźliśmy tylko dziurę w ziemi.

– Mogę wam się przydać. Ostatecznie dziury w ziemi to moja specjalność.

– A poza tym znalezienie ruin opactwa Skelmoris wcale nie zaszkodzi twojej karierze – z przekąsem zauważył Saracen.

– No, powiedzmy, że jest w tym stwierdzeniu odrobina prawdy – przyznała z uśmiechem.

Rozmowę przerwało pojawienie się wojskowego land-rovera, który w chmurze pyłu zahamował o kilka kroków od nich. Wsiadł z niego Beasdale.

– Pomyślałem, że najlepiej będzie jeśli sam tu przyjadę i zobaczę, co się dzieje. – Pułkownik mówił do Saracena, lecz wzrok skierował na Claire. Saracen nie miał innego wyjścia niż przedstawić ją jako swojego współpracownika.

– Panna Tremaine jest archeologiem, specjalistą od obiektów w rodzaju opactwa Skelmoris. Zgodziła się pomóc nam w badaniu podziemi – oznajmił.

Claire podziękowała mu spojrzeniem. Tylko MacQuillan miał zdziwioną minę.

– Chodźmy do biura kierownika budowy; porozmawiamy – rzekł Beasdale. – Tylko doktor Saracen – dodał widząc, że MacQuillan i Claire także ruszają za nim. Saracenowi zrobiło się nieco głupio, ale nie było czasu na przejmowanie się konwenansami.

– Znam już pogląd doktora MacQuillana na to wasze nowe odkrycie – powiedział pułkownik zamykając drzwi biura. – Teraz chciałbym poznać pański.

– Nie wątpię, że nasze poglądy w tej sprawie są całkowicie zbieżne.

– Tak czy inaczej chciałbym zasięgnąć pańskiej porady jako konsultanta. – Beasdale uśmiechnął się. Widać bawiło go posługiwanie się medyczną terminologią w rozmowie z lekarzem.

– Kiedy zniszczymy źródło epidemii, zacznie ona stopniowo wygasać.

– Ale do tej pory wszyscy w mieście umrą.

– Nie wszyscy. Wielu, ale nie wszyscy.

– Myślę, że pan czegoś nie rozumie, doktorze – powiedział Beasdale z miną wyrażającą

zakłopotanie i troskę.

– Czego nie rozumiem?

– Mojego położenia.

– Proszę mnie oświecić – odrzekł Saracen. Miał jednak przeczucie, że nie spodoba mu się to, co usłyszy.

– Uważam, że w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin sytuacja w Skelmore wymknie się spod wszelkiej kontroli.

– Dlaczego?

– Każda akcja porządkowa, cywilna czy wojskowa, bazuje na współpracy miejscowej ludności. Kiedy rozejdzie się wiadomość, że służba zdrowia jest bezradna, że chorzy nie mogą liczyć na niczyją pomoc, skończy się wszelka współpraca. Dojdzie do wybuchu; ludzie zbuntują się i zaczną masowo opuszczać miasto. Niektórym z nich może się to udać i wówczas rozniosą zarazę po całym kraju. A do tego nie mogę dopuścić. Saracen przełknął ślinę i odparł:

– Ta choroba przetrwała w kolonii szczurów sześć wieków. Jeśli nie zniszczymy owej kolonii, istnieje groźba, że część szczurów przeżyje „nieszczęśliwy wypadek” jaki może spotkać Skelmore. Rozejdą się po okolicy w poszukiwaniu nowych domów.

Na twarzy Beasdale’a pojawił się nikły uśmiech.

– W porządku, panie doktorze. Przekonał mnie pan. Niech pan odszuka tę kolonię i zniszczy ją. Udzielę panu wszelkiej pomocy. Jednego tylko nie mogę panu dać: czasu.

– Rozumiem – skinął głową Saracen.

Beasdale wstał i włożył czapkę.

– Zostawię tę grupę żołnierzy do pomocy w penetracji podziemi – rzekł. – Proszę mnie informować o postępach akcji.

15.

Claire rozłożyła plany klasztoru na stole w biurze kierownika budowy.

– Po pożarze niewiele zostało z samego opactwa, ale jest możliwe, że zachowały się piwnice i podziemia. Jak widzicie, są dość rozległe.

– I wiemy, że muszą być do nich co najmniej dwa wejścia – dodał MacQuillan.

– Tak? A skąd? – zdziwiła się Claire.

– W jakiś sposób szczury dostawały się do podziemi jeszcze zanim budowlani zrobili im drugie wejście tu, w Palmer's Green.

– No tak, oczywiście.

– Naszym pierwszym celem jest oszacowanie rozmiarów podziemi. Wiedząc to, będziemy mogli obliczyć ile gazu trzeba do zlikwidowania zamieszkujących je stworzeń aż do ostatniej pchły.

Była najwyższą porą, by przystąpić do działania. Wdziawszy kombinezony ochronne zbliżyli się do zakrytego drewnianą płytą wykopu. MacQuillan udzielał ostatnich instrukcji:

– Jeśli natkniemy się na szczury, cofnijcie się, ustąpcie. Pamiętajcie, żeby pod żadnym pozorem nie stawać im na drodze ucieczki. – Badawczo przyjrzał się Saraceniowi i Claire, jakby sprawdzał, czy pojęli wagę jego ostrzeżenia.

– Ruszajmy – rzucił Saracen. Podniósł płytę i opuścił się do wykopu. Włączył latarkę.

– Widzisz coś? – spytała Claire.

Dno wykopu tworzył strop kamiennego korytarza. Widniał w nim ciemny otwór, prowadzący do wnętrza. Podłoga korytarza znajdowała się około dwóch metrów poniżej. Saracen w kilku słowach opisał sytuację.

– Możesz zejść na dół?

– Chyba tak. Chłopcu musiało być łatwiej, ale poradzę sobie. – Zagłębił się w mrok korytarza i zwisając na rękach, po omacku szukał stopami oparcia na ścianie. Dwukrotnie udało mu się natrafić na wyrwę w murze i niebawem odetchnął z ulgą, czując pod nogami

posadzkę. Natychmiast owionęło go wilgotne, piwniczne powietrze. Zaświecił w górę i zawołał Claire. Kiedy schodziła, udzielał jej wskazówek, pomagając odnaleźć szczeliny w ścianie.

– Nareszcie – sapnęła, stając u jego boku. Wyciągnęła ręce, dotykając dłońmi ścian lochu.

– Ciasno tutaj – zauważyła.

Po chwili dołączył do nich MacQuillan. Ustawili się gęsiego – Saracen na czele – i ruszyli w głąb korytarza.

– Nie przypominam sobie, żebym widział coś podobnego na planie – powiedział Saracen, po przejściu trzydziestu metrów. Po następnych trzydziestu dodał: – Macie jakieś pomysły?

– Myślę, że można to wytłumaczyć – odezwała się Claire.

– Jak?

– Przypuszczam, że to jest tunel ucieczkowy.

– Komu on miał służyć?

– Braciom z opactwa.

– Do czego?

– W tamtych czasach przemoc była pospolitym zjawiskiem. Wiele zamków, pałaców i klasztorów miało sekretne lochy, stanowiące ostatnią szansę ucieczki przed ewentualnymi napastnikami. Takich przejść nie zaznaczało się na żadnych planach.

– To tłumaczy dlaczego ten korytarz jest taki długi.

– I dlaczego jest taki wąski – dodał MacQuillan. – Jego jedyną funkcją było zapewnienie możliwości odwrotu.

Z obliczeń Saracena wynikało, że przeszli około stu metrów, kiedy nagle korytarz rozszerzył się, tworząc owalną salę, kończącą się masywną, żelazną kratą. Kiedyś musiała to być furtka, ale osiadający grunt wbił dolne końce prętów w posadzkę tak, że tkwiły jak wmurowane. Saracen poświecił latarką w głąb pomieszczenia za kratą i wzdrygnął się, kiedy spostrzegł ciemny kształt, który pośpiesznie wycofywał się z kręgu jasności. Usłyszał, że Claire bierze głęboki oddech.

– Czy to był...?

– Obawiam się, że tak.

– Popatrzcie – z przeciwnego końca sali dobiegł ich głos MacQuillana. Kiedy zbliżyli się, pokazał im niewielki, metalowy krzyżyk. – Leżał tam, na tej metalowej półce.

– Mogę zobaczyć? – cicho spytała Claire. Jej palce delikatnie, niemal pieszczotliwie ujęły krzyżyk. – I pomyśleć – szepnęła – że to należało do jednego z mnichów ze Skelmoris.

Saracen omiótł światłem latarki podłogę sali, jasny krążek znieruchomiał na leżącej pod ścianą czerwonej puszcze coca-coli.

– Ale tego to chyba braciszkanie nie zostawili. Mamy dowód, że znajdujemy się w jaskini skarbów mistrza Edwardsa.

– Dalej na pewno nie wszedł – powiedział MacQuillan, spoglądając na kratę. – My też

będziemy potrzebowali pomocy, żeby się tam dostać.

Postanowili bezzwłocznie wracać i szukać pomocy u wojska.

Czekając, aż żołnierze uporają się z zakleszczoną furtką, Claire zaniósła znaleziony w lochach krzyżyk do biura kierownika budowy, aby na poczekaniu sporządzić jego opis. Saracen i MacQuillan postanowili odpocząć i rozsiedli się na ziemi oparci o jeden z wojskowych land-roverów.

– Coś mi przyszło do głowy – powiedział Saracen. – Jeśli dżuma przetrwała w kolejnych pokoleniach szczurów przez sześć wieków, to znaczy, że musiały się one jakoś na nią uodpornić.

– To się zdarza. Tak było choćby w tych przypadkach dżumy znanych z Ameryki i Chin. Jedne zwierzęta są na nią odporne, inne nie.

– Czy wiadomo dlaczego?

– Nie, ale opisano też przypadki nosicielstwa dżumy u ludzi. Badania przeprowadzone w Wietnamie wykazały obecność, pałeczek dżumy w nosowej części gardła sporej liczby zdrowych osób. Co panu chodzi po głowie?

– Gdyby udało się zidentyfikować czynnik immunologiczny, można by go było wykorzystać.

– Wymagałoby to lat badań.

– Owszem, lat badań wymagałoby zrobienie tego metodami naukowymi i szczegółowe opisanie mechanizmu odpornościowego, ale ja myślę o czymś prostszym, ale za to praktycznym.

– Niech pan mówi.

– Gdybyśmy zdobyli krew uodpornionego szczura i zażądali, żeby w Porton Down porównali ją z krwią szczura chorego, może udałoby się wyizolować ów czynnik immunologiczny bez określania co to jest. Dysponując odpowiednią ilością tej substancji moglibyśmy spróbować leczyć nią ludzi.

MacQuillan zastanawiał się przez chwilę. Wreszcie powiedział:

– Myślę, panie kolego, że to jest cholernie dobry pomysł.

Poprosił jednego z żołnierzy o wywołanie przez radio Beasdale'a. Uzyskawszy połączenie, żołnierz podał radiotelefon bakteriologowi. Saracen przysłuchiwał się, jak MacQuillan tłumaczy pułkownikowi na czym polega nowy plan. Nie słyszał odpowiedzi Beasdale'a, ale zorientował się, że rozmówcy nie bardzo mogą dojść do porozumienia.

– Oczywiście, że nie daję żadnej gwarancji – krzyknął w pewnym momencie MacQuillan. – Ale to ma szansę powodzenia... nie, wcale nie chodzi o odwlekanie czegośkolwiek... do diabła, człowieku! Bądźże rozsądny!

MacQuillan zwrócił radiotelefon żołnierzowi i przez chwilę milczał, wpatrując się w ziemię i najwyraźniej starając się powściągnąć rozdrażnienie.

– No i? – spytał Saracen.

– Nie przedłużył nam czasu. Mamy jeszcze czterdzieści sześć godzin.

– W takim razie bierzmy się do roboty. – Saracen poprosił żołnierza o kartkę i długopis i sporządził listę zamówień. – Potrzebujemy tych rzeczy tak szybko, jak to możliwe – powiedział. Żołnierz złapał kartkę i pobiegł do samochodu.

– O co pan prosił? – spytał MacQuillan.

– O sterylne próbki, antykoagulanty, skalpele, pojemniki na próbki i pułapki na szczury.

Z wykopu wyłonili się trzej żołnierze, którzy pracowali nad usuwaniem przeszkody w tunelu. Dźwigając swoje narzędzia zbliżyli się do lekarzy.

– Furtka otwarta – powiedział dowodzący nimi sierżant. – Przy kracie zostawiliśmy też lepsze lampy.

Saracen podziękował i zaczął wkładać kombinezon.

Byli już gotowi do wejścia do wykopu, kiedy nadbiegł żołnierz z wiadomością, że pułkownik wysłał ciężarówkę z chemikaliami potrzebnymi do oczyszczenia podziemi.

– Będzie tu za godzinę, sir.

Saracen po raz ostatni rozejrzał się po budowie i rzekł:

– Przypilnujcie, żeby ciężkie wozy nie przejeżdżały nad tunelem, dobrze? Strop może się zawalić.

– Oczywiście, sir.

– A jeśli nie macie nic do roboty, rozejrzyjcie się po okolicy. Może znajdziecie drugie wyjście z podziemi.

– Tak jest.

– Teraz dużo lepiej – powiedziała Claire, zapalając jedną z lamp pozostawionych dla nich przez żołnierzy.

– Idziemy dalej? – Saracen popchnął furtkę, a ta ustąpiła bez większego oporu. Tkwiące w posadzce końce prętów zostały odcięte.

Ruszyli w głąb korytarza. Po przejściu około dwudziestu metrów Saracen zatrzymał się nagle. Przed nim tunel skręcał ostro w lewo.

– Słyszeliście coś? – zapytał. – O, znowu! Coś jakby szuranie.

– Co?

– Ktoś idzie za nami – powiedział MacQuillan.

Saracen odetchnął z ulgą, nieco zawstydzony, że dał się ponieść wyobraźni.

– Doktor Saracen? – dobiegł z ciemności czyjś głos. – Tu kapral Jackson. Przyniosłem te rzeczy, o które pan prosił.

– Tylko dwie? – na widok pułapek na szczury Saracen zmarszczył czoło.

– Tylko tyle udało nam się zdobyć, sir.

– Potrzebujemy więcej.

– To znaczy ile, sir?

– Jak najwięcej. Im więcej, tym szybciej złapiemy naszego szczura.

– Powiem sierżantowi, sir.

– Jedną zastawię koło kraty, tam gdzie widzieliśmy przedtem tego bydlaka – powiedział MacQuillan.

– Proszę uważać na palce – ostrzegł Saracen, podając bakteriologowi naciągniętą i zaopatrzoną w przynętę pułapkę.

– Chyba nie zamierzacie wyłapać ich po jednym, co? – odezwała się Claire.

– Nie, potrzebna mi jest szczurza krew – odparł Saracen. – Później ci wszystko wyjaśnię.

Wrócił MacQuillan i ruszyli w dalszą drogę. Tunel stawał się coraz węższy i nagle wyrosła przed nimi zimna i ociekająca wilgocią kamienna ściana.

– I co teraz?

– Dotarliśmy pewnie do klasztoru – powiedziała Claire. – Musi tu być jakieś przejście. Obejrzyj tę ścianę, może znajdziesz coś w rodzaju ukrytego mechanizmu.

Saracen jął kolejno naciskać i szarpać wystające z muru kamienie – bez rezultatu. Już miał powiedzieć, że nic z tego, kiedy jeden z gładów ustąpił pod jego dłonią i nagle ściana uniosła się do góry. Mechanizm przeciwwagi działał bez zarzutu mimo upływu sześciu wieków. Weszli do długiej, niskiej piwnicy o sklepionym stropie.

– O mój Boże! – zawołała Claire.

Saracen odwrócił się i spostrzegł ludzki szkielet, który wydobyło z mroku światło jej latarki.

– Jest tu ich więcej – odezwał się z przodu MacQuillan.

Saracen naliczył piętnaście szkieletów, leżących w metrowych odstępach na podłodze piwnicy.

– To musiało być dormitorium – szepnęła Claire.

– Nie sądzę – odrzekł Saracen. – Raczej izba chorych, infirmeria.

– Jasne – mruknął MacQuillan. – Zwiedzamy średniowieczną salę numer dwadzieścia.

Pod ścianą przemknęły ruchliwe cienie pary szczurów. Claire wrzasnęła, ale zaraz jąła przepraszać za swoje, niegodne archeologa zachowanie.

– Nie ma za co przepraszać – powiedział MacQuillan. – Ja też o mało nie zemdlałem.

Saracen spojrział na zegarek i stwierdził, że już od godziny przebywają w podziemiach. Następne pomieszczenie, zgodnie z planem Claire, miało kształt koła. Obeszli je – Claire przodem, Saracen i MacQuillan za nią. W pewnym momencie zatrzymała się, i wydawszy stłumiony okrzyk, pochyliła się nad okutą skrzynią stojącą na kamiennej podstawie. Odwróciła się, ściskając w dłoni złoty krucyfiks.

– To pochodzi z ołtarza! – zawołała. – Z ołtarza kaplicy opactwa Skelmoris!

– Patrzcie – MacQuillan już grzebał w skrzyni, z której Claire wyjęła krucyfiks – i świeczniki, i kielichy do komunii...

– Dajcie spokój – odezwał się Saracen. – Nie mamy czasu.
– Tu gdzieś musi być Kielich ze Skelmoris! – zaprotestowała Claire. – Musimy poszukać!
– Nie ma czasu – powtórzył Saracen.
– Co się stanie, jeśli stracimy parę minut? – ze złością rzuciła Claire.
– Są rzeczy, o których nie wiesz. Musimy się pośpieszyć.
– Nie! – w głosie dziewczyny pojawił się upór. – Idźcie łapać te swoje szczury i szukać drugiego wyjścia. Ja tu zostanę i nie ruszę się, dopóki nie znajdę Kielicha!

– W porządku – ustąpił Saracen. Wiedział, że jej nie przekona, a nie chciał opowiadać o swoich domysłach co do planów Beasdale’a. – Może chociaż powiesz nam, czego mamy się spodziewać w następnych pomieszczeniach.

Claire rozłożyła swój plan i pośpiesznie odszukała miejsce, w którym się znajdowali. Kiedy przemówiła, w jej głosie dało się słyszeć poczucie winy, ale przede wszystkim kierowała nią teraz dzika ambicja. W kilku słowach opisała przypuszczalny kształt i przeznaczenie dalszych piwnic.

– Gdzie twoim zdaniem powinniśmy szukać drugiego wyjścia? – zapytał Saracen.

– W tym pomieszczeniu – Claire wskazała niewielki prostokąt na planie – powinny znajdować się schody, prowadzące z podziemi do budynków klasztornych. Niewykluczone, że nadal można się nimi wydostać na powierzchnię.

– A czy może tu być drugi tunel uciezkowy?

– Jeśli nawet, to nie mam go na planie. Chociaż zdarzało się, że budowano dwa tunele, przy czym jeden był stosunkowo łatwy do znalezienia i służył do odwrócenia uwagi od tego właściwego.

– Gdzie mamy go szukać?

– Myślę, że warto spróbować gdzieś tu, w północnej ścianie.

Claire została sama. Saracen i MacQuillan ruszyli dalej i niebawem dotarli do izby, w której znajdowały się schody. Oświetlili latarkami sufit. Nie było wątpliwości, że tędy nikt nie wydostanie się na powierzchnię; nawet szczur. Szczyt schodów ginął po prostu w zbitej, nie naruszonej ziemi.

Saracen badał właśnie rumowisko znajdujące się w miejscu północnej ściany izby, kiedy jakiś dźwięk kazał mu znieruchomieć i nadstawić uszu. Dał znak MacQuillanowi, by zrobił to samo.

– Ktoś nas woła.

– Raczej krzyczy! To Claire!

Pobiegli z powrotem, w kierunku pomieszczenia, w którym została Claire. W miarę jak zbliżali się, krzyk narastał, był jednak dziwnie stłumiony i kiedy dotarli do celu, ustał zupełnie.

– Tam! – zawołał MacQuillan, oświetlając latarką przeciwległą ścianę. Ujrzeni dolną

połowę ciała Claire wystającą z niewielkiej niszy. – Utknęła w otworze.

– Musiała wpaść w panikę i zemdląca. – Saracen próbował oswobodzić bezwładne ciało Claire, ale tkwiło w otworze bardzo mocno. Słyszeli dochodzące z głębi niszy odgłosy skrobania i przekonani, że to Claire ogarnięta nieprzytomnym strachem drapie ścianę, zaczęli przemawiać do niej uspokajająco. Potem jednak Saracen spojrzał na zwisające bezwładnie nogi dziewczyny, na leżący na posadzce kaptur kombinezonu i powoli straszna prawda jęła torować sobie drogę do jego świadomości. Jeśli Claire była nieprzytomna, skąd pochodziły te odgłosy?

– Boże Wszechmogący! – szepnął, czując, że nagle zaczyna mu brakować tchu. MacQuillan także zrozumiał co znaczą dźwięki dobywające się ze ściany.

– Szczury! – jęknął przerażonym głosem.

Saracen skinął głową.

– Chciała wczołgać się do otworu i zablokowała im drogę ucieczki.

– Nie żyje?

– Nie żyje – odparł Saracen nie znalazłszy pulsu w udzie dziewczyny.

– Rany Boskie! – MacQuillan sam był bliski paniki.

– Szczury nadal tam są – powiedział Saracen. – Musimy uważać, kiedy ją wyciągniemy.

MacQuillan nie potrzebował ostrzeżenia, bo i tak trząśił się ze strachu. Powoli wysuwali z niszy ciało Claire. Przed ostatnim szarpnięciem zajęli miejsca przy ścianie.

– Gotów? – spytał Saracen.

MacQuillan skinął głową. Szarpnęli. Ramiona Claire wysunęły się z otworu i w tym momencie potok szczurów dosłownie wylał się z ciemnego wnętrza. Gryzonie błyskawicznie przemykały po plecach dziewczyny i rozbiegały się po izbie, ginąc w ciemnościach. Saracen spojrzał w dół i spostrzegł, że jeden z nich nadal wczepiony jest w twarz Claire. Zamachnął się i trzasnął zwierzę latarką. Odleciało w bok i z miękkim pacnięciem upadło na posadzkę. Jeszcze kilka szczurów wyprysnęło z otworu i zapanowała cisza.

Saracen popatrzył na Claire i musiał kilkakrotnie przełknąć ślinę, żeby nie zwymiotować. Słyszał, że MacQuillan robi to samo.

– Boże, była taka piękna – szepnął, odwracając głowę od widoku bezkształtnej masy w jaką zmieniła się twarz Claire.

Minęło parę minut nim opanowali się na tyle, by podjąć dalsze działanie.

– Ma pan swojego szczura – zauważył MacQuillan, oświetlając leżące pod ścianą zwierzę zabite uderzeniem latarki. Saracen wydobył sprzęt dostarczony przez pułkownika, przygotował próbówki. Następnie przeciął skalpelem gardło szczura; krew zwierzęcia zebrał do próbek, a całkowicie wykrwawione padło cisnął w kąt piwnicy.

Pakował właśnie naczynia do torby, kiedy usłyszał głos MacQuillana:

– Dobry Boże, niech pan spojrzy!

Bakteriolog sięgnął do otworu, w którym utknęła Claire i wydobył stamtąd złoty kielich,

wysadzany rubinami wielkości gołębih jaj.

– To dlatego chciała się tam dostać – powiedział. – Czy widział pan coś równie pięknego? Musi być wart miliony!

– Zostaw pan to świństwo – warknął Saracen. – Bóg wie, ilu ludzi przez to umarło.

– Spokojnie – szepnął MacQuillan, oglądając kielich w świetle latarki. – Nie przesadzajmy. Chyba nie wierzy pan w te bzdury o kłątwie.

– Chodźmy. Musimy odnieść tę krew. Zabierzemy też Claire. – Saracen ujął zwłoki pod pachy. – Niech pan weźmie za nogi – rozkazał.

MacQuillan wetknął kielich pod kombinezon i chwycił kostki nóg Claire.

– Gotowe.

Dotarwszy do furtki usłyszeli odgłos kroków dobiegający z głębi korytarza. Byli to żołnierze niosący dodatkowe pułapki. Saracen podziękował, ale – wyjaśnił – udało im się już złapać szczura. Przekazał próbki krwi sierżantowi, prosząc o jak najszybsze dostarczenie ich pułkownikowi.

– On będzie wiedział, co z tym zrobić.

– A pułapki?

– Zostawcie je tutaj.

Żołnierze przejęli zwłoki Claire i wszyscy ruszyli w stronę tunelu uciezkowego. Nie przeszli nawet kilku kroków, kiedy powietrze wypełnił dudniący odgłos dochodzący gdzieś z góry. Hałas narastał i po chwili można było rozpoznać charakterystyczny warkot dieslowskiego silnika.

Saracen niespokojnie spojrzał na sierżanta.

– Ostrzegł ich pan, żeby nie przejeżdżali nad tunelem?

Z oczu żołnierza wyczytał odpowiedź, zanim tamten otworzył usta. Nie ostrzegł. Puścili się biegiem w kierunku wyjścia z tunelu. Żołnierze dźwigający zwłoki Claire z trudem dotrzymywali kroku biegnącemu na czele sierżantowi.

Ciężarówka przejechała ukryty pod ziemią korytarz i strop runął. Nastąpiło to zupełnie nagle, bez żadnych ostrzegawczych trzasków, spadających drobnych kamyków... W jednej chwili sufit korytarza zwałił się, grzebiąc żołnierzy, zwłoki Claire i sierżanta niosącego próbki krwi. Trzydzieści metrów od miejsca, gdzie stali Saracen i MacQuillan widniało teraz dymiące kurzem rumowisko. Ze stropu nadal sypały się pojedyncze kamienie.

– Reszta też zaraz runie! – krzyknął Saracen. Zawrócili i puścili się biegiem w głąb podziemi. Po przebiegnięciu kilku kroków MacQuillan potknął się i upadł. Kielich, który Szkot ścisnął dotąd w garści, wyśliznął mu się i potoczył między pręty furtki.

– Zostaw to! – wrzasnął Saracen. MacQuillan jednak nie słuchał. Na czworakach zbliżył się do kraty i na oślep jął macać poprzez pręty, gorączkowo szukając upuszczonego skarbu.

Zamiast na kielich, dłoń jego natrafiła na pułapkę, którą wcześniej sam umieścił obok furtki. Strzeliła sprężyna. MacQuillan krzyknął z bólu, kiedy stalowe szczęki zatrzasnęły mu

się na palcach. Próbował wycofać rękę, ale pułapka nie mieściła się między prętami. Saracen podbiegł do wijącego się z bólu bakteriologa i w tym momencie strop nad ich głowami drgnął. Spadł jeden kamień, potem drugi... Saracen rzucił się wstecz i wtedy sufit runął. Spozrzegł jeszcze wykrzywioną strachem twarz MacQuillana, a potem poczuł potężny wstrząs i stracił przytomność.

Ocknął się w wojskowym ambulansie. Nie miał pojęcia jak długo był nieprzytomny i w jaki sposób się tam znalazł. Bolała go głowa, usta miał pełne piachu.

– Jezu, miał pan szczęście, sir. Niewiele brakowało...

Saracen otworzył oczy i ujrzał twarz pochylonego nad nim żołnierza.

– Jak ja się tu znalazłem? – wychrypiał.

– Tak jak pan mówił, szukaliśmy drugiego wyjścia. I znaleźliśmy; na wysypisku śmieci za osiedlem. Weszliśmy do środka i wynieśliśmy pana. Uratował pana kombinezon. Dostał pan kamieniem w głowę, ale kaptur złagodził uderzenie.

– Możecie wywołać pułkownika Beasdale'a? – słabym głosem zapytał Saracen.

– Doktor Saracen? A więc pan żyje!

– Poza mną wszyscy zginęli. Próbkki krwi przepadły, ale wiemy gdzie gnieźdzą się szczury i znamy drugie wejście. Trzeba zlikwidować tę kolonię...

– Nie przepadły.

– Słucham?

– Próbkki krwi nie przepadły. Sierżant Morris wyniósł je z podziemi. Miał chłopak szczęście. Pańskie próbkki poleciały już do Porton Down. Dokonano nawet wstępnej analizy.

– I...

– Zidentyfikowano interesujący nas czynnik, ten... adiuwant... tak to się nazywa?

– Tak. Czynnik wspomagający.

– Wychodzi na to, że ów adiuwant stymuluje produkcję przeciwciał skutecznych wobec szczepu Skelmore. Podobno nie będzie teraz problemów z uzyskaniem szczepionki i surowicy odpornościowej. Jest pan tam, doktorze?

Saracen czuł, że znów odpływa w ciemność; zdołał jednak powiedzieć:

– Jestem. A więc nie zniszczy pan miasta?

– Nie wiem, o czym pan mówi doktorze.

– Dzięki Bogu – wyszeptał Saracen.

– Powiedział pan, że udało się zlokalizować kolonię, tak?

– Tak, ale gaz chyba nie wystarczy. Podziemia są zbyt rozległe.

– Sierżant Morris jest tego samego zdania – odrzekł Beasdale. – Zamierzamy posłużyć się parapalmem.

– Czym?

– Parapalmem. To taki płynny ogień. Środek ten wytwarza dostatecznie wysoką

temperaturę, by unicestwić wszystko, co znajduje się w podziemiach.

– A pan przypadkowo ma go pod ręką – odpowiedział Saracen.

– Czy mogę coś dla pana zrobić, doktorze? – Beasdale udał, że nie dosłyszał ostatniej kwestii lekarza. – Może kogoś zawiadomić, że pan żyje. Wszyscy tutaj myśleliśmy, że już po panu.

– Tak. – Saracen z coraz większym trudem poruszał ustami. – Chciałbym, żeby pan skontaktował się z siostrą Rawlings z Ogólnego.

– Tak, i co mam jej przekazać?

– Proszę jej powiedzieć... proszę jej powiedzieć, że ją bardzo kocham, dobrze?

Saracen czuł, że znów zapada się w nieświadomość. A więc dzuma z opactwa zostanie pokonana ogniem; tak, jak to się stało sześćset lat temu. Kielich ze Skelmoris był znów bezpieczny. Ci, którzy odważyli się go dotknąć – zginęli. Ale co tam. To tylko legenda. Saracen uśmiechnął się i zasnął.

– Biedny łapiduch – mruknął żołnierz. – Nieźle dostał w kość.